



MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

INDYGO

LITERATE

*Dla Aleksandry, Fabiana, Jasia i Małgosi
– bohaterów mojego życia*

Spis treści

Dedykacja

Prolog

ZIMA

1

2

3

4

5

6

7

WIOSNA

8

9

10

11

12

LATO

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

Epilog

Strona redakcyjna

PROLOG

Baskin Zachodnie, kwiecień 2009

Kusak czekał.

Czekał w zbożu, przy niewielkiej polnej dróżce, nasłuchując. Wskazówki zegarka mówiły, że to już, zaraz.

Nie było żadnych przeszkód. Idealne ramy czasowe, dobra okolica i, co najważniejsze, ofiara idealna. Przez kilka następnych godzin nikt za nią nie zatęskni, nikt się nie zmartwi. Będzie jego.

Czekał.

Dookoła rozciągały się łany zboża. Była końcówka lata – gorąco, duszno. Śpiewały ptaki. Niedługo żniwa, zboże zniknie.

Ofiara się zbliżała. Jeszcze jej nie słyszał, nie widział, ale doskonale wiedział.

Wiedział o niej wszystko, a przynajmniej wszystko to, co było mu potrzebne do bezpiecznych łowów.

Czekał.

Nigdy nie słyszał głosów w głowie, nic niepokojącego nie mąciło jego snów. Zabijał, bo chciał, bo potrafił. I był w tym dobry. Do tej pory nikt go nie schwytał, nikt nawet nie podejrzewał, że jest Kusakiem.

Kusak był anonimowy. Dla ludzi nie istniał. Znali tylko efekty jego działań. Drżeli przed nim. A jednak na ulicy mijali go obojętnie. „Gdyby tylko wiedzieli” – pomyślał. Poczul przyjemny dreszcz.

Usłyszał ofiarę. Szła sama, z jej telefonu leciała hip-hopowa muzyka. „Wyjątkowo niskich lotów” – ocenił Kusak. Jak można słuchać czegoś takiego? Ktoś, kto tego słucha, nie zasługuje, by żyć.

Wyciągnął z kieszeni buteleczkę z przezroczystym roztworem i nasączył nim czarną wełnianą rękawiczkę na prawej dłoni.

Ofiara była coraz bliżej, w zasięgu jego wzroku. Głośnik telefonu charczał głośno, w bólach.

Kusak poczekał jeszcze chwilę, napinając wszystkie mięśnie. I zaatakował.

Wybiegł z szeleszczącego zboża, i zanim zdążyła zareagować, mocno chwycił ofiarę specjalnym chwytem, tak zwaną dźwignią. Mocny uścisk, ale nie za mocny, by nie

uszkodzić karku, a ofiara zwiotczała sekundy potem. Teraz należała do niego. Tkwiła w uścisku, jej kończyny i głowa zwisały bezwładnie.

Zaciągnął ją w zboże.

Tam, oddalony od drogi, zdjął z niej szkolny plecak i wyłączył idiotyczną muzykę. Bateria telefonu była w połowie rozładowana, ale nic nie szkodzi. Przygotował się i na taką okoliczność. Z kieszeni wyciągnął małą, kieszonkową ładowarkę i podłączył do niej telefon. Policja skupi uwagę przede wszystkim na próbie namierzenia go, dlatego ważne, by jak najdłużej był włączony.

Chłopiec był w wieku gimnazjalnym.

Spokojnie, nie spiesząc się, Kusak związał jego ręce i nogi oraz zakneblował usta. Dzieciak powinien obudzić się dopiero za jakieś dwie godziny – roztwór był naprawdę mocny. Dzięki takiej właśnie ostrożności Kusak nigdy nie został złapany.

Z podłączonego telefonu napisał SMS-a. To ważny moment. Od wiadomości, jaka przyjdzie z powrotem, zależało, czy ofiara przeżyje.

Po niecałej minucie telefon zawibrował. Odpisała matka chłopca, wydając na niego wyrok śmierci.

Kusak uśmiechnął się leciutko, plecak założył na plecy, a ofiarę zarzucił sobie na bark. Prawie pięćdziesiąt kilo wagi, trochę ciężko, ale da sobie radę. Kusak jest silny.

Przeszedł tak dwa kilometry. Nie robił przerw. Odpocznie potem, w domu. Towarzyszył mu tylko jego własny oddech, z czasem coraz cięższy, i szelest zboża.

Zanim wyszedł na wąską ścieżkę po drugiej stronie pola, położył ofiarę i nasłuchiwał przez dłuższą chwilę. Gdy upewnił się, że w pobliżu samochodu, który tu zostawił, nie ma nikogo, wrzucił chłopca do bagażnika.

*

Wjechał na stację benzynową. Ofiara nadal spała w bagażniku. Upewnił się, że jej telefon jest naładowany, wyciszył go i owinał kawałkiem folii, ścierając wcześniej odciski palców.

Na parkingu stało kilka TIR-ów. Kierowca jednego z nich siedział za kierownicą przy otwartych drzwiach, palił papierosa i rozmawiał przez telefon.

Kusak zaparkował po drugiej stronie placu. Upewniwszy się, że kierowca nie zwraca na niego uwagi, wysiadł i do niego podszedł.

– Przepraszam – wtrącił nieśmiało. – Bierze pan może na stopa?

– Poczekaj – rzucił kierowca do słuchawki, robiąc zdziwioną minę. – Co?

– Chciałem się tylko spytać, czy wzięłby pan na stopa. Za dwa dni muszę być w Austrii, a mój samochód trochę zaniemógł.

– Nie, panie. Nie biorę na stopa ani do Austrii, ani do, kurwa, Hong Kongu. Ja na Rosję jadę.

To tyle. Kierowca z powrotem przyłożył słuchawkę do ucha i przymknął drzwi. Koniec rozmowy.

Kusak przeprosił na odchodnym, ale facet już stracił nim zainteresowanie. Dobrze.

Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, wsunął telefon pod plandekę przyczepy.

Do swojego garażu wjechał niecałe pół godziny później, akurat w momencie, gdy z bagażnika zaczęły dochodzić odgłosy szamotaniny.

Ofiara dochodziła do siebie.

*

Z prasy:

ZAGINAŁ ŁUKASZ FOWARCZYK. RODZINA PROSI O POMOC

Trwają poszukiwania 12-latka, który zaginął czwartego kwietnia. Chłopca po raz ostatni widziano w szkole.

Rodzice zgłosili zaginięcie wieczorem tego samego dnia. Policja zorganizowała grupę poszukiwawczą składającą się z funkcjonariuszy, strażaków i wolontariuszy. Dotychczas sprawdzono wszystkie możliwe miejsca, w których 12-latek mógł przebywać z własnej woli, jednak...

12-LATEK WCIĄŻ NIEODNALEZIONY

Wciąż trwają poszukiwania zaginionego kilka dni temu Łukasza Fowarczyka.

– Im więcej czasu mija, tym mniejsze prawdopodobieństwo szczęśliwego zakończenia – powiedział mł. asp. Tomasz Witkowski. – Dlatego nasz zespół pracuje bez wytchnienia. Sprawdzamy każdy możliwy trop.

Mimo upływu dni los 12-letniego Łukasza wciąż pozostaje nieznany. Scenariusz zakładający porwanie dla okupu według mł. asp. Witkowskiego jest mało prawdopodobny.

– Na razie za wcześnie mówić o jakiegokolwiek możliwości, ale nie spodziewałbym się porwania. Bardziej prawdopodobne jest, że wszedł gdzieś, wpadł w dziurę, nie może wyjść. Dlatego sprawdzamy wszędzie, przeczesujemy okoliczne łąki, badamy opuszczone domy w okolicy, poniemieckie bunkry...

OSTATNIE ZDJĘCIE ŁUKASZA

Na zdjęciu zrobionym z monitoringu przy głównym skrzyżowaniu Baskin widać 12-letniego Łukasza Fowarczyka. Tutaj ślad się urywa. Chłopiec zaginął sześć dni temu.

POMÓŻ ODNALEZĆ ŁUKASZA!

Rodzina apeluje o pomoc w odszukaniu zaginionego Łukasza.

– Wierzę, że mój syn tam gdzieś jest. Żyje i czeka na mnie – mówi Iwona Fowarczyk, matka zaginionego chłopca. – Znajdę go. Poruszę niebo i ziemię, a znajdę go.

Na Facebooku utworzono wydarzenie związane z poszukiwaniami chłopca. Grupa wolontariuszy przeczesywać będzie tereny, które już wcześniej były sprawdzane przez policję.

– Policja mogła coś przeoczyć – powiedział jeden z organizatorów.

Zbiórka wolontariuszy odbędzie się o godzinie 8.00 przy ratuszu, udział może wziąć każdy...

NOWY TROP W SPRAWIE ZAGINIONEGO NASTOLATKA

Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że jest nowy trop w sprawie tajemniczego zaginięcia Łukasza Fowarczyka. Chłopiec wyszedł ze szkoły ponad tydzień temu i do dziś nie dał znaku życia.

– Na razie ze względu na dobro śledztwa nie możemy zdradzać szczegółów, ale...

KIERUNEK UKRAINA, CZYLI NOWY TROP W SPRAWIE ZAGINIONEGO CHŁOPCA

Nowy trop urywa się na Ukrainie! Właśnie tam miał trafić telefon 12-letniego Łukasza Fowarczyka.

Policji udało się go namierzyć dzień po zaginięciu, jednak ze względu na dobro śledztwa nie ujawniono szczegółów. Dziś wiadomo, że telefon należący do zaginionego chłopca w bardzo krótkim czasie znalazł się na granicy polsko-ukraińskiej.

Niestety, tam ślad się urywa, co oznacza, że telefon został wyłączony lub zniszczony.

– Być może rozładowała się bateria – powiedział mł. asp. Tomasz Witkowski.

Obecnie oficjalnym powodem zaginięcia jest porwanie.

– Łukasz napisał mi SMS-a, że idzie do kolegi – powiedziała nam Iwona Fowarczyk, matka zaginionego. – Odpisałam, żeby tylko przyszedł na obiad. Gdy nie wrócił na czas, pomyślałam, że się zasiedział...

*

Kusak czytał wszystkie informacje dotyczące zaginięcia Łukasza Fowarczyka.

Jeśli wierzyć prasie, nic, absolutnie nic nie było w tej sprawie wiadomo. „Ukraiński trop” urywał się zaraz po rozpoczęciu, nie było podejrzanych, nagrań z monitoringu, żadnych fizycznych śladów, niczego. Telefon może kiedyś znajdą, może nie. To jednak nie miało już żadnego znaczenia.

Lokalna prasa rozpisywała się o sprawie codziennie, ale ogólnopolskie dzienniki poświęciły jej kilka kolumn i to było na tyle. Codziennie ktoś gdzieś ginie, nie ma sensu rozpisywać się o tym jednym przypadku.

Kusak był bardzo ostrożny w dobieraniu ofiar. Miał swoje sposoby. Wiedział, że rodzina Fowarczyków nie ma żadnych wpływów, rodzice nie są nikim ważnym, nie mają kontaktów ani pieniędzy.

Tymczasem od zaginięcia minął miesiąc. Ludzie znudzili się tematem, prasa napisała wszystko, co mogła napisać, kilkakrotnie powtarzając te same fakty. Nic nowego w tej sprawie się nie pojawiało. Chłopak zaginął – i tak już pozostało. Rodzice wciąż walczyli, próbowali, szukali na własną rękę, rozmawiali z ludźmi. Nawet z Kusakiem. Oczywiście nawet nie podejrzewali, że ten miły człowiek, który zaangażował się w poszukiwania, mógłby mieć z tym coś wspólnego. Kusak pojawił się na spotkaniu zorganizowanym w ratuszu. Udzielał się jak każdy inny, nie za dużo i nie za mało, tak w sam raz, by nie wychylać się w żadną stronę.

To był ostatni dzień życia chłopca.

*

Kusak wszedł do niewielkiego, ciemnego pomieszczenia bez okien, zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. Podłoga wyłożona była linoleum, a ściany pianką wygłuszającą. Po zamknięciu drzwi na zewnątrz nie wydobywały się żadne dźwięki.

Ofiara siedziała na krześle przymocowanym do podłogi, przywiązana sznurami, z ustami zaklejonymi taśmą, skierowana w stronę ściany. Nie miała szans na ucieczkę.

Stał przed nią, uśmiechając się delikatnie.

Lubił ten moment. Ofiara wiedziała, że coś się dzieje, słyszała dźwięki, być może trochę światła docierało przez zasłonięte oczy. Oddychała głęboko i szybko.

Kusak położył dłoń na małej, wątej klatce piersiowej, czując bicie serca. Dudniło jak szalone – bum-bum!, bum-bum! – jakby miało połamać żebra.

Zdjął z oczu opaskę.

Chwilę trwało, zanim chłopiec odzyskał wzrok. Gdy dostrzegł, kto przed nim stoi, zaczął oddychać jeszcze szybciej, nozdrza rozszerzały się i kurczyły. W oczach miał przerażenie i jednocześnie nadzieję. Wiedział, kim jest Kusak. Znał go. Znało go wiele osób.

Kusak uwielbiał ten moment. Ofiara rozumie, co się dzieje, wie, kim jest mężczyzna, który ją porwał. To zrozumienie jest ostatnią rzeczą, jaka jej została na tym świecie.

Kusak zabrał się do pracy.

Najpierw w ruch poszły kombinerki. W ich uścisku palce trzaskały jak precelki. Potem nóż do filetowania ryb. Potem jeszcze inne narzędzia.

A potem ofiara była martwa.

Nie pierwsza i nie ostatnia.

ZIMA

Baskin Zachodnie, styczeń 2015

Gdy pod nogami Rudej zaczął pękać lód, myślała o wielu rzeczach. Przede wszystkim o tym, że to był głupi pomysł.

Brzeg przesłonięty gęstą mgłą oddalał się z każdym jej krokiem. Wystarczyło spojrzeć za siebie, by zrozumieć, że za późno na odwrót. Nie widziała go. Na wprost widniała rozmazana, nierówna krecha będąca zarysem przeciwległego brzegu. Musiała iść do końca.

Pomyślała o babci i dziadku. Jeżeli uda się jej dojść, już nigdy, przenigdy nie zrobi niczego, co znajdowało się na liście rzeczy zabronionych. O chodzeniu po lodzie dziadkowie co prawda nie wspominali, ale po prostu nie sądzili, że ich wnuczka ma na tyle nierówno pod sufitem, by mogła wpaść na taki pomysł. Z pewnością uplasowałoby się w czołówce, gdyby się dowiedzieli.

„Boże, dlaczego się w to wpakowałam?”

Odpowiedź była prosta jak konstrukcja gwoźdźcia. Bo dwóch pacanów, z którymi spędzała to wczesne styczniowe popołudnie, powiedziało trzy słowa.

– Nie zrobisz tego.

Tylko tyle.

Tyle właśnie wystarczy, by dwunastolatka wprosiła się na własny pogrzeb.

W głowie słyszała własny krzyk: – „Jazda, do cholery, idź! Idź i miej to za sobą!”

Spojrzała pod nogi. Lód wydawał się twardy, jeszcze nie solidny jak kamień, ale niewiele brakowało. Mimo to, mniej więcej w połowie drogi, mogła usłyszeć małe, pojedyncze pęknięcia. Dostrzegła też nierówne krechy na lodzie kreślące się we wszystkie strony jak pajęczyna.

Kraaa-kraaa-k!

W takiej sytuacji najlepiej się położyć. Podobno. Rozłożyć ciężar ciała, nie napierać na lód wyłącznie nogami.

Wszystko fajnie, ale praktyka ma to do siebie, że podciera sobie tyłek teorią.

Gdy stoisz na pękającym lodzie, chcesz pozostać na powierzchni jak najdłużej, trzymać głowę z dala od wody. Instykt tak każe. Z głową przy lodzie słyszałaby chlupiącą pod nim wodę.

Pomyślała o tym wszystkim w niecałe pięć sekund od pierwszego pęknięcia.

Potem z jej ust wypłynął cichy, dziewczęcy szept:

– O kurwa.

Podjęła decyzję.

Zastygła, biorąc głęboki oddech.

Po następnym kroku spod jej stopy rozeszła się kolejna pajęczyna pęknięć. Kanciasta siatka i przerażające kraaa-kraaa-k!, jakby los ostrzegął ją przed własną głupotą. „Zawróć. Zawróć, mała, póki jeszcze możesz.”

Obejrzała się ostatni raz.

Nic z tego. Za późno.

Do brzegu zostało na oko dwadzieścia metrów. Gdyby zawróciła, musiałyby przejść dwa razy tyle.

Ruszyła ponownie, wstrzymując oddech.

Kolejny krok, kolejne nitki pęknięć. Krak! Stawy w kolanach zastąpiła wata.

Idąc przed siebie, próbowała odpędzić przerażającą wizję. „Ślizga się, upada, lód pęka na amen. Koniec pieśni.”

„Boże, po co mi to było?”

Na brzegu przed nią pojawiły się zarysy dwóch postaci. Towarzyszył im chłopięcy, nerwowy śmiech.

Nienawidziła ich. Stali tam bezpieczni, rozemocjonowani, podczas gdy każdy jej krok mógł być tym ostatnim.

– Idziesz? – zawołał jeden z nich.

– Chłopaki – powiedziała spokojnie, walcząc z nerwami. – Lód zaraz pęknie.

– Nie pęknie – odpowiedzieli po chwili.

– Pęknie – powtórzyła.

„Po prostu idź” – mówiła w myślach. – „Idź powoli, delikatnie, powolutku.”

Tak też zrobiła.

Kraaa-kraaa-krak!

Zostało już naprawdę niewiele. Chłopcy wyłaniali się zza mgły. Widziała ich głupkowato uśmiechnięte miny.

– Chodź, chodź.

– No dawaj, idziesz czy nie?

Zanotowała w myślach, by zdzielić czymś ciężkim w łeb jednego i drugiego, jak tylko będzie miała ku temu okazję.

Kwadrans wcześniej było jej zimno. Temperatura sięgała minus dziesięciu stopni. Wystarczyło splunąć na chodnik, a po minucie ślina zamieniała się w kropeczkę lodu.

Sprawdzali.

Teraz było jej duszno. Pod czapką kryjącą ogniście rude włosy skóra zaczęła swędzieć. Nie czuła zmarzniętych palców i uszu.

Kilka metrów przed brzegiem lód pękł tak donośnie, że uwierzyła w swój koniec. Nawet uśmiechy dwójki chłopaków zastąpiło pełne napięcia oczekiwanie na najgorsze.

Postawiła kolejny krok – kolejne pęknięcie.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech, długi oddech.

Spokojnie. Tylko spokojnie, zaraz tam będę.

„I wtedy właśnie wleciała do wody.

A tam było piekło, całe zło świata, które paraliżowało jej ciało. Chłód, jakiego nie da się opisać, palił skórę. Oslepła. Ubrania, które chroniły przed mrozem, nabrały ciężaru i ciągnęły w dół.

Miotła nogami i rękoma, z ust wylatywały tysiące bąbli wypełnionych jej oddechem i krzykiem. Woda wdzierała się do gardła i nosa, mroząc drogi oddechowe.

Mimo wysiłku wciąż sunęła w dół, w ciemność, w stronę dna, w kierunku swojego końca.”

Otworzyła oczy, karcąc się w duchu za te idiotyczne wyobrażenia.

– Dawaj, Ruda, chodź! – zawołał jeden z brzegu. – Rusz się, bo zaraz naprawdę wpadniesz.

Wzięła ostatni oddech i zaczęła biec.

Wtedy lód naprawdę nie wytrzymał. Była już przy brzegu, gdy trzasnął przeraźliwie, a jej nogi znalazły się w wodzie, cholernie zimnej wodzie, zimniejszej niż wszystko inne. Na szczęście, gdy woda sięgała jej do pasa, uderzyły o miękkie, mulaste dno.

– Pomóżcie! – wrzasnęła, chwytając zmrożoną kępę trawy. Chichotała nerwowo, nie wierząc we własne szczęście.

Krocze zdążyło ścisnąć się jak twardy orzech, zanim chłopcy złapali ją za ręce i wytargali na brzeg.

Gdy stanęła na bezpiecznym gruncie, powiedziała to, co mówi każda osoba wchodząca do lodowatej wody:

– Kurwa, jaka zimna!

Teraz cała trójka mogła się śmiać.

Ze względu na ognieście rude włosy miała jedyną słuszną ksywkę – Ruda. Adrianna Majewska nienawidziła jej prawie tak samo jak miliarda piegów na całym ciele, zwłaszcza tych na twarzy. Nienawidziła ich wszystkich i każdego z osobna. W szkole dokuczali jej z tego powodu, choć dorośli twierdzili uparcie, że piegi skazą nie są. Dodają urody i charakteru, mówili.

Mhm, tak, jasne. Tylko że żadne z nich nie miało pojęcia, jak to jest być jedyną rudą dziewczyną w szkole.

Niewiele osób spoza klasy znało jej nazwisko, ale wszyscy kojarzyli tę rudą czuprynę. „No wiesz, ta ruda”. „Ta z rdzą na włosach”. „Ta, co opala się przez sitko”.

Miała trzynaście lat i skazę, przez którą będzie piętnowana do końca swoich dni – co do tego nie miała absolutnie żadnych wątpliwości – oraz kilku kolegów. Ani jednej koleżanki. Spora w tym zasługa tej tak zwanej „urody”, ale było coś jeszcze. Dziewczyny to niesamowicie nudne towarzystwo. Nigdy nie miała ciągot do zabaw lalkami, gry w klasy czy w gumę. Z zabawek akceptowała tylko misie, do dzisiaj miała ich sporą kolekcję, a lalki służyły wyłącznie do eksperymentów typu „ciekawe, czy uda mi się wyrwać jej nogę”.

Zdecydowanie wolała wdrapywać się na drzewa. W zimie jako jedyna dziewczyna w okolicy łąziła z chłopakami na garaże przy blokowisku, by poskakać z dachów w śnieżne zasy.

Problem tkwił w tym, że była dziewczyną, a te, jak wiadomo, w tym wieku przez chłopaków traktowane są jak trędowate.

Wiele rzeczy musiała udowadniać – jak to na jeziorze – pokazywać, że „ma jaja”.

Jej miejsce było na zewnątrz, na dworze, tam, gdzie przygody czają się wszędzie, na każdym drzewie, w opuszczonych budynkach, na boisku. Nie w pokoju na dywanie z Barbie w dłoni.

*

Gdy tak ciągnęła za sobą sanki, które zostawiały na śniegu dwie proste linie, zastanawiała się, czy dużo dzieciaków będzie na górze.

Wciąż utrzymywała się bardzo niska temperatura. Babcia powiedziała, że ostatnią taką zimę pamięta z czasów swojego dzieciństwa.

Z kominów domów, które mijała, leniwie wylatywały słupy dymu. Mlecznobiała barwa nieba nie dawała nadziei na ocieplenie przez najbliższy czas. Po mgłę, która opadła kilka dni temu – wtedy, gdy Ruda przeszła przez zamrożone jezioro – nie było śladu.

Podeszła do znaku drogowego i splunęła na słup.

– Raz, dwa, trzy... – odliczyła do dziesięciu i dotknęła. Ślina zamieniła się w zamarznąętą łzę.

*

Zjazd na sankach nie miał sensu. Góra była zbyt wyboista, płozy wbijały się w nierówności i hamowały gwałtownie na wybojach. Killkoro dzieciaków przekonało się o tym na własnej skórze.

Jakiś chłopak wpadł na genialny pomysł i przyniósł wielki foliowy worek po karmie dla psów. Usiadł na nim, przesunął się lekko w przód, trochę w tył, znów w przód i w tył, i znowu, tym razem ostatecznie, w przód. Zjechał z niewyobrażalną prędkością, szelest worka zagłuszał jego krzyki i przekleństwa. Po zatrzymaniu się u stóp zjechał potrzebował chwili, by wstać na nogi.

– Dupa boli, ale jest zajebiście! – zakomunikował przyglądającym się z góry kolegom.

Wszyscy poszli w jego ślady. Wkrótce na górze dominowały worki. Krzyki i śmiechy zjeżdżających roznosiły się po okolicy.

*

Dziesięcioletni Emil Czaja był jednym z niewielu, którzy pozostali wierni tradycji i próbował zjeżdżać na sankach. Za każdym razem kończył, lądując twarzą w śniegu.

Po którymś z kolei upadku usiadł, ze skupieniem obserwując miejsce katastrofy i mlaskając niepewnie.

– Chyba w coś wpadłem – powiedział z wahaniem do dziewczyny taszczącej pod górkę swój worek. Szła powoli, gibając się na wszystkie strony, za wszelką cenę próbując nie upaść i tym samym uniknąć upokarzającego zjazdu na tyłku.

– Co? – spytała.

– Nie wiem. – Mlask-mlask-mlask. – Chyba pies się tu zeszczął.

Parsknęła śmiechem.

– Serio?

– Nie wiem. Może. Chyba. Chyba tak.

– O boże, ohyda.

Znała go z widzenia. Spotykali się na szkolnych korytarzach. Wiedziała, jaka opinia się za nim ciągnęła.

Niezbyt lubiany, zawsze siedzący w kącie na korytarzu lub przed szkołą. Miewał „zawiechy”, patrzył wprost przed siebie, jakby obserwował powietrze, narażając się na oberwanie w głowę papierową kulką. Inni mówili, że potrafił na lekcjach szeptać do

samego siebie, zakrywać uszy i robić inne dziwne rzeczy, których normalni ludzie zazwyczaj nie robią.

Chyba że są nienormalni.

A, no i nie można zapomnieć o rozpoczęciu roku szkolnego, gdy po raz pierwszy miał przekroczyć próg szkoły. Podobno usiadł tuż przed wejściem i rozplakał się, wrzeszcząc przy tym, że chce do mamy i nie wejdzie do środka.

Nikt nie ma ochoty iść do szkoły, ale istnieje coś takiego jak godność.

Starsi bardzo często przypominali mu o tym, nabijając się z niego na szkolnych korytarzach, wycierając teatralnie oczy i łkając, że chcą do cyca mamusi.

Przestali dopiero po słynnym incydencie z cyrklem, który ostatecznie i na stałe przypieczętował jego opinię dziwaka.

– Weź jakiś worek – powiedziała do niego. – Pełno ich leży na górze. Zobaczysz, polecisz jak samolot.

Emil popatrzył na nią w ten swój dziwny, trochę nieobecny sposób, jakby nie potrafił pojąć tego prostego komunikatu, wypluł resztkę śniegu i podjął kolejny marsz pod górkę.

– Poczekaj. – Dziewczyna chwyciła go za rękaw kurtki. – Pomożesz mi? Sama chyba nie wejdem.

Z lekkim wahaniem chwycił ją za rękę.

– Dzięki. Tak w ogóle to Ada jestem.

*

Ruda siedziała na worku, obserwując dziwaka. Po raz kolejny próbował zjechać na sankach, przejechał z dziesięć metrów i poleciał na twarz.

Powoli robiło się ciemno. Metaliczna, szara barwa nieba ciemniała z każdym kwadransiem. Za godzinę ciemność całkowicie przykryje miasto. Powinna zbierać się do domu, jeśli nie chce mieć kłopotów. Na samą myśl o wejściu do rozgrzanego przedpokoju, zdjęciu butów i zrzuceniu kurtki, zrobiło jej się ciepło. Uwielbiała tę porę roku, ten zapadający popołudniem zmierzch, gorące grzejniki, powroty do domu na ciepły kisiel.

Zjechała ostatni raz, czując, jak tyłek i plecy obijają się o zamarzniete kępy trawy i kamienie. Gdy zatrzymała się u stóp wzgórza, wszystkie tylne części jej ciała pulsowały boleśnie. Miała problem ze wstaniem.

Emil Czaja minął ją, obdarzając przy okazji delikatnym, acz wyraźnie triumfalnym uśmiechem.

– I co, lepiej? – spytał.

2

W Baskin Zachodnim od zawsze ginęły dzieci. Tak się mówiło, choć to nie do końca prawda.

Zdanie to, powtarzane przez kolejne osoby – rodziców, dzieci, dziadków i babcie – w ciągu lat utkwilo w świadomości mieszkańców miasta i okolic, choć prawda była nieco mniej szokująca. Co nie znaczy, że problem nie istniał.

Problem był, i to poważny.

*

11 lutego 1343 roku mała osada Bazking, położona na zachodniopomorskich terenach należących wówczas do Niemiec, otrzymała prawo do korzystania z okolicznych lasów i jezior, uzyskując tym samym prawa miejskie.

Jak wiele innych osad i wsi, Bazking utrzymywało się z drobnego przemysłu – głównie spożywczego i drzewnego. Ze względu na położenie – pomiędzy Köslinem i Stolpem – z czasem rozwinął się również transport.

Osada rozrosła się w wieś, wieś w miasteczko. Powstawały nowe budynki mieszkalne, a ludzie, którzy szukali swojego miejsca w świecie, najpierw zatrzymywali się na kilka dni, a w końcu zostawali na stałe. Otwierano sklepy, zakładano nowe gospodarstwa, rozwijał się przemysł. Pod koniec osiemnastego wieku Bazking było jednym z najpoważniejszych dostawców wełny owczej magazynowanej kilka kilometrów dalej, w sąsiednim mieście Schlawe.

Wojna siedmioletnia i przemarsz wojsk napoleońskich przyniosły wiele zniszczeń i finansowych trudności, ale jeszcze w 1780 roku władze miasta zakupiły jezioro. Jego nazwa z tamtego okresu nie zachowała się w dokumentach, jednak w XXI wieku wszyscy nazywali je Topielec. Zbudowano tartak, młyn miejski, olejarnię oraz kaszarnię.

Miasto rozkwitło pod koniec XIX wieku. Otwarto nawet fabrykę zapalek.

Jednak podczas I wojny światowej wyraźnie podupadło. Wielu mężczyzn powołano do wojska. Brakowało środków transportu, surowców, a z czasem i żywności. Powojenny kryzys również dał się we znaki mieszkańcom Bazking. Pracę wstrzymać musiały: tartak, młyn, kilkanaście zakładów rzemieślniczych i betoniarnia.

Sytuacji nie poprawiła zbliżająca się wielkimi krokami kolejna wojna.

Później, na początku 1945 roku, Basking zostało niemal zrównane z ziemią przez atakujących Rosjan i broniących się Niemców.

*

Historia zaginięć dzieci w polskim już Baskin sięga czasów PRL-u. Jednak do pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych każde zaginięcie – a było ich niewiele – wiązało się z ucieczką z domu lub innym fałszywym alarmem.

Pierwszy przypadek, oficjalnie przypisany ciągnącym się do dziś „tajemniczym zaginięciom w Baskin”, datuje się na grudzień 1994 roku. Chłopiec wyszedł do sklepu i nigdy nie wrócił.

Drugi – w 1995 roku – rozpoczął falę domysłów i plotek, które przerodziły się w legendę miejską. Ktoś pamiętał mgliście, że w latach osiemdziesiątych zaginęło kilka osób. Jeśli dodać do tego zniknięcie sprzed roku i to obecne, proszę bardzo – mamy legendę miejską.

– Tutaj od zawsze ginęły dzieci – rzucał ktoś w towarzystwie przy piwie, kawie czy na przystanku autobusowym. Wielu spośród tych, którzy usłyszeli to zdanie, powtórzyło je swoim znajomym, tamci rodzinie, rodzina dalej... i tak nabierało mocy.

Drugie zaginięcie było tym kamyczkiem, który uruchomił lawinę. Fakty były takie: wszystkie zniknięcia wydarzyły się w 1994 i 1995 roku. Tyle.

Kolejny przypadek, latem 1997 roku, rozpalił miasto. Sprowadzono detektywów, gazety zaczęły się rozpisywać, przeczesywano okolice. Łapano podejrzanych, ale prędzej czy później ich zwalniano.

Zrodziło się wiele legend. Dzieci porywano do Niemiec na organy. Mordował je ktoś z okolicy. Uprawdzali je kosmici. Uciekały z domów. Ginęły w ciemnych wnętrzach bunkrów na peryferiach miasta. Tonęły w rzece. Legendy, jak to legendy, nie brały się z żadnego konkretnego źródła. Ktoś coś powiedział, ktoś inny dopowiedział, jeszcze ktoś dodał coś od siebie, przy okazji ujmując czegoś innego, tworząc w ten sposób łańcuch domysłów, które ani na centymetr nie przybliżyły nikogo do wyjaśnienia zagadki.

W szkole podstawowej regularnie prowadzono lekcje na temat bezpieczeństwa. Nauczyciele powtarzali swoim podopiecznym, by chodzili w grupach, odprowadzali się nawzajem i przede wszystkim nie wracali sami po zmroku. Co i tak nie miało większego znaczenia, gdyż dzieci ginęły również za dnia.

Teorię o grasującym w okolicy mordercy odrzucono, ponieważ nigdy nie znaleziono ciała. Żadne poszlaki nie wskazywały na konkretną osobę.

Gdy założono monitoring w centrum miasta, mieszkańcy odetchnęli z ulgą, przynajmniej oficjalnie. Mówiło się o większym bezpieczeństwie i szybszej reakcji służb w razie kolejnego zaginięcia (do którego, miejmy nadzieję, już nigdy nie dojdzie – dodano w oficjalnym komunikacie).

Liczba pieszych patroli powiększyła się wraz z kolejnym zniknięciem. Przeczesywano okolice, niezacementowane bunkry w pobliskich lasach, sprawdzono rowy melioracyjne, jezioro Topielec. Nic. Ani śladu.

Zrozpaczone rodziny nigdy nie zrezygnowały z poszukiwań – nie licząc smutnego wyjątku Iwony Fowarczyk, która pod koniec 2014 roku popełniła samobójstwo. Organizowano spotkania, marsze przypominające o wciąż czyhającym zagrożeniu, temat pojawiał się podczas obrad w ratuszu.

Sprawdzano pokoje zaginionych. Wszystkie ich rzeczy osobiste poddawane były badaniom, czytano wszystkie e-maile i wiadomości na Facebooku, przyglądano się znajomym dzieci.

Na porannych odprawach w komendzie przypominano policjantom o zaginięciach, z czasem coraz bardziej lakonicznie, aż w końcu ktoś przybijał w aktach pieczętkę „niewyjaśnione-zakończone”. Maksymalnie po roku nikt się tym specjalnie nie emocjonował. Poza rodzicami, rzecz jasna.

3

Ferie zimowe nieubłaganie dobiegały końca, mroczne widmo szkoły wyłaniało się zza horyzontu, mijały krótkie dni – zmrok zapadał chwilę przed piątą po południu, więc Ada Majewska starała się wykorzystać ostatnie chwile wolności najlepiej, jak się dało.

Nie widziała Emila Czai do rozpoczęcia nowego półrocza, choć kilka razy wspomniała o nim kolegom.

– On jest w porządku – powiedziała, gdy jeden z chłopaków rzucił z przekąsem, że znalazła sobie chłopaka. – I nie jest moim chłopakiem.

– Na pewno? – spytał z szyderczym uśmiechem.

– Na pewno. Prędzej twoim.

Kręcili się po mieście, szukając co lepszych miejsc na ślizgawki. Niewielki pagórek przy szkole okazał się idealny. Spędzili tam cały dzień, zjeżdżając dwa metry w dół, często spadając na tyłki.

Innego dnia ktoś przyniósł petardy. Sylwester minął, ich dostępność stawała się coraz trudniejsza, więc musieli przepłacać, kupując je od starszych chłopaków za dwukrotnie wyższe ceny.

Ruda kojarzyła jednego z nich. Wiedziała, że ma petardy zawsze, o każdej porze roku, a latem zbija na nich fortunę. Teraz zainkasował „tylko” półtorej stawki.

Zakupili całkiem okazały zestaw. Wpychali odpalone petardy do śnieżek i podrzucali w górę. Po każdym wybuchu przez kilka sekund padał drobny śnieg.

Po zapadnięciu zmroku robiło się jeszcze ciekawiej – i to bolało ją najbardziej, gdyż musiała wracać do domu. Kilka razy miała przez to ogromne kłopoty i absurdalnie długie szlabany.

Pod osłoną nocy dzwonili do domofonów. Rzucali śniegiem w okna i przejeżdżające autobusy. Kiedyś, gdy wiali, bo kierowca zatrzymał pojazd i wybiegł na zewnątrz, Tomek Sawicki, najstarszy i najsilniejszy w grupie, poślizgnął się na lodzie i zaliczył spektakularną glebę, gniotąc paczkę papierosów i rozwalając smartfona. Biegła za nim, wszystko widziała, więc dostała takiego ataku śmiechu, że sama też się wywaliła.

Swoją drogą ten upadek wydawał jej się dobry. Od jakiegoś czasu spojrzenie Tomka Sawickiego wywoływało u niej ciepło w brzuchu i przyjemnie było doświadczyć

czegoś, co ich połączyło. Nawet, jeśli miał być to głupi upadek na dupę.

Tuż przed zakończeniem ferii zapomniała się i wróciła do domu po siódmej, kiedy ciemność na dobre przykryła miasto. Prawie trzy godziny po zmroku.

Stała w progu, otrzepała się ze śniegu i weszła do salonu. Grażyna Majewska, sześćdziesięcioletnia kobieta o krótkich włosach, z okularami na nosie, siedziała przed telewizorem. Zmierzyła wnuczkę wymownym spojrzeniem i wróciła do oglądania programu.

Bartosz Majewski, lat sześćdziesiąt pięć, stanął za nią z pasem w ręku.

– Przepraszam – powiedziała Ada, patrząc na niego mokrymi oczami.

Nie darował, a ona nie protestowała. Znała rutynę. Spokojnie dała się zaprowadzić do pokoju, gdzie wymierzono jej brutalną karę w postaci kilkunastu mocnych uderzeń.

Po wszystkim dziadek wsunął pas z powrotem w spodnie i wyszedł z pokoju.

– Nigdy więcej. Nigdy więcej, Adrianno – powiedział na wychodnym, zostawiając ją z bólem i wnioskami do wyciągnięcia. Tylko on mówił do niej pełnym imieniem.

*

Na dwa dni przed rozpoczęciem szkoły Tomek Sawicki zakomunikował grupce, że wie, gdzie znajdują się niemieckie groby, jeszcze sprzed wojny, i jak ktoś chce iść, musi uiścić opłatę w postaci dwóch szlugów.

Zrzuciły się cztery osoby, w tym Ruda. Cicha nadzieja, że od niej nie weźmie – uśmiechnie się tylko porozumiewawczo i pokręci delikatnie głową – prysła, gdy wyciągnął w jej stronę otwartą dłoń.

– Idziesz, Ruda, czy nie? – spytał.

Północno-zachodnia granica Baskin znajdowała się głęboko w lasach, które ciągnęły się kilometrami, dzielone jedynie przez pola uprawne. Przy okazji każdego zaginięcia przeczesywano je wzdłuż i wszerz.

To właśnie tam, według Sawickiego, stało kilka zapomnianych grobów.

– Jest nawet kilka mniejszych, wiecie, z dzieciakami – dodał, chcąc przekonać w ten sposób wszystkich, którzy dali mu fajki, że to była dobra decyzja.

– A skąd wiesz, że naprawdę tam są? – spytała Ruda. Skoro miała oddać swoje, musiała mieć pewność.

Sawicki prychnął lekceważąco.

– To daleko. Pewnie i tak nie dasz rady dojść.

Bez słowa dała mu dwa ostatnie papierosy.

*

Umówili się na dwunastą przy trzepaku niedaleko wejścia na działki, za którymi ciągnęło się pierwsze pole uprawne.

Przyszło kilka dodatkowych osób, których nie znała. Mniej więcej kojarzyła nazwiska – Wojtek Walczak, Paweł jakiś tam, Marcin Dosowski i Grzegorz Barański albo Baroński, jakoś tak – mijala ich codziennie w szkole.

W sumie siedem osób, co zakrawało na akcję z prawdziwym rozmachem. Rzadko kiedy udaje się odciągnąć tylu ludzi – chłopaków – od Call of Duty i Minecrafta w mroźne, ponure południe pod koniec ferii.

Tomek Sawicki, nieformalny przywódca grupy, jako pierwszy zrobił kwaśną minę, gdy zobaczył, z kim pojawiła się Ruda.

– A co to, kurwa, jest? – spytał cicho.

Wszyscy spojrzeli na Emila-dziwaka-Czaję. Stał obok Rudej, próbując jakoś sobie z tym poradzić. Wyglądał, jakby każde spojrzenie, które na nim zawisło, ważyło kilka kilogramów. Był bliski ugięcia się pod ciężarem ich wzroku.

– Pójdzie z nami – poinformowała Ruda. Spotkała go po drodze i spytała, czy chce zobaczyć coś fajnego. Zgodził się. – To jest Emil, jakby ktoś nie wiedział.

– Wiemy, że to Emil – rzucił ku uciesze innych chłopak w kapturze. – Wszyscy bardzo dobrze go kojarzymy.

Nastąpiło chwilowe spięcie o dodatkowe papierosy, które należały się Sawickiemu za dziwaka-Czaję. On sam popatrzył niepewnie na innych, daremnie szukając wsparcia.

– Dobra, masz. – Ruda podała mu jednego zgniecionego – jedyne, jakiego udało jej się ukraść z domu.

– Drugiego oddasz później – rzucił Sawicki po chwili ciszy. Potem ruszyli bez słowa.

*

Emil Czaja czuł się głupio. Gdyby wiedział, że propozycja Ady obejmuje długi marsz w tym towarzystwie, podziękowałby. Kiedy się zorientował, było już za późno. Wyszedłby na idiotę, a wychodzenie na idiotę w wieku dziesięciu lat jest boleśniejsze niż kiedykolwiek później.

Szedł obok niej, mało mówił, głównie przytakiwał i uśmiechał się we właściwych, jak sądził, momentach.

Działki, przez które się przedzierali, przedstawiały doprawdy beznadziejny widok. Ziemię przykrywała gruba pierzyna śniegu. Drzewa, w lecie obsypane czereśniami i zielenią, wyglądały teraz, jakby cierpiały na zaawansowany artretyzm.

Kumple Sawickiego zaglądali do przypadkowych altanek. Kilka razy byli blisko wybicia szyby w którejś z nich, ale rozsądek brał górę. Czy raczej głos sprzeciwu Sawickiego, który uważał się za lepszego od wszystkich, zbyt dobrego, by brać udział w czymś tak prymitywnym.

Ruda szła w smutnym zamyśleniu. Niebo zasłaniały gęste, szare chmury, mróz dawał popalić, śnieg nie lepił się prawie wcale, ale przynajmniej nie było mgły. No i najważniejsze, mijały ostatnie godziny wolności. Wkrótce znowu do szkoły.

To jednak potem. Teraz Ruda starała cieszyć się chwilą, świadomością, że po powrocie do domu czekać będzie obiad, ciepły grzejnik, przy którym bez wątpienia usiądzie, i kisiel. Babcia już dwa lata wcześniej nauczyła ją, jak się go robi.

*

– Co on wyprawia? – Zirytowany głos Sawickiego ściągnął ją z powrotem na ziemię.

Obejrzała się. Emil stał kawał za nimi. Jako że był najmłodszy i najmniejszy z nich wszystkich, śnieg sięgał mu po kolana. Po jego prawej stronie stała niewielka, obskurna altanka. Gapił się na nią.

Wszyscy ruszyli dalej.

– Ej, poczekajcie, no – powiedziała, ale nikt jej nie słuchał.

– Ty go zabrałaś, ty go niańcz. – Sawicki splunął i dołączył do reszty.

Podeszła do Emila po śladach, które zostawili. Po kwadransie przedzierania się przez śnieg to była miła odmiana.

– Co jest? – spytała.

Chłopak spojrzał na nią dziwnym, nieobecnym wzrokiem, po czym znów skupił się na altance.

– Halo, jesteś tu? – Ruda pstryknęła palcami tuż przed jego twarzą. – Hej, tu planeta Ziemia, odbiór.

Liczyła, że żartobliwy ton pomoże, ale nic z tego.

Zachowywał się tak, jakby jej nie było. Spojrzała w bok. Działki podzielone płotkami, drzewa. I ta altanka. Nic takiego.

A jednak jego spojrzenie mówiło coś zgoła innego.

– Hej! – Klasnęła w dłonie i dopiero to podziałało. Spojrzał na nią zaskoczonym wzrokiem. – Zostajesz czy co? Patrz, wszyscy już poszli.

Ruszyła przed siebie, co jakiś czas zerkając do tyłu. Szedł za nią bez słowa.

*

Godzinę zajęło, zanim dotarli do tego konkretnego lasu na końcu świata. Nie było widać nikogo ani niczego zbudowanego ludzką ręką. Odludzie. Cichy szum samochodów sunących po krajowej drodze dwa kilometry stąd był jedyną oznaką cywilizacji.

– Na co się tam patrzyłeś? – zapytała. Wydawało jej się – a może nie? – że w oczach Emila czał się strach.

– Nic – rzucił krótko.

Mimo to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że im bliżej celu, tym bardziej miał ochotę zrobić w tył zwrot i wrócić do miasta.

– Boisz się czegoś – bardziej stwierdziła niż spytała.

Na to już nie odpowiedział.

Wcześniej dziwiła się, dlaczego miał opinię dziwaka. Teraz już nie bardzo.

*

Groby były tuż przed nimi.

– Tam są – powiedział Sawicki. – W tym lasku.

Ruda dyszała prawie jak po maratonie. Przedzieranie się przez wysoki śnieg robiło swoje.

Las był niewielki, głównie bukowy.

Minęło kilka minut, zanim zmiotli z pierwszego nagrobka grubą warstwę śniegu. Daty narodzin i śmierci były zamazane. Tak samo na kilku kolejnych. Nagrobków było w sumie sześć, jeden obok drugiego.

– Dlaczego pochowali ich tutaj? – spytał jeden z kumpli Sawickiego. – Przecież w Baskin jest cmentarz.

– Ale to niemieckie groby – zauważył Sawicki. – Na polskim cmentarzu nie chowa się szkopów.

Na jednej z mogił stał krzyż – dwa zespawane ze sobą metalowe pręty. Kilku ciekawskich sprawdziło, czy można go wyrwać. Ciągnęli za ramiona, próbując gibać nim we wszystkie strony. Bezskutecznie. Nawet nie drgnął.

– Pewnie jest przymocowany do trumny.

Łazili od grobu do grobu, oceniając stan płyt i wciąż próbując wyczytać cokolwiek z napisów.

Ruda, choć zaczęła marznąć, dotknęła zimnymi dłońmi uszu. Były rozpalone. Całe

stopy miała przemoczone i zmarznięte.

W całej krzątaninie nikt nie zauważył braku Emila. Dzieciak trzymał się na uboczu, na skraju lasu.

– Co on robi? – spytał ktoś.

Sawicki spojrział na niego i Rudą. Irytowała go jego obecność i jej troska o niego.

– Kogo to obchodzi?

Dziewczyna podeszła do Emila.

– Nie idziesz zobaczyć? – spytała.

Stał za drzewem, jakby przed czymś się zasłaniał.

– Nie powinni tego robić.

– Czego? – spytała, odwracając się za siebie. W zasadzie nie robili przecież niczego złego, może poza tymi idiotami, którzy znów próbowali wyrwać krzyż. Pozostali kręcili się wokół grobów – i co z tego? Może nie zachowywali się po harcersku, ale miała wrażenie, że jemu chodziło o coś innego.

– Ja wracam – powiedział, zasłaniając uszy. Widziała, że są tak samo czerwone jak jej.

Nie zdążyła niczego powiedzieć. Po prostu odwrócił się i ruszył truchtem przed siebie, z powrotem.

Zawołała kilka razy, ale nie zareagował.

Wracać z nim czy zostać z chłopakami?

Emil wciąż się oddalał, zaczął nawet biec, co było nie lada wyczynem, bo na tym wygwizdowie, w tym śniegu, szło się wystarczająco ciężko, by o biegu nawet nie myśleć.

Wywalił się, ale to go wcale nie zniechęciło. Wstał i biegł dalej.

„Ucieka” – pomyślała. – „Przed czym on ucieka?”

Z czasem stał się dla niej tylko kreseczką na białym, śnieżnym tle. Kreska zamieniła się w kropeczkę, aż ostatecznie zniknęła, wtapiając się w rozmazaną linię horyzontu.

Po chwili zastanowienia Ruda wróciła do chłopaków.

– Po cholereę przyprowadziłaś tu tego dziwoląga?

Zignorowała pytanie.

*

Wracała sama.

Wszyscy postanowili iść dalej, do kolejnego lasu, sprawdzić, czy znajdą jeszcze coś ciekawego. Ona miała dość. Poza tym robiło się już szarawo, niedługo zapadnie zmrok, a zbyt dobrze pamiętała ciężką rękę dziadka, by się przejmować chłopakami.

Była zmarznięta, w brzuchu jej burczało, myślała już tylko o powrocie do domu. Pragnęła zjeść tosta albo piętę, całą stertę tostów, a potem wsunąć się pod koc na sofie.

Próbowała iść po śladach, które sami wydeptali, ale kiedy ganiali pomiędzy grobami, znowu rozpadał się śnieg i zasypał odciski stóp.

Brodziła w śniegu, starając się nie myśleć o jedzeniu. Widziała już pierwsze działki i fragment przykrytego mgłą Baskin.

*

Na działkach natknęła się na Emila Czaję.

Siedział w śniegu przy dróżce. Jej pierwsza myśl była taka, że młody się wygłupia, ale szybko zmieniła zdanie.

Chłopak kiwał się wprzód i w tył, cały dygotał i płakał.

– Jezu! Emil, co się stało?

Uklękła przed nim. Uczucie przemarznięcia i ssącego głodu zniknęło.

Musiał płakać od dłuższego czasu. Do policzków i górnej wargi przymarzły łzy i smarki. Nie zauważył jej obecności, choć mówiła do niego i potrząsała jego dygoczącym ciałem.

– Emil, wstawaj, będziesz chory. Wstawaj, no!

I wtedy usłyszała krzyk, tak jakby, chyba krzyk. To było coś bardziej jak

(hej mały hej spójrz tutaj!)

wołanie. Jakby dolatywało z bardzo daleka, zza mgły.

Rozejrzała się gwałtownie. Nic, nikogo. Ale przecież słyszała kogoś, na pewno.

W jej głowie rozbrzmiał alarm ostrzegawczy, który już dawno zamontowali jej rodzice, dziadek i babcia oraz nauczyciele w szkole. Jeżeli zobaczy coś podejrzanego, nieznaną osobę, ktoś będzie szedł jej śladem, ma natychmiast krzyknąć, biec do ludzi, dać o sobie znać.

Bo w Baskin od zawsze ginęły dzieci.

– Boję się – powiedział Emil. Jego szczęka drgała, zęby szczękały głośno.

– Ktoś ci coś zrobił? – spytała, wstając na nogi. Uważnie zlustrowała okolicę, ale w dalszym ciągu nie dostrzegała niczego podejrzanego.

Tyle że coś tu było. Jakaś groza, coś niebezpiecznego. Czuła na sobie czyjś wzrok.

Zaginione dzieci.

Płacz rodziców.

Zaginione i nigdy nieodnalezione.

Była gotowa do ucieczki, chciała biec przed siebie, w stronę miasta. Do zapadnięcia zmroku zostało jeszcze trochę czasu, ale o tej porze na działkach nie było nikogo, co znaczyło, że każdy, absolutnie każdy świr, porywacz czy inny Czarny Lud mógł się na nich czaić. Teraz pewnie czyha, obserwuje swoimi małymi, czarnymi ślepiami dwie potencjalne ofiary.

Uciekłyby. Przypomniała sobie o żelaznej filmowej zasadzie – uciekający tchórze zawsze giną – ale to nie był film. Uciekłyby i była gotowa to zrobić w każdej sekundzie.

Tylko że był jeszcze Emil.

– Proszę cię, Emil, chodźmy stąd.

Musiała powtórzyć to kilkakrotnie, za każdym razem używając łagodnego tonu, żeby w końcu podziałało.

Wstał powoli, wciąż chlipiąc i przywierając do niej w mocnym, dziecięcym uścisku.

Ruszyli w stronę miasta, Emil szlochał i przepraszał, a ona powtarzała, że nie ma za co.

Przez całą drogę do miasta nie obejrzała się za siebie. Za bardzo się bała. Jej uszy płonęły od gorąca.

*

Uparła się, że odprowadzi go do domu.

– Nikt mi nic nie zrobił – przekonywał Emil, już na spokojnie, bez płaczu.

Uspokoił się wreszcie.

Stali pod jego blokiem.

Oczami wyobraźni widziała minę jego matki, gdy zobaczy go w takim stanie. Woląca nie być wtedy w pobliżu.

– Na pewno wszystko gra? – spytała po raz setny.

– Na pewno. Wszystko okej.

Zgarnęła dłońmi trochę śniegu i wytarła mu twarz, zmywając resztki smarków i łez.

– Dziękuję – powiedział.

Patrzyła, jak znika w ciemnościach klatki schodowej.

4

O drugiej w nocy Kusak siedział przed laptopem.

Przeglądał swoje dwadzieścia siedem profili na Facebooku, dwanaście męskich i piętnaście żeńskich. Zarządzał też pięcioma fanpejdżami o tematyce typu „Gimnazjalne dupeczki”, „W tym kraju trzyma mnie tylko grawitacja” i „Beka w gimnazjum”. Wszystkie odwiedzane przez tysiące ludzi, w tym dzieci w wieku, który interesował go szczególnie.

Fikcyjne konta służyły do gromadzenia znajomych. Przeciętny dzieciak ma od dwustu do tysiąca znajomych na Facebooku, często i więcej. Nowi znajomi przychodzą i odchodzą, klikają zaproszenia i akceptują zaproszenia innych, nawet ich nie kojarząc.

Konta Kusaka miały wszystko – wpisy na temat nudnego dnia, dobrych obiadów, wypadów z fikcyjnymi znajomymi. Każde z kont miało od dwustu do około tysiąca znajomych.

Przeszukiwał teraz profile kilku z nich, czytał ich wpisy, robił notatki, przeglądał zdjęcia, grupy, do których się zapisali, i strony, które odwiedzali.

W ten sposób wyłowił dziesięć osób.

Z tej dziesiątki zamierzał wybrać piątkę. Na tym etapie upewniał się, że ich rodzice nie byli nikim zamożnym, nie mieli wpływów, wujków na komendzie, nikogo, kto pociągnąłby za więcej sznurków niż typowy Kowalski.

Ważnym elementem było też nakreślenie dokładnego planu dnia ofiary na podstawie jej aktywności online.

Dzieciaki piszą o wszystkim, robią check-in wszędzie, gdzie się da, piszą o tym, gdzie były, gdzie pójdą, z kim wracają do domu, autobusem czy pieszo, jakie mają lekcje, do której, czy zostają same na noc. Kusak będący ich znajomym wiedział o nich wszystko.

Kiedyś to nie było takie proste. Potrafił śledzić potencjalną ofiarę tygodniami, miesiącami. Raz zajęło mu to ponad rok. Musiał upewnić się, że może ją dopaść i nie będzie miał nikogo na ogonie.

To nawet zabawne, że niektóre z ofiar, które znalazły się na celowniku, nadal żyły. Nie miały pojęcia, jak blisko otarły się o śmierć. Kusak czyhał na nie tygodniami,

czekając na dobry moment, a kiedy zrozumiał, że ryzyko jest zbyt wielkie, dawał za wygraną.

Ale nic nie szkodzi. Potencjalnych ofiar było mnóstwo. Nie musiał ryzykować – zwłaszcza teraz, w dobie wszędobylskiego Internetu. To bezdenna kopalnia informacji. Jeśli ktoś wie, jak jej używać, z łatwością może się dowiedzieć wszystkiego, czego potrzebuje o rodzicach ofiary, ich znajomościach, ewentualnych koneksjach. Czyli w skrócie: jak bardzo ich działania mogłyby zaszkodzić Kusakowi?

Wybrał ofiarę.

Miała konto na Facebooku, Instagramie, NK i kilku innych portalach. Z wpisów i aktywności wynikało, że poprzedniego ranka nie robiła nic interesującego. Po południu spotkała się ze znajomymi, całą zgrają znajomych, i poszła za miasto, daleko w lasy, by zobaczyć niemieckie groby.

W okolicznych lasach było ich dużo, podobnie jak bunkrów, okopów, niewypałów oraz innych pozostałości po wojnie.

Ofiara wstawiła na Facebooka zdjęcia grobów i kumpli.

Wieczorem grała w Call of Duty.

Do północy jej konto było aktywne. Potem najwyraźniej poszła spać.

Kusak przeglądał po raz kolejny jej historię, czytał wpisy i robił w głowie notatki: „Już niedługo ją dopadnie. Bo może. To takie proste. Wielu ludzi chce różnych rzeczy, ale nie może. On może, potrafi i chce. Nikt go nie złapie. Żaden policjant nie spyta, czy może zadać mu kilka pytań.”

Kusak był na to za sprytny.

Był łowcą, był Kusakiem.

Niedługo skończą się ferie. Dzieciaki będą wracać do domów po zmroku.

Zanim położył się spać, miał już wybrane miejsce i datę porwania ofiary.

5

Jutro do szkoły.

Ada Majewska miała ten fakt w głowie z nadzieją, że stanie się mniej bolesny. Jutro szkoła i musiała się z tym pogodzić.

A w godzeniu się z brutalnymi faktami miała wprawę. Jej rodzice nie żyli.

*

Siedziała na parapecie w swoim pokoju, ubrana w pidżamę i kurtkę. Okno było otwarte, zimno wdzierało się do środka.

Przyglądała się niebu. Było czarne jak smoła i podziurawione jasno świecącymi gwiazdami.

– Mamo, tato, jesteście tam?

W dłoni trzymała stare, sfatygowane walkie-talkie.

Już dawno nie próbowała skontaktować się z rodzicami. Zresztą w głębi serca wiedziała, że to nie stanie się już nigdy. Nie można rozmawiać ze zmarłymi. Jej rodzice leżeli na cmentarzu i jedyne, co jej zostało, to właśnie ta krótkofalówka, prezent od taty. Kiedyś, zaraz po ich śmierci, przepelniała ją nadzieja, że fale sięgną tam, gdzie oni teraz są, gdziekolwiek to jest.

Przyłożyła ją do twarzy, naciskając przycisk.

– Mamo, tato, jesteście tam? Odbiór. – Chwila przerwy w oczekiwaniu na odpowiedź, która nie nadeszła wcześniej i miała już nigdy nie nadejść.

Nie chciała ich zapomnieć. Wielokrotnie słyszała, że „czas leczy rany”, i z całego serca nienawidziła tego powiedzenia. Głównie dlatego, że było prawdziwe.

Im więcej czasu mijało od wypadku, który zabrał jej rodziców, tym częściej uświadamiała sobie, że pamięta ich coraz słabiej.

Głos mamy i taty, ich twarze i śmiech, delikatność, z jaką budzili ją do szkoły, powroty z pracy, odbieranie ze szkoły, sporadyczne kłótnie, których teraz żałowała. Wszystko blakło, płowiało.

Zapominała – i to ją bolało.

Twarze na pogniecionym zdjęciu, które zawsze miała przy sobie, stawały się coraz bardziej płaskie. Fotografia coraz gorzej spełniała swoją funkcję – nie odsyłała już do

wspomnień. Życie i czas po troszku zacierały wszystko, co było przed wypadkiem. Ona przeżyła, wyszła z tego cało – nie licząc zwichniętego nadgarstka. Rodzice nie.

Chciała tęsknić.

Wielokrotnie słyszała – głównie od babci, dziadka i psychologa – że dla własnego dobra powinna się z tym pogodzić. Tak chcieliby jej rodzice.

Dla niej było to równoznaczne z samolubstwem i niewdzięcznością za życie, które jej dali. Chciała tęsknić, musiała, to było właściwe, to było w porządku. Ale zapominała – i to bolało jeszcze bardziej niż bycie sierotą.

– Mamo, tato, halo. Odbiór.

Nigdy nie zdradziła nikomu, po co trzyma walkie-talkie, skoro nie ma drugiego. Chłopaki pytali czasem, dlaczego zabiera krótkofalówkę do szkoły, chcieli odkupić, pożyczyć, ale nikomu nie pozwoliła nawet jej dotknąć.

Gdyby dziadkowie się dowiedzieli, z pewnością nasłaliby na nią psychologa, tak jak zrobili to zaraz po wypadku.

Nigdy nie chciała rozmawiać na ten temat. Nie było jej z tym ani dobrze, ani źle. Po prostu milczenie bolało mniej. Rozmowa to rozdrapywanie strupa, który nigdy, przenigdy nie zagoi się do końca. Lepiej zostawić go tak, jak jest.

*

Nie widziała się z Emilem aż do powrotu do szkoły.

Od chłopaków z klasy dowiedziała się, że dzieciak nie ma ojca. To znaczy miał, ale ten ojciec któregoś dnia wyjechał do pracy i tyle go widziano. Matka natomiast nie była zainteresowana życiem towarzyskim. Znajomi Rudej, którzy mieszkali na tym samym blokowisku, mówili o niej to, co o Emilu, tylko jeszcze gorzej. Że wariatka. Że siedzi całymi dniami w oknie i wrzeszczy na dzieciaki grające w piłkę pod jej blokiem. Że pastwi się nad dziwakiem i dlatego on jest, jaki jest. Że wiecznie urządza sąsiadom afery i robi zadymy w warzywniaku o zgniłe jabłko.

– A słyszałaś o tej akcji z cyrklem? – spytał Tomek Sawicki, gdy wracali razem ze szkoły.

– Ta. Wsadził sobie w ucho.

– Nie wsadził, tylko wbił. Coś najpierw mówił, zaczął krzyczeć czy coś, i chlast! – Sawicki teatralnie wsadził kciuk do ucha. – Wbił tak mocno, że krew tryskała. Wpadł w jakieś drgawki, wrzeszczał i w ogóle.

– Kiedy to było?

– Ze dwa lata temu jakoś. Na letnim kursie. Wbił go, kurwa, prawie do mózgu.

Kolejna opinia nieprzemawiająca na korzyść matki Emila. Żaden rodzic o zdrowych zmysłach nie wysłałby swojego dzieciaka do szkoły w trakcie wakacji.

Tego dnia widziała, jak młody siedział pod salą gimnastyczną z podwiniętymi nogami.

Już wcześniej widywała go w takiej pozycji, ale nigdy nie zwracała na niego szczególnej uwagi. Ot, kolejny cichy łebek, którym nikt się nie interesuje i którego nie interesuje nic poza własnym, szczelnie zamkniętym światem. Często musiał walczyć z zaczepkami znudzonych idiotów ze starszych klas.

Osobiście nic do niego nie miała, poza malutką dozą sympatii za to, że nigdy nie zaczepił jej z powodu koloru włosów.

Chciała do niego podejść, ale ewidentnie nie życzył sobie towarzystwa. Nawet trzynastolatki potrafią odczytać proste sygnały wysyłane za pomocą mowy ciała.

– Teraz nie słyszy na to ucho – kontynuował Sawicki.

Wyszli właśnie z parku i przecięli ulicę.

Rozmawiając o Emilu, Sawicki nie mógł się powstrzymać od szyderczego uśmiechu. Palił papierosa, którego podkradła dziadkowi specjalnie dla niego. Sama nigdy nie zaciągnęła się ani razu, choć proponowali jej to niemal codziennie.

– Nie powiedział nigdy, dlaczego to zrobił?

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? To ty przyprowadziłaś go na groby, co nie? Mogłaś się spytać. To twój chłopak, nie mój.

Chciała ostro zaprotestować, ale Sawicki tylko machnął ręką, rzucając „nara”, i poszedł w stronę swojego blokowiska. Tym samym jej cicha nadzieja, że nadłoży trochę drogi, odprowadzi ją i dzięki temu spędzą razem trochę więcej czasu, zniknęła wraz z papierosowym dymem. Mogła go o to poprosić, ale chciała, by zrobił to z własnej, nieprzymuszonej woli.

Nigdy nie przyznałaby się nikomu, ale Sawicki bardzo jej się podobał. Wysoki, ciemne, fajnie ułożone włosy, zadziorne spojrzenie. Imponował jej.

Gdy zbliżała się do domu, zapadał już zmrok. W oknach paliły się światła.

*

Następnego dnia znów zobaczyła Emila. Siedział pod ścianą dokładnie w tej samej pozycji. Po chwili namysłu podeszła do niego.

– Cześć.

Spojrzał niepewnie w górę.

– Cześć.

– Co tam?

– Dobrze.

Na tym skończył się temat do rozmowy.

– Co się wtedy stało? – Minęło już parę dni, nadszedł moment, kiedy można wspominać to z uśmiechem. Tak było wśród innych chłopaków.

Na to pytanie jednak już nie odpowiedział.

*

Tomek Sawicki ukląkł przyczajony w krzakach, a wraz z nim dwójka innych chłopaków i Ruda.

– To on porywa dzieci – powiedział konspiracyjnie. – Mogę dać sobie palec uciąć.

Obserwowali podwórko Gargamela.

Gargamel mieszkał w jednym z ostatnich domów przy blokowisku Emila. Stara, przedwojenna chata z czerwonej cegły, niewielkie gospodarstwo i działka.

I piwniczne okno tuż przy ziemi.

– To tam – dodał. – Tam podobno trzyma ich rzeczy. Ciała zakopuje gdzie indziej.

Nie wiedziała, skąd Sawicki wziął te informacje. Wiedziała natomiast, że były wyssane z palca.

Gargamel znali wszyscy w mieście.

– Wie, że nikt go nie będzie podejrzewał. Ale to on, mówię wam.

Nikt nigdy nie pokwapił się, by sprawdzić, jak brzmi prawdziwe imię Gargamela. Nie było po co. Swoim wyglądem – chudą, lekko przygarbioną sylwetką, łysiejącą głową i, cytując Sawickiego, nosem wielkości lotniska dla bombowców – faktycznie przypominał postać z dobranocki.

Na jego temat krążyło wiele legend, które, powtarzane przez mieszkańców Baskin, obrastały w coraz to nowsze szczegóły.

Miał w domu kilka karabinów odebranych Niemcom za okupacji. Przedtem oczywiście własnoręcznie ich ukatrupił.

Jego ulubioną bronią była wielka, potężna dubeltówka. Z tej właśnie dubeltówki odstrzelił głowę swojej żonie.

Zanim zabrał się za porywanie i mordowanie dzieci, trzymał w piwnicy niemieckiego jeńca.

Nocą jeździł po okolicznych wioskach i rozjeżdżał włóczące się psy.

Nikt naprawdę nie wiedział, ile z tego wszystkiego było prawdą, ale wszyscy woleli trzymać się od niego z daleka. Nic w tym dziwnego. Trudno nie bać się kogoś, kto nie potrafi obsługiwać mikrofalówki, ale jakimś cudem ma pozwolenie na broń.

Ruda widywała go na schodach domu, gdy sącył piwo z puchy, prowadząc ożywione rozmowy z samym sobą. Bardzo dokładnie pamiętała jego spojrzenie wbijające się w plecy, twarde niczym dwa pręty.

Nie wiedziała, skąd wzięła się plotka, że to on porywa dzieci w okolicy. Zresztą Ruda nie pamiętała nawet dokładnie, kiedy zaginęło ostatnie – dobre kilka lat temu, rodzice chyba jeszcze żyli – ale knucie przeciwko Gargamelowi wywoływało przyjemny dreszcz emocji.

– Tam. – Sawicki wskazał palcem. – W tym oknie po lewej, przy samej ziemi, widzicie?

Widziała bardzo dobrze. I zapamiętała.

*

Każdy coś ukrywa. Zwłaszcza dzieci.

Adrianna Majewska próbowała wywołać przez walkie-talkie swoich rodziców. Robiła to w świętym przekonaniu, że nikt o tym nie wie.

Któregoś wieczoru Grażyna zwierzyła się Bartoszowi, na czym nakryła ich wnuczkę. Nie weszła jednak do pokoju, nie pytała, z kim rozmawiała. Stała pod drzwiami, nasłuchując i nie mając pojęcia, jak zareagować.

– Mamo, tato, proszę, odezwiście się. Odbiór.

Bolało ją to, tak samo jak wnuczkę.

*

Postanowiła pójść za Emilem – zamierzała podejść do niego, gdy będą z dala od szkoły, może wtedy będzie bardziej rozmowny. Sytuacja na działkach nie dawała jej spokoju, musiała dowiedzieć się, co wtedy zaszło.

Jest na coś chory?

Ktoś mu coś zrobił?

Dzieciak szedł wolnym, niespiesznym krokiem, zupełnie inaczej niż ona. Jej chód zawsze był szybki. Musiała włożyć spory wysiłek w to, by nie podejść do niego za blisko.

Tuż za sklepem, do którego połowa gimnazjum przychodziła po pączki i słodczyce, Emil skręcił w boczną uliczkę.

Zrozumiała, że nie idzie w stronę domu.

*

Dziesięcioletni chłopiec rozejrzał się na boki i przeszedł na drugą stronę ruchliwej ulicy w centrum miasta.

Dziewczyna, która szła jego śladem, musiała poczekać, aż przejedzie sznur kilkudziesięciu samochodów. Wyciągnęła krok, żeby go nie zgubić. Ale była też ostrożna – Emil mógł się zorientować, że jest śledzony.

Minęła piekarnię, z której dolatywał słodki zapach świeżego pieczywa. Zaraz potem znalazła się w niewielkim parku miejskim, tuż obok gimnazjum. Zbite grupki starszych dzieciaków, do których miała dołączyć za rok, siedziały na ławkach, paląc papierosy. Co chwila wybuchały śmiechem lub soczystym przekleństwem. Widziała, jak Emil omija je szerokim łukiem, już nie idąc, a niemal biegnąc.

Gdzie on, do cholery, idzie?

Wyszła z parku w ostatnim momencie, akurat by zobaczyć cel jego wędrówki.

Cmentarz.

Chłopak stał chwilę przed wielką bramą wejściową, jakby zbierał się w sobie, a potem wszedł.

*

Po kwadransie czekania miała już odpuścić. Emil wciąż nie wychodził, a cokolwiek tam robił, nie było warte stania na mrozie – po szkole i bez obiadu – tuż przed zapadnięciem zmroku.

Aż przypomniała sobie o swojej tajemnicy.

Każdy ma jakąś. Zapragnęła poznać tę jego.

Przeszła przez bramę.

*

Cmentarz jest fajny dla żywych tylko w święto zmarłych. Rozpalone znicze tworzą wtedy wielką łunę widoczną z drugiego końca miasta.

Jednak w środku zimy, na mrozie, w otoczeniu starych drzew, wcale nie jest fajnie. Jeśli dodać do tego szarobure niebo, na którym widnieje jasna plama tam, gdzie powinno być słońce, brak rozpalonych zniczy i długą drogę powrotną do domu – wtedy mamy coś, co nie spodobałoby się nikomu.

A już zwłaszcza gdy na tym cmentarzu leżą twoi tragicznie zmarli rodzice.

*

Tu są jej rodzice. Martwi, pod ziemią, poza jej pojmowaniem.

Mamo, tato, jesteście tam? Odbiór.

Ruszyła powoli główną alejką. Po obu stronach rozciągał się las krzyży z marmuru i betonu.

Nie wiedziała, gdzie leżą. Grażyna i Bartosz nalegali, by poszła na ich grób, raz prawie wzięli ją siłą, ale wpadła w histerię.

– Musisz wiedzieć, gdzie spoczywa twoja rodzina – mówiła wtedy babcia.

Ale jej rodziny już nie było.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Emila.

Cmentarz był całkiem spory. Cztery, może pięć hektarów. Pomiędzy nagrobkami Ruda nie dostrzegła żadnego ruchu. Możliwe, że chłopiec wyszedł drugą, tylną bramą.

Po chwili zrobiła to samo.

*

Emil Czaja chował się za grobem świętej pamięci Łukasza Malinowskiego – ur. 20.09.1986, zm. 15.08.1997 – i czekał, obserwując Adę Majewską. Rozglądała się na boki.

Nie ruszał się, nie drgał mu nawet mięsień, kiedy więc jej wzrok przemknął po nim, nie dostrzegła żadnego ruchu.

Już wcześniej, w parku, zorientował się, że jest śledzony. Tuż przed wejściem na cmentarz pozwolił sobie na szybkie zerknięcie przez ramię. Wciąż szła za nim.

Tymczasem on chciał być sam. Musiał.

Kiedy zniknęła z pola widzenia – pewnie wyszła tylną bramą – mógł się zająć tym, po co tu przyszedł.

*

A Kusak obserwował.

Ostrożnie, nie rzucając się w oczy, śledził ofiarę. Mijający go ludzie nie mieli pojęcia, że jest Kusakiem.

Znał jej rozkład dnia, wiedział, którądy wracała do domu, kim byli jej najbliżsi znajomi.

Data porwania zbliżała się nieznacznie wolno, a Kusak był już gotów. Mógł to zrobić dzisiaj, zaraz, teraz, ale pośpiech to zły doradca. Musiał przeczekać, upewnić się, potwierdzić kilka swoich przypuszczeń.

Już niedługo.

6

Zaczęło się ocieplać. Śnieg nie padał od kilku dni – niektórzy byli pewni, że to wszystko, co zima ma do powiedzenia w tym roku – a ten, co zalegał na ulicach, czerniał od brudu i smogu, tworząc ciemne, błotne kałuże.

Ada Majewska weszła do domu. Dziadkowie zostawili kartkę, że są na zakupach. Zwinęła z paczki trzy papierosy i ukryła je głęboko na dnie plecaka. Chłopcy ostatnio naciskali ją, by brała dla nich więcej, ale nie chciała ryzykować. Niemniej musiała udowodniać swoją równość, jeśli chciała się z nimi zadawać. Dlatego robiła wiele głupich rzeczy, takich jak podkradanie papierosów czy łażenie po niepewnym lodzie. Dzięki temu ostatniemu zyskała plus dziesięć punktów do szacunku.

„Boże, chwila nieuwagi i byłoby po mnie” – myślała czasami, leżąc w łóżku w oczekiwaniu na sen.

Tymczasem na jutro zapowiadał się kolejny wypad.

– Idziemy na Górę Chełmską – poinformował Tomek Sawicki.

Nie chciała iść, ale dość szybko zaraziła się entuzjazmem, jaki udzielił się grupie.

Na szczyt Chełmskiej idzie się długo – kilka kilometrów przedzierania się przez śnieg – ale tym razem czekać na nich będzie prawdziwa nagroda w postaci wieży widokowej. Ada była tam tylko raz, dawno temu, jeszcze z rodzicami. Widok, jaki rozciągał się ze szczytu, zapadł jej w pamięci na zawsze. Widziała całe Baskin otoczone lasami, niewiele większe od kartki A4.

Postanowiła iść i odświeżyć wspomnienie.

*

Z nie do końca wiadomych przyczyn wejście do lasu było ogrodzone wysokim płotem.

– To musi być teren prywatny – powiedział jeden z chłopaków.

– Skąd wiesz? – spytał Sawicki, nie zwalniając kroku. Potrząsnął siatką, upewniając się, że wytrzyma, i zaczął się wspinać. Zaraz za nim ruszyła trójka innych. Czwarty chłopak zawiązywał but.

Ruda spojrzała na Emila.

– Idziesz? – spytała.

Wziął głęboki oddech i chwilę później zeskoczył z drugiej strony ogrodzenia. Gdy dołączyła do niego, otrzepując ręce z rdzy, ostatni z grupy podniósł się i wszedł ślamazarnie na płot.

– Dawaj! – ponaglał Sawicki.

Ruda stała obok niego, obserwując niewprawne ruchy chłopaka, na którego wołali Modrzew.

Stali na zwirowej, odśnieżonej drodze – kolejny dowód na to, że to teren prywatny.

Modrzew powoli i niezdarnie wdrapał się na szczyt ogrodzenia. Na pierwszy rzut oka widzieli, że nie był stałym uczestnikiem szaberków na okolicznych działkach.

Zamiast zejść ostrożnie, postanowił zeskoczyć i mieć to za sobą. Jego pech.

Nogawka spodni zahaczyła o wystający kawałek drutu i chłopak poleciał w dół, ładując twarzą na twardej drodze.

Pierwszą reakcją na takie wypadki zawsze jest śmiech. Potem chwila pełnej napięcia uwagi, a po niej akcentujące tę uwagę, przeciągłe „ooo kurwa”.

Modrzew podniósł się po chwili na miękkich nogach. Zamarznięty żwir był bezlitosny dla jego twarzy, z rozdrapanego nosa i czoła leciała krew. Jego oczy wyrażały wielkie zdziwienie, połączone z ogromnym szokiem.

– O Jezu, Modrzew – powiedział ktoś ze współczuciem.

Ruda wyciągnęła z kieszeni chusteczki higieniczne i podała biedakowi.

– Trzymaj.

Wziął bez słowa paczkę i przyjrzał się jej, jakby nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Gdy w końcu jego umysł zaczął pracować, wyciągnął jedną chusteczkę.

Wszyscy czekali, aż zetrze żwir z twarzy, by można było ocenić rozmiar tragedii.

– Dzięki – powiedział i zaczął energicznie wycierać brudne spodnie.

Wszyscy zaśmiali się głośno.

*

Po krótkiej naradzie jeden z chłopaków został wyznaczony do odeskortowania Modrzewia do domu. Ci, którzy zostali, na pożegnanie zrobili mu zdjęcia telefonem.

– Będziesz miał profilowe na fejsa.

*

A Kusak obserwował.

*

Góra Chełmska, o wysokości niecałych stu pięćdziesięciu metrów, rozdzielała równinę słupską od białogardzkiej. Gdyby grupka dzieciaków, która stała u jej podnóża, miała okazję popatrzeć z lotu ptaka, porównałaby ją do zmiętej pościeli na płaskim łóżku. Od strony miasta zalesione wzgórze przecinał niewielki strumyk.

W czasie wojny Chełmska była dla Niemców ważnym punktem strategicznym. Właśnie tu rozegrały się najcięższe bitwy z Armią Czerwoną. Wiedzieli o tym wszyscy uczniowie gimnazjum w Baskin.

– To nasze miasto – mówili nauczyciele – i powinniście znać jego historię.

Od czasu do czasu ludzie znajdowali tam „skarby”: łuski, naboje, fragmenty pistoletów. Poszukiwacze przychodzili z wykrywaczami metali w nadziei na odkrycie czegoś naprawdę „bombowego”.

Teraz grupka dzieciaków wspinała się na szczyt, pokonując kręte wąwozy i pomniejsze pagórki. Emil Czaja dwa razy gruchnął na zamarzną ziemię, urozmaicając innym mozolną, ciężką wędrówkę.

– Po co tam idziemy? – spytał.

– Na wieżę widokową – odpowiedziała Ruda, pomagając mu otrzepać się ze śniegu i brudnych liści.

Powietrze było rześkie i zimne, chłód wdzierał się przez gardło wprost do płuc.

Sawicki przystanął na kolejnym wzniesieniu, czekając na pozostałych. Patrzył w górę.

– Chyba ją widzę. Trochę, ale widzę.

– Nie, no co ty, przecież dopiero tu weszliśmy – powiedział jeden z kumpli, stając obok niego. – Ty, a dlaczego w ogóle ten dziwak idzie z nami, co?

– Ruda chciała. Chodźcie, idziemy.

Na widok Rudej pomagającej dziwakowi-Czai Sawickiego ścisnęło w żołądku. Obręcz zazdrości dusiła go lekko, za lekko, aby coś z tym zrobić – na przykład spuścić młodemu wpierdol – ale wystarczająco, by zanotować w pamięci, że nigdzie więcej już smarkacza nie zabierze.

– Zaraz – zawołała Ruda. – Poczekajcie.

Po raz kolejny pomagała Emilowi się podnieść.

Obręcz zaciskała się coraz mocniej.

*

Emil wydawał się dziwnie gadatliwy, przynajmniej jak na niego. Ruda rozmawiała z nim, żartowali wspólnie, omawiali największe problemy tego świata, to jest

najgorszych nauczycieli, i wspólnie przyznali, że niektórych należałoby skazać na ciężkie prace w kamieniołomach.

W jej głowie ciągle lewitowała myśl – „Wsadził sobie cyrkiel w ucho. Wbił go sobie, do cholery, prawie do mózgu.”

Pytanie cisnęło się na usta, ale za każdym razem, gdy już miała je na końcu języka, jakoś nie potrafiła go wypowiedzieć.

Inni zazwyczaj dość swobodnie chwalą się tym, jaką głupotę zrobili. Licytują się, kto ma większe blizny, kto zaliczył więcej złamań. Wspominają to wszystko ze śmiechem, zanim jeszcze się zagoi. Emil nie mówił o tym, nawet nie krążył wokół tematu w oczekiwaniu, aż ktoś spyta go o „tę całą sytuację z cyrklem”.

Z drugiej strony w tym zachowaniu było coś nowego, przyjemniejszego niż ciągle przechwałki, z jak wysokiego drzewa się spadło.

Po prostu rozmawiali i to było w porządku. Czuła, że Emil mógłby być kumplem, a nie kolejnym chłopakiem, który zaakceptuje jej towarzystwo za kilka fajek.

Byli równi, tacy sami, nie patrzył na nią z wyższością.

– A mogę cię o coś spytać? – Jego ton wydawał się poważny. W oczach widziała wahanie, jakby nie był do końca pewny, czy dobrze robi.

– Możesz.

– Po co ci krótkofalówka w szkole?

– Ee, to znaczy... No... Skąd wiesz, że noszę ją ze sobą?

– Widziałem cię kilka razy. To znaczy, wiesz, nie łączę za tobą, nie śledzę cię. Przepraszam.

Nie ma za co, powinna powiedzieć, ale nie zrobiła tego. To była jej sprawa, jej krótkofalówka, jej nadzieja.

„Mamo, tato, jesteście tam?”

– Nieważne – odpowiedziała ostrym tonem, jednocześnie przyspieszając.

– Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować...

– Nieważne.

Jednak w jego uszach, a właściwie w jednym uchu, ton jej głosu brzmiał inaczej.

To ważne.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Chłopaki przed nimi powoli znikali jej z oczu. Mogłaby ich dogonić, ale Emil włókł się niemiłosiernie.

W którymś momencie stanął w miejscu. Odwróciła się w jego stronę.

– Co jest?

Nie odpowiedział, a ona od razu poczuła, że coś jest nie tak. Coś jest bardzo, ale to bardzo nie tak.

Oddychał nerwowo i płytko. Usta wykrzywiły mu się w komicznym grymasie, który rozpoznała od razu – płacz. Zaraz będzie płakał.

Obejrzała się na chłopaków. Byli tylko małymi, poruszającymi się pomiędzy drzewami kształtami. Chciała ich zawołać.

– Boże, nie – szepnął Emil.

Teraz w jego oczach nie było już strachu. Zagnieździło się tam wielkie, czarne jak smoła przerażenie, bezkresne i nie do zmierzenia.

Bał się tak samo jak wtedy, na działkach, tylko jeszcze bardziej – choć wówczas myślała, że bardziej tego biednego dziwaka nie można przestraszyć. Myliła się i teraz miała tego dowód.

– Oni idą – szepnął. – Jest ich więcej.

Obejrzała się jeszcze raz. Faktycznie, byli już kawałek przed nimi, ale nie rozumiała...

Emil padł na kolana, zakrywając uszy, jęcząc i dysząc jak szalony. Chwilę potem, zanim zdążyła do niego podejść, padł na bok, podwinął nogi do pozycji embrionalnej i jęczał dalej.

– Emil, co się dzieje? Emil!

Poczuła, jak jej ciało i umysł zalewa panika, krępuje ruchy i słowa. Nie wiedziała, czy podejść, czy wrócić po chłopaków, czy...

Boże! Upadł i nie żyje.

Ale chłopak żył, wciąż jęczał i rządził, zamrożone liście szeleściły z każdym jego ruchem. Mocno zaciskał powieki.

W końcu podjęła decyzję.

– Tomek! – krzyknęła w górę, w kierunku, w którym poszedł Sawicki. – Tomek! Chłopaki!

Sawicki stanął, gdy usłyszał pierwsze wołanie. Obejrzał się, inni też.

– Co jest? – spytał ten po prawej.

– Cholera wie. – Wzruszył ramionami i ruszył przed siebie. – Nie mój problem.

Zostali sami. Emil wciąż się nie ruszał i nie odpowiadał, ona stała obok, patrząc w jego twarz.

Panika lekko ustąpiła, prawie nieznacznie. Wciąż czaiła się gdzieś tam w głowie.

Wyciągnęła telefon, szukając numeru babci. Wcisnęła „zadzwoń” i przyłożyła komórkę do ucha tylko po to, by usłyszeć, że nie ma zasięgu.

Gdy dostrzegła krew leącą z nosa Emila, przestała się zastanawiać. Zaczęła biec w stronę, w którą, jak sądziła, poszedł Sawicki.

– Zaraz wrócę, obiecuję! – krzyknęła, obracając się przez ramię.

Wołała, ale nikt jej nie odpowiadał. Biegła przed siebie, z trudem omijając drzewa. Pod nogami strzelały jej zamarzniete gałązki.

Trasa na górę Chełmską wiła się i skręcała. Większe i mniejsze pagórki nie ułatwiały orientacji.

W pewnym momencie stanęła, dysząc ciężko i opierając się dłońmi o kolana. Nie miała pojęcia, dokąd biegnie. Że w górę, to było jasne, ale czy prosto na szczyt, czy jakoś inaczej? I dokąd poszedł Sawicki? Powinna z łatwością go dogonić!

– Tomeek! – wyrzuciła z siebie przeciągle. Echo rozproszyło się we wszystkie strony, wracało i leciało w innym kierunku.

Nikt nie odpowiedział.

*

W połowie wysokości góry nadal leżał chłopiec.

Bezbronny chłopiec, który bardzo się bał. Nikt oprócz niego nie wiedział, czego dokładnie.

Kiedyś powiedziano mu, że nie musi się bać. „To minie – mówili – a poza tym to nie jest nic, czego powinienes się bać.”

Ale to nie działa w ten sposób, prawda? Przestraszone dziecko zawsze, ale to zawsze wie lepiej.

Bardzo chciał, by Ruda przy nim była.

„Adrianna, gdzie jesteś?”

Dookoła niego leżały oszronione liście i połamane gałęzie. Wysokie drzewa zasłaniały niebo niemal całkowicie. Był sam, zupełnie sam.

– Ada – szepnął. – Ada.

*

Wieża widokowa była zamknięta. Telefon nadal nie łapał zasięgu. Nie dodzwoniła się ani do babci, ani do Sawickiego.

Nie wiedziała, ile czasu zajęło jej dotarcie na szczyt. Pół godziny? Godzinę?

Teraz jedynym priorytetem było dla niej znalezienie kogoś dorosłego, nawet niekoniecznie dorosłego, tylko starszego.

Nigdy, przenigdy więcej nie zabierze nigdzie Emila. Amen.

Stała pod wieżą widokową z czerwonej cegły, sama, bez szans na jakąkolwiek pomoc. W głowie wrzeszczała jej myśl – „musisz do niego wracać! Ty go tu zaciągnęłaś – znowu – i ty jesteś za niego odpowiedzialna”.

Nie do końca wiedząc, czy obrała dobry kierunek, ruszyła z powrotem.

*

Wszystko w porządku, Emil, wszystko okej, wszystko gra.

Powtarzanie tego w myślach pomogło, ale tylko trochę. Siedział oparty o drzewo, z podwiniętymi nogami, jak w szkole pod ścianą.

Spokojnie, spokojnie.

Co było ostatnie? Nie pamiętał, wszystko mu się mieszało. Wycieczka na Chełmską. Ktoś coś sobie zrobił. Aha, spadł z drzewa albo bramy. Z bramy! Tak, z bramy, bo to teren prywatny.

Powoli dochodził do siebie, patrząc na swoje dłonie. Pamięć wracała stopniowo, układała się jak puzzle, tworząc obraz sytuacji.

Jego ręce miały niebiesko-fioletowy kolor, piękne indygo, i świeciły jak fosforyzująca farba.

Kolor był niesamowity, hipnotyzujący.

„Coś wspaniałego” – myślał, patrząc z fascynacją i przerażeniem jednocześnie. Skóra była jakby przezroczysta, widział żyłki biegnące na wierzchu dłoni, ginące pomiędzy knykciami.

„Moja aura” – pomyślał, nie mając nawet zielonego pojęcia, co to takiego.

Zobaczył Rudą. Zbliżała się w jego stronę, ostrożnie schodząc ze wzniesienia. Ona również świeciła, choć jej barwa wahała się pomiędzy jasnym żółtym a białym. Stała przy nim, wypytując, co mu jest, czy ją słyszy, prosiła, by coś powiedział.

Kolory – zarówno jego, jak i jej – zaczęły zanikać. W miarę jak wracały im normalne odcienie skóry, wszystko sobie przypominał.

*

Ruda mówiła do niego, starając się zachować resztki spokoju. Nie widziała barw.

– Emil, błagam cię, powiedz coś, powiedz.

To nauka za to, że nie wyciągnęła wniosków z wypadu na groby. Niczego się wtedy nie nauczyła, a teraz musiała przejść przyspieszony kurs „Jak postępować z dziwakami” i postanowiła wyciągnąć jak najwięcej z tej lekcji.

Nigdy więcej.

Gdy zaczął przytakiwać, prawie rozplakała się ze szczęścia, jednocześnie eksplodując niepohamowaną złością. Najpierw go zwyzywała, potem przeprosiła, potem jeszcze raz zwyzywała. Darowała sobie drugie przeprosiny.

– Co ci było, do jasnej cholery?

– Nie wiem – skłamał. – Możemy iść do domu?

Kłamstwo wyczuła od razu. Co do odpowiedzi na jego pytanie, w tej chwili nie potrafiła sobie wyobrazić niczego bardziej atrakcyjnego niż powrót.

Było już późno, przegapiła obiad i robiło się ciemno. W domu będzie dopiero po zmroku. Niedobrze.

*

Wyszli z lasu w ostatniej chwili. Kilka minut później panowałaby w nim całkowita ciemność. Ostrożnie przeszli przez bramę i powlekli się w stronę Baskin.

Ciągle pytała, co mu jest, ale nie odpowiadał. Miała ochotę złapać go za fraki i wytrząsnąć odpowiedź siłą. Ewidentnie był na coś chory i tylko to ratowało go od uderzenia ręką w głowę, na co miała wielką ochotę.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? – pytała. – Jak mi nie powiesz, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Nie wiedziała, jak bardzo chciał jej o wszystkim opowiedzieć. Ciężko mu od długiego czasu i miał dość. Musiał to wyrzucić z siebie, podzielić się z kimś, kto nie uzna go za czuba, nie rozpowie w szkole, że trzeba zadzwonić do wariatkowa, by przysłali smutnych ludzi z kaftanem bezpieczeństwa.

Ada się nadawała. Była spoko, lubił ją i czasami wydawało mu się, że z wzajemnością. Rozmawiała z nim, nie wytykała palcami, nie robiła głupich dowcipów, nie pluła na jego plecak.

Ale była tak bardzo zdenerwowana, że bał się kolejnego ataku wściekłości. Bo to, co miał do powiedzenia, na pewno doprowadziłoby ją do furii.

*

Przy głównej drodze Baskin świeciły lampy. Z okien padały snopy światła. Ludzie zmierzali w swoich kierunkach, mijali się bez słowa, zatopieni we własnych myślach. Z kominów wylatywały słupy dymu.

Nikt nie zwracał uwagi na parę dzieciaków, chłopaka i dziewczynę, idących powoli, z wyrazem strachu i smutku na twarzach. Chłopiec miał na ustach zaschniętą krew.

Doszli do głównego skrzyżowania. Chłopak wcisnął przycisk stopu i czekał na zielone światło.

– Dojdiesz na pewno? – spytała dziewczyna już bez złości. Teraz miała na głowie nowe zmartwienie. Wiedziała, że dotrze do domu dopiero po zmroku.

„Pewnie już na mnie czekają.”

– Tak – odpowiedział chłopiec.

– Dobra. To na razie.

Dziewczyna odeszła, nie oglądając się za siebie.

Odprowadził ją wzrokiem, przegapiając zielone światło. Gdy zniknęła za rogiem, ponownie wcisnął przycisk.

„Będę musiał powiedzieć.”

*

Niedaleko blokowiska płynęła mała rzeczka, otoczona gęstymi krzakami. W lecie mnóstwo dzieciaków przychodziło tam palić papierosy. Wszędzie leżały czarne worki wypchane resztkami jedzenia, puszkami, kartonami po mleku i wszystkim innym, co śmierdzi.

Tu właśnie czekał Kusak.

Pod osłoną nocy, w krzakach, przy których biegła też mała, wydeptana ścieżka – skrót prowadzący do osiedla.

Ofiara zaraz tu będzie. Wiedział, że zawsze tędy wraca do domu. Dwa dni temu też tu stał, zwarty i gotowy. Już wczoraj byłaby jego, gdyby za nią nie szedł ktoś jeszcze. Jakaś babinka, nic trudnego, mógłby zabić i ją, zero problemu, ale po co ryzykować. Nie ma potrzeby.

Dzisiaj. To będzie dzisiaj, zaraz.

Godzinę temu światła w pokoju ofiary były wyłączone. Sprawdził. Rodzice pewnie czekają, ale ona nie wróci.

Dzisiaj się uda. Czuł to.

Lubił to uczucie, tę pewność, jakby szósty zmysł, coś podobnego do jasnowidzenia, coś więcej niż przecucie i coś mniej niż pewność.

I oto jest, proszę bardzo. Ofiara idzie sama, samiutka, wpatrzona w telefon. Jeszcze nie wie, że robi to po raz ostatni w życiu. Kusaka to kręci. Uwielbia obserwować takie rzeczy.

Trochę żałuje, że nie potrafi czytać myśli ofiar. To byłoby coś.

Trudno, musi zadowolić się widokiem ich gasnących oczu.

*

Tomek Sawicki usłyszał gwałtowny szelest krzaków i ciężkie, szybkie kroki na oszronionej trawie. Już miał się odwrócić, ale nie zdążył.

Ktoś podniósł go i przycisnął do ust dłoń w rękawiczce. Ostra woń wdarła się do nosa. Szarpał się we wszystkie strony, dokładnie tak, jak przewidział Kusak – nigdy nie robią jednego, zdecydowanego ruchu, to zawsze jest bezmyślna szarpanina – ale jego siły wyparowały w okamgnieniu.

Sawicki walczył jeszcze krótką chwilę, jednak wszystko było już przesądzone. Z rąk Kusaka nie uciekł nikt.

Napastnik przytrzymał rękawicę, rozglądając się na boki i nasłuchując. Poza delikatnym szumem rzeczki nie było słycać nic.

W pięć minut skrępował Sawickiego mocno i dokładnie.

Ktoś, kto daje się złapać tak łatwo, nie zasługuje na to, by żyć.

Wyszedł z krzaków. Po drugiej stronie rzeczki, na żwirowej drodze prowadzącej do centrum, stał jego samochód wypożyczony w Trójmieście na fałszywe nazwisko.

Kusak czekał na brzegu pół godziny. Nikt się nie zjawił.

Przeszedł przez rzekę z ofiarą na rękach. Lodowato zimna woda sięgała mu do ud. Włożył chłopaka do bagażnika i przykrył kocem. Z jego telefonu wyciągnął kartę i wyrzucił do rzeki.

Teraz pojedzie z ofiarą do domu. Tam poczeka, aż dzieciak się obudzi.

Tydzień później pokaże mu swoją twarz.

Potem wiadomo.

7

Ada Majewska słono zapłaciła za ostatni późny powrót do domu. Jej nieobecność godzinę po zmroku i niedziałający telefon o mało nie wywołały u Bartosza stanu przedzawałowego.

Gdy weszła do domu zmarznięta, zmęczona i jednocześnie szczęśliwa – wszystko dobrze się skończyło – wystarczyło jedno spojrzenie w oczy babci Grażyny, by wiedzieć, że napytała sobie biedy.

Nie miała kłopotów, tak jak myślała.

Miała przesrane.

Bartosz karciał ją długo, blisko kwadrans, choć dla niej trwało to co najmniej godzinę.

Następny dzień musiała spędzić w domu. Powinna być w szkole, ale szwendanie się po lesie zaowocowało gorączką.

Było coś jeszcze.

Gdy się obudziła, babcia zmierzyła jej temperaturę i podjęła decyzję, że wnuczka zostaje w domu, a potem wzięła głęboki oddech i powiedziała na głos to, czego miała nadzieję już nigdy nie mówić:

– Zaginął chłopak. – W jej uszach brzmiało to jak klątwa. – Młody Sawicki.

Wiedziała, że Ada zadawała się z nim od jakiegoś czasu, co niezbyt się jej podobało, ale na pewno nie życzyła mu tego, co teraz się z nim działo, bo co się stanie dalej, było do przewidzenia – mianowicie nigdy nie zostanie odnaleziony.

Ruda poczuła uścisk w gardle.

Do tej pory nie znała osobiście nikogo z zaginionych, a teraz musiała przyjąć do wiadomości, że zniknął jej bliski kolega. Powinna komuś powiedzieć, że go niedawno widziała, ale nie bardzo chciała, bo musiałaby też przyznać się, gdzie była poprzedniego dnia. Ani babcia, ani dziadek nie lubili, gdy obracała się w towarzystwie Sawickiego i jego kumpli. Nie zrobiła tego wczoraj, bo dziadek z pewnością złożyłby jego rodzicom wizytę, by oznajmić, że ich synalek ma się trzymać z dala od jego wnuczki.

– Byłam z nim wczoraj na Górze Chełmskiej – wyrzuciła z siebie, zanim dopadły ją wątpliwości.

Opowiedziała o wszystkim, łącznie z dziwnym zachowaniem Emila.

- Który to Czaja? – spytała babcia.
- Ten, co mieszka z mamą na tym samym blokowisku, co Tomek Sawicki. Kobieta zmierzyła ją zdziwionym spojrzeniem.
- To nie jest jego matka – oznajmiła.
- A kto?
- Ciotka. Jego rodzice nie żyją.

*

Poszukiwania rozpoczęto rano. Kilkuosobowe grupki rozeszły się po mieście, szukając wszędzie, nawet w krzakach i w rowach melioracyjnych. Zadanie utrudniała niska temperatura i ogromne ilości śniegu, który padał przez całą noc.

Był tam i Kusak.

Wraz z innymi przeczesywał obszar wyznaczony przez ekipę organizującą poszukiwania.

Podczas zaglądania do zbiorników oczyszczalni ścieków rzucił mimochodem, że dzieciak mógł zostać porwany.

– Może warto sprawdzić niektóre mieszkania?

Ludzie, którzy to słyszeli, nie okazali entuzjazmu. To nie miało sensu. Przecież gdyby za zaginięciami stał mieszkaniec Baskin, policja już dawno by go namierzyła.

Kusak uśmiechnął się w duchu.

*

Policja przyjechała do domu trzynastolatki i spisała zeznania.

Mijały godziny poszukiwań, potem dni. Gdy dni zamieniły się w tydzień, większość wolontariuszy odpuściła. Lokalne media również.

*

– Mamo, tato, odbiór? Gdzie jesteście?

Ruda leżała na łóżku, pozwalając myślom krążyć w głowie. Żadnego śladu po Tomku. Jedyne, co po nim zostało, to konto na Facebooku, na które wchodziła co pół godziny w nadziei na wpis typu: „He he, ale wszystkich nabrałem lol”.

Ktoś go porwał. Albo uciekł. Albo najpierw uciekł, a potem ktoś go porwał.

Zasugerowała dziadkowi, że chciałyby wziąć udział w poszukiwaniach, ale szybko wybił jej to z głowy, przypominając o szlabanie, który dostała po Górze Chełmskiej.

Zaczęła myśleć o Gargamelu.

Tomek twierdził, że to on porywa dzieci. Teraz porwał jego, więzi w swojej piwnicy i nigdy go nie odda.

Trzeba tam iść.

Wcale nie.

– Po szkole od razu do domu, rozumiemy się? – powiedział dziadek. – Najlepiej po linii prostej.

Mama i tata nigdy tacy nie byli.

Babcia przytulała, gdy nocą nawiedzały ją przykre sny. Dziadek gładził po włosach. Jego dłonie były suche jak papier, spracowane, ale potrafiły być czułe.

Lubiła ich, czasem nawet kochała, ale rodziców jeszcze bardziej.

– Mamo, tato, odbiór.

*

Emil otworzył drzwi.

– Cześć – powiedziała. – Wyjdiesz?

Niedługo potem przycupnęli w krzakach naprzeciw domu Gargamela. Z komina wylatywał gęsty dym.

Obserwowali małe okno tuż przy ziemi, ale nie dostrzegli żadnego podejrzanego ruchu.

Siedzieli tam przez kwadrans. W międzyczasie przypomniała sobie, czego dowiedziała się od babci.

– Co się stało z twoimi rodzicami? – spytała wprost.

– Umarli – odpowiedział, nie spuszczać domu z oka. – Nie żyją.

Aha. No tak.

– Ale co się stało?

Chłopiec przypomniał sobie, że ona też nie miała rodziców. Wychowywali ją babcia i dziadek.

– Mama umarła, jak mnie rodziła. Tata... – Przerwał, próbując znaleźć właściwe słowa, ale tylko te najbardziej oczywiste oddawały całą prawdę. – Tata się zabił. A co się stało z twoimi?

– Mieliśmy wypadek samochodowy. Ja przeżyłam.

Świadomość, że łączyło ich coś wspólnego – coś bardzo ważnego – sprawiła, że Ruda poczuła chęć zadawania pytań.

– Możesz spać, tak wiesz, normalnie?

– Mogę. Nie pamiętam ich.

– A ja nie mogę.

– Czasami mi się śnią, ale nie widzę twarzy.

– Mnie też się śnią. – Dziewczyna przytaknęła powoli, w zamyśleniu.

Pytania i odpowiedzi były jak nitki. Zawiązywały się powoli, plątały między sobą.

Najbardziej brakowało jej mamy. Tata oczywiście był najlepszym ojcem na świecie, ale matka to zawsze matka.

Dźwięk naczyń wyciąganych do obiadu.

Delikatne budzenie do szkoły.

Zapach perfum.

Tata trzymający jej rower i obiecujący, że nie puści. Mimo to puścił i w ten sposób nauczyła się jeździć.

Zapach piwa, które pił.

„Mamo, tato, gdzie jesteście?”

Nie pojmowała, jak Emil może nie tęsknić za rodzicami, nawet jeśli ich nie pamięta. Sama, gdy tylko widziała cokolwiek z nimi związanego, popadała w smutek i zamyślenie. Nawet zapach kojarzący się z poprzednim życiem wpędzał ją w melancholię, a oczy piekły od wzbierających łez.

Gdy wróciła ze szpitala dzień po wypadku, babcia powiedziała, że mama i tata już nie wrócą. Siedziała na jej kolanach, nie przyjmując do wiadomości takiego absurdu. To przecież niemożliwe, mama i tata zawsze tu będą. Mama i tata są nieśmiertelni.

Emil zadawał pytania, a ona odpowiadała z zaskakującą dla siebie swobodą. Nikt inny tego nie robił. Żaden z kolegów nigdy nie zapytał, jak się z tym czuje. Byli samolubni? Nie, raczej nie. Po prostu się bali. Emil wiedział, po prostu wiedział, a oni nie.

Przypomniała sobie o krótkofalówce – mamo, tato, odbiór – i już miała o niej wspomnieć, wyrzucić to z siebie, podzielić się...

– Myślisz, że oni żyją? – spytał Emil. Patrzyła na niego, zdziwiona. – Wszyscy ci zaginieni, łącznie z Tomkiem?

Odetchnęła z ulgą, a jednocześnie ze smutkiem. Chciała i nie chciała o tym mówić.

– Tomek powiedział, że to Gargamel porywa dzieci. Nie wiem, skąd wiedział, ale pewnie obwieścił to każdemu. Może Gargamel się dowiedział i, wiesz, zaczął działać.

Chłopiec przytaknął powoli.

– Jak on wygląda?

– Dokładnie tak jak Gargamel. Łysy, zgarbiony. I ma nos wielki jak lotnisko dla bombowców.

– A co jak nas porwie? – spytał, tłumiąc śmiech.

– Nie da nam rady.

– Dlaczego?

Spojrzała mu w oczy. Nie jakoś szczególnie, nic się nie stało, nie zajrzała w ich głąb, jak to się mówi. A jednak jej słowa i jego skupienie sprawiły, że na nitkach porozumienia, które przeplatali od kilku minut, zawiązał się supełek.

– Bo jest nas dwoje.

Od teraz było ich dwoje.

*

Gdy przeskoczyli przez siatkę ogrodzenia, usłyszeli głos Gargamela. Był w domu, rozmawiał z kimś, być może sam ze sobą, jak to miał w zwyczaju.

Stanęli pod ścianą. Ruda słyszała bicie swojego serca, Emil patrzył na nią pytająco.

– Co teraz?

Przeszli powoli w stronę okna. Gdy zajrzeli do środka, nie zobaczyli niczego.

– Tam chyba nic nie ma – powiedział Emil, dostrzegając fragment pomieszczenia. Było puste.

Zdrowym uchem usłyszał otwierające się drzwi. Trzasnęły z hukiem, stukając o ścianę.

Ruda zerwała się do biegu, nie patrząc za siebie. Nie czekała na Emila, bo nikt nigdy nie czeka. W takich sytuacjach wszyscy uciekają, wyciąga się nogi i przebiera nimi ile sił. Jeśli nauczyła się czegoś w towarzystwie chłopaków, to na pewno zasady, że w takich chwilach każdy odpowiada za siebie.

Emil, który nigdy w życiu nie był na żadnym szaberku z kolegami, czekał na instrukcje. Obejrzał się i ze zdumieniem zobaczył dziewczynę skaczącą na siatkę. Wdrapała się jak kot, szybko i zwinnie. Zanim zaczął biec, była już po drugiej stronie.

Tuż przed płotem potknął się o własne nogi i padł na twardą, zmarzniętą ziemię. Zdążył wstać i chwycić siatkę, zanim usłyszał metaliczne: KLI-KLIK!

Odwrócił się powoli, powolutku. Słynna dubeltówka Gargamela patrzyła na niego swoimi czarnymi, wielkimi ślepiami.

Człowiek, który ją trzymał, był zgarbiony i łysawy.

Przyglądał się młodemu intruzowi. Emil zauważył, że nie wygląda na złego. Przyjął to jako dobry znak.

„Może przeżyję.”

– Co tu robisz? – spytał starzec.

Zamiast odpowiedzi z ust Emila wyleciał strumień wyjąkanych dźwięków, eeee-yyy. Jego kolana zamieniły się w watę. „Matko i Jezusie, w co ja się wpakowałem.”

Czarne ślepia dubeltówki wciąż wpatrywały się prosto w jego oczy.

Tysiące myśli śmigają mu w głowie. Starał się wybrać tę, która pomogłaby mu przeżyć – jakieś mądre wytłumaczenie, przeprosiny – ale uchwycił jedynie to, co przed chwilą powiedziała mu Ruda.

„Nos wielki jak lotnisko dla bombowców”.

Następnie popełnił niewybaczalny błąd, jego usta drgnęły w nerwowym, delikatnym uśmiechu.

Gargamel splunął na ziemię.

– Jeśli teraz strzelę, z twojej głowy zostanie popiół – rzekł i to było tyle.

Emil popuścił. Strumień gorącego moczu pociął mu po nodze prosto na grunt Gargamela.

– No pięknie – powiedział starzec. Patrzył na powiększającą się pod intruzem plamę. – Nie dość, że wchodzisz tu bezkarnie, to jeszcze masz czelność zdoić się na mojej ziemi?

W ciągu kilku chwil Emil oczami wyobraźni zobaczył swoją głowę eksplodującą na tysiące kawałków.

– Wynocha...

To były najlepsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszał.

Kiedy dołączył do Rudej, poczuł się głupio, ale to nic. Najważniejsze, że uciekł śmierci. Widział ją, patrzył w jej ciemne oczy.

Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, zgodnie przyznali, że Gargamel, choć niewątpliwie szalony, nie ukrywał nikogo w piwnicy.

*

O północy ponownie próbowała nawiązać kontakt z rodzicami. Upewniwszy się, że dziadkowie śpią na dole, usiadła na parapecie przy otwartym oknie i nawoływała przez walkie-talkie.

– Mamo, tato, halo, odbiór.

Było zimno.

Marzyła jej się wiosna, ten coroczny cud, kiedy wszystko odżywa na nowo, w powietrzu mieszają się zapachy i znika szarość zimy.

Niebo było czyste, czarne jak smoła, bez chmur, podziurawione świecącymi gwiazdami. Może jej rodzice są na jednej z nich? Dostrzegła lecący powoli, migający punkcik. Samolot.

– Halo, tu wieża kontrolna, halo, odbiór.

Gdy tata dał jej krótkofalówkę, powiedział, że kiedyś udało mu się usłyszeć, co mówią piloci do najbliższej wieży kontrolnej.

Ona chciała sięgnąć dalej.

Dostała SMS-a – *co robisz?* – od Emila.

Zaraz ide spac.

Ja nie moze usnac.

Emil Czaja był głupi i rozbeczany. I przede wszystkim, tak jak o nim mówiono, dziwny. Wszędzie, gdzie się ruszył, coś szło źle. Jeszcze długo nie da rady zapomnieć jego widoku, gdy wrócił od Gargamela kaczym chodem, z wielką plamą w kroczu. I z tym wyrazem wielkiego głupa na twarzy.

Ale lubiła go. Przy nim udawało jej się zapomnieć o rodzicach i Tomku Sawickim.

Tomka już nie było wśród nich. Czowała to. Oczywiście nigdy nie powiedziałyby tego na głos, nie pomyślałyby o tym, patrząc w lustro, ale swoje wiedziała. W Baskin dzieci ginęły i już nie wracały.

Zimno zaczęło jej dokuczać na tyle, że pomyślała o łóżku. Palce u stóp zamieniały się w małe bryłki lodu.

Jeszcze chwilkę.

– Mamo, tato, proszę was, odezwiście się.

Krótkofalówka odpowiedziała jej cichym szumem.

WIOSNA

Kusak wysiadł z samochodu.

Pragnął odebrać komuś życie, komukolwiek, bez wybierania. Wewnętrzna potrzeba spojrzenia w gasnące oczy nie dawała mu spać. Wielokrotnie łapał się na tym, że obserwuje dzieciaki, zawiesza na nich spojrzenie, wyobrażając sobie, że...

„Przestań!”

„Jeszcze za wcześnie.”

Po zaginięciu ostatniej ofiary nastroje w Baskin były napięte jak struny. Musiał uważać, pilnować się, a przede wszystkim wziąć na wstrzymanie.

Na chodniku minęła go dziewczynka na rowerze. Odprowadził ją rozmarzonym wzrokiem. Zacisnął pięści, aż paznokcie zostawiły na skórze sine półksiężyce.

„Idź i zrób, co masz zrobić.”

*

Bezdomny pies dał mu do myślenia.

Od jakiegoś czasu włóczył się po osiedlu, brudny i śmierdzący, z podkulonym ogonem omijał ludzi i grzebał w śmietnikach. Kusak karmił go przez dwa dni. Trzeciego dnia zaufanie psa wzrosło, podszedł więc do człowieka, jadł mu z ręki i dał się głaskać. Wieczorem, gdy Kusak był pewien, że nikt nie patrzy, wpuścił psa do domu, z którego dolatywał zapach pieczonego mięsa. Sam nie jadał mięsa, kupił je specjalnie na tę okazję.

Przygarnął psa i nakarmił, a w nocy rozwalił jego głowę młotkiem. Zrobił to jednym, precyzyjnym ruchem. Biedne psisko pewnie nawet nie wiedziało, co się stało.

Tej nocy spał spokojnie. Niestety, zwierzę to tylko zwierzę, półśrodek – mógł korzystać z niego dawno temu, kiedy jeszcze nie zabijał ludzi – ale to dało mu do myślenia.

*

Na takich półśrodkach mógł pociągnąć jeszcze kilka miesięcy.

Stał teraz przez budynkiem, do którego zamierzał wejść. Musiał najpierw uspokoić ręce, które trzęsły się niemiłosiernie.

Spokojnie. Będzie dobrze. Wejdiesz tam z uśmiechem typu „ale ze mnie równy gość” i raz-dwa załatwisz sprawę.

Głęboki wdech, wydech. Kusak wszedł do budynku.

– Dzień dobry – powiedział wesoło do kobiety za biurkiem. – Chciałbym wziąć psa.

Kobieta podniosła słuchawkę telefonu. Chwilę potem w holu zjawił się młody mężczyzna.

– Witam pana. – Uścisnął dłoń Kusaka. Jego uśmiechnięta twarz promieniowała entuzjazmem.

– Dzień dobry. Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób schronisko oddaje psy chętnym ludziom.

– To się nazywa adopcja – wyjaśnił młody. – Jeśli jest pan zdecydowany, w ciągu godziny może pan opuścić nasz zakład z nowym przyjacielem na całe życie.

Kusak słuchał cierpliwie, zastanawiając się, czy facet błagałby o życie, tak jak jego poprzednie ofiary.

Za adopcję psa była opłata, trochę papierkowej roboty i notka w umowie, że opiekunowie schroniska zastrzegają sobie prawo do kontroli poadopcyjnej.

– Rozumie pan, chodzi o ich dobro – mówił mężczyzna. – Już się nacierpiał w życiu, dlatego przypisujemy sobie prawo do sprawdzenia, w jakich warunkach pies żyje i czy nie jest krzywdzony. Ale patrząc w pana oczy, widzę, że nie musimy się o nic martwić. Te zwierzęta zasługują na to, by żyć.

Kusak miał odmienne zdanie.

Mijający czas – najstarsza sztuczka na świecie – przyniósł do Baskin pierwsze oznaki wiosny. Śnieg zniknął. Drzewa nieśmiało zaczęły puszczać pąki, a temperatura stała się na tyle znośna, że dzieciaki biegały po boiskach w krótkich rękawkach, choć część z nich przypłaciła to porządny przeziębieniem.

To była ulubiona pora roku Adrianny Majewskiej – wszystko wtedy ożywa.

Ożywał też Emil Czaja, z którym widywała się coraz częściej, zaczynając od wspólnych powrotów ze szkoły.

– Nie lubię Waśniewskiego – wyznała Emilowi. Nie wiedział, o kim mówi. – To mój nauczyciel od chemii. Uwziął się na mnie.

Nauczyciele byli tematem numer jeden. Ruda jako absolwentka szkoły podstawowej miała niewątpliwą przewagę nad Emilem. Znała jego nauczycieli i swoich, operowała zatem większym doświadczeniem, i dzięki temu mogła wypowiadać się na ich temat znacznie dłużej niż Emil, porównując i wydając werdykty, który jest gorszy lub lepszy.

– Musisz iść po lewej stronie – powiedział któregoś dnia. – Mojej lewej. Nie słyszę na prawe ucho.

Przytaknęła, przeskakując na drugą stronę. Wracali właśnie ze szkoły.

– A teraz mnie słyszysz? – Postukała w jego głowę i nachyliła się do ucha. – Halo!?

Odchylił głowę urażony.

– Dziwny jesteś, wiesz?

– Jestem głuchy. Głuchy to nie dziwny.

– A piszesz lewą czy prawą ręką?

– Prawą.

– To jesteś lewouszny.

– Aha.

*

Temat zaginięcia Tomka Sawickiego wisiał nad nimi jak klątwa. Wzmianka o nim mogła wywołać wilka z lasu, skusić los i sprowokować kolejne zaginięcie.

Często o nim myślała. Wspominała, jak ignorował jej nieśmiałe próby okazywania mu sympatii, choć w głębi, po cichu, liczyła, że on też bardzo ją lubi.

– Ciekawe, czy żyje? – rzuciła do Emila.

Ten przytaknął, nie mówiąc nic. Nic mądrego nie przychodziło mu do głowy.

Chciałaby też, żeby żyli jej rodzice, ale tego nie musiała mówić. Emil wiedział.

Znowu widział krótkofalówkę.

– Po co ci ona?

Odpowiadała wzruszeniem ramion. Gdy naciskał, robiła się nerwowa, a tego nie lubił, więc zamykał temat. Po jakimś czasie próbował ponownie.

– Powiem, po co – stwierdziła, stając w miejscu – ale ty mi najpierw powiedz, co się stało na Chełmskiej.

– Nic – odpowiedział, wzruszając ramionami.

*

Wiosenne powietrze mieszało się z zapachem koszonej trawy. Niebo coraz częściej przecinał klucz powracających ptaków. Ruda, która od zawsze miała problem z pyłkami, zaczęła kichać. Tego ranka po raz pierwszy obudziło ją ćwierkanie jaskółek – budowały gniazdo tuż nad oknem.

Pokazała je Emilowi, gdy pierwszy raz znalazł się w jej pokoju.

– Uwielbiam je – powiedziała. Siedzieli przy otwartym oknie. – Już od dawna czekałam, kiedy w końcu jakieś się pojawią. Zakładają tam gniazdo co rok.

– Mhm.

Przyjrzała się chłopakowi uważnie.

– Nie obchodzi cię to – stwierdziła.

– Nie, nie. Nie to, że nie obchodzi, tylko wiesz. To ptaki. Tylko ptaki, w sensie.

– Szkoda, że nie rozumiesz – rzuciła, wzruszając ramionami. – Byłbyś fajniejszy.

Emil, który od jakiegoś czasu chciał być fajny w oczach Rudej, poczuł się głupio. Ogólnie jej towarzystwo, choć coraz bardziej dla niego przyjemne, często wprowadzało go w taki stan. Był od niej młodszy, to po pierwsze. Po drugie, była od niego twardsza. Nie miał wątpliwości, kto komu musiałby pomagać w przypadku ewentualnej bójki. Z posesji Gargamela uciekła, zanim on zdążył pojąć, co się dzieje.

*

Często zauważała, że jego uszy są czerwone – zwłaszcza to, w które wbił sobie cyrkiel.

– Nie boli? – spytała.

– Nie, wcale. To tylko takie, wiesz, uczucie głupie. Czasami przykładam coś zimnego i pomaga, a czasami samo stygnie.

– Czemu to się dzieje?

– Nie wiem – skłamał.

– Ja też czasami tak mam. Babcia powiedziała, że tak jest, gdy ktoś cię obgaduje.

*

Rozmawiali o wszystkim i o niczym.

Czasami zastanawiała się, kiedy będzie świadkiem kolejnego „napadu”. Tak nazywała w myślach to, co stało się na Chełmskiej i na działkach.

Któregoś dnia nie poszedł na ostatnią lekcję.

Snuł się pomiędzy małymi alejkami w parku miejskim, szukając tego, po co przyszedł.

Znalazł po blisko godzinie. Szedł wzdłuż małej rzeczki, kiedy jego oczom ukazała się niewielka rodzina kilku przebiśniegów. Na zielonych, delikatnych liściach i płatkach błyszczały kropelki rosy.

Jej zrobiło się wstyd. Oczywiście to był wstyd bardzo przyjemny, ciepły. Dostała kwiaty od chłopaka.

– Dziękuję – powiedziała. Jej twarz płonęła rumieńcem.

Emil uśmiechnął się. Odpowiedziała pytającym spojrzeniem.

– Nic, nic. Tylko twoja buzia jest bardziej rdzawa niż zwykle.

Chciała się obrazić. Więcej, nawet wypadało to zrobić – na punkcie swoich piegów i włosów była szczególnie wyczulona – ale postanowiła odpowiedzieć śmiechem. Emil dołączył do niej.

*

Gdy usiedli na przystanku, wyciągnął z kieszeni pogniecionego papierosa.

– Zwinąłem ciotce – wyjaśnił.

– Ale ja nie palę. Nigdy nie paliłam.

– Przecież widziałem, że nosisz.

– To dla chłopaków było. Jak chciałam się z nimi zadawać, musiałam przynosić im od czasu do czasu.

Mimo to schowała go do kieszeni.

Z dnia na dzień przybywało zieleni, zapach grilla roznosił się na delikatnym, letnim wietrze.

– Najbardziej chyba lubię zapach koszonej trawy – powiedziała. – Chciałabym zjeść

coś, co smakuje jak ten zapach.

To wpędziło Emila w tydzień gorączkowych rozmyślań, co może smakować w taki sposób.

Któregoś poranka w drodze do szkoły pokazała mu księżyc. Wisiał na niebie z jednej strony, tuż nad sąsiednimi domami. Słońce wznosiło się powoli po drugiej stronie, niespiesznie, w stronę zenitu.

To było dla niego mocne doświadczenie. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Słońce i księżyc o tej samej porze dnia na niebie. Niesamowite.

– Kiedyś tam polecę. – Skinęła głową w stronę księżyca. – Zobaczysz.

– Myślałem, że właśnie stamtąd przyleciałaś.

Zarobił za to kuksańca w zebra.

– Zobaczysz. Jeszcze będziesz mi zazdrościł.

– Polecę z tobą.

– Ty – prychnęła. – Przecież ty placku masz lęk wysokości, na drzewo nawet nie wejdziesz.

Tak jest. Emil to fajtłapa jakich mało i boi się wchodzić na drzewa. Wydało się kilka dni wcześniej. Z podziwem patrzył, jak Ruda zwinnie wchodzi na drzewo i wspina się wyżej i wyżej, podczas gdy on poprzestał na najniższych i najgrubszych gałęziach.

Tłumaczył się, że ma lęk wysokości, choć nie do końca wiedział, czy to prawda. Lęk wysokości brzmi jak choroba i dzieciaki z tym nie dyskutują. Gorzej się przyznać, że ktoś boi się chodzić po drzewach.

Patrzenie w dół z wysokości nie robiło na nim wrażenia. O wiele gorsze było spoglądanie w górę. Bez widoku bezpiecznego gruntu, na którym można postawić stopę, strach paraliżował go od stóp aż po końcówki włosów.

*

Przystanek był najczęstszym miejscem ich spotkań. W jego cieniu zabijali czas, rozmawiali o codzienności i przyszłości – kiedyś będę, na pewno nie będę – zachowując przy tym typowy dla dzieci optymizm i przesadę.

*

Uwielbiał spędzać z nią czas.

Z czasem chęć spotkania na chociażby minutę przerodziła się w potrzebę. Każdy pretekst był dobry. Odwiedzał ją, kiedy tylko mógł, usilnie próbując nie dać niczego po sobie poznać.

Za Chiny Ludowe nie powiedziałby tego nikomu, ale każdy dzień zaczynał od główkowania, gdzie i kiedy może ją spotkać.

Szkolny korytarz? A nie, tam nie, dzisiaj ma na popołudnie.

Może napisać SMS-a?

Sama się odezwie?

Jak każda osoba – dziewczyna zwłaszcza – miała czasem swoje humory i nie odpisywała mu przez kilka niemiłosiernie długich dni, co wprowadzało go w stan bliski depresji ciężkiej jak kowadło.

Wkrótce dowiedział się, co je powoduje.

*

– Dzień dobry – powiedział do starszej kobiety, która zwykła patrzeć na niego z mieszkanką rozbawienia i podejrzliwości. – Jest może Ada?

O mały włos, a spytałby o Rudą. Po cichu pogratulował sobie refleksu.

– Chodź, wejdz. – Grażyna wpuściła go do środka i zamknęła szybko drzwi. Miał na sobie tylko bluzę z kapturem, żadnej kurtki. – Jeszcze nie jest tak ciepło, kolego. – Poczekala, aż chłopak zdejmie buty i machnęła ręką w stronę schodów na piętro. – Jest na górze.

– Dziękuję.

Niepewność mieszała się z lekkim strachem, gdy minął kobietę. Prawie czuł jej twarde spojrzenie na plecach.

Ruda siedziała w oknie i trzymała krótkofalówkę przy twarzy.

– Mamo, tato, prosz...

Widok Emila odebrał jej mowę. Jak długo już tu był? Co zobaczył i usłyszał?

Te drzwi nigdy nie otwierały się bez pukania. Często kłóciła się z babcią i dziadkiem, ale jednego wobec nich mogła być pewna. Zawsze pukali. Dawali jej prywatność, jakiej potrzebowała każda trzynastolatka.

A teraz ten mały szczył, ten pierdoła, wszedł sobie ot tak, jak do siebie. Przyłapał ją. Zobaczył coś, czego zobaczyć nie powinien. To należało wyłącznie do niej.

Schowała walkie-talkie za siebie, ale było już za późno. Widział, a ona widziała to w jego oczach, w tym dziwnym – współczującym? – spojrzeniu.

Widział i słyszał.

Wściekła się. Wygoniła go z pokoju, niemal spychając ze schodów. Grażyna nie rozumiała, co się stało. Stała w przedpokoju jak wryta, patrząc, jak jej wnuczka tarmosi chłopaka i wypycha go za próg.

Na koniec, tuż przed trzaśnięciem drzwiami, kopnęła go w dupę.

– Po co go wpuściłaś?! – krzyknęła w jej stronę oskarżającym tonem.
Nie czekając na odpowiedź, zanim łzy pociekły jej po policzkach, pobiegła z powrotem do siebie.

*

Emil rozmasowywał obolały pośladek. Rety, ale ona miała kopa. Wyszedł z posesji Majewskich speszony, przyspieszając kroku w obawie, że Grażyna wyjdzie za nim i dołoży od siebie.

W uszach ciągle słyszał smutny głos Rudej.
„Mamo, tato, proszę.”

*

Tego samego dnia, wieczorem, rozbrzmiał dzwonek do drzwi.
Wcisnął pauzę na padzie, patrząc na ciotkę, która ani drgnęła na sofie. Odkąd pamiętał, zawsze miała sen twardy jak kamień. Mógłby spróbować ją obudzić, ale z doświadczenia wiedział, że jeśli nie ocknie się na dźwięk dzwonka do drzwi, to nawet bombardowanie nie pomoże.

Otworzył sam.

Na korytarzu stała Ruda.

Płakała.

„To moja wina” – pomyślał. Zobaczył ją w chwili, w której nie powinien, wiedział o tym. Odkrył jej tajemnicę i dlatego płakała. To jego wina. I zaraz mu o tym powie, zacznie na niego wrzeszczeć. Obudzi całą klatkę schodową, a jemu na pożegnanie sprzeda kolejnego kopniaka.

Otworzył usta, by powiedzieć coś mądrego. Rzadko mu to wychodziło, a już zwłaszcza nie wtedy, gdy bardzo tego pragnął.

– E...

– Przepraszam – weszła mu w słowo.

Piękne oczy zalane były łzami, które ciekły po piegowatych, ognistych policzkach, łącząc się na brodzie i kapiąc na zimną podłogę.

– Przepraszam – powtórzyła.

„Przytul ją” – mówił w myślach. – „Mocno, czule, jak przyjaciel, jak chłopak, którym bardzo chcesz być.”

Stał jak słup, oczekując najgorszego, na przykład erupcji wulkanu, bo tylko to wydawało mu się gorsze od zapłakanej Rudej.

– Wyjdiesz? – spytała.

*

Siedzieli na przystanku. Światło padające z przydrożnych lamp tam nie docierało, więc nikt ich nie widział.

Siedzieli tam, chłopak i dziewczyna, on i ona, sieroty bez rodziców. Dziewczyna wciąż płakała. Chciała powiedzieć o wszystkim, zwierzyć się, jak bardzo tęskni za mamą i tatą. Codziennie, każdego dnia budziła się i godziła z faktem, że jej mama i tata już nie wrócą.

Czasami miewała sny, że jest inaczej – rodzice żyją i mają się dobrze, są w pracy i zaraz przyjadą.

Potem przychodzi dzień – pobudka, do szkoły – i gorzkie rozczarowanie.

Już od jakiegoś czasu chciała powiedzieć mu o krótkofalówce.

Pamiętała dokładnie moment, kiedy ją dostała. Było lato, rodzice robili grilla przed domem. Przyszli sąsiedzi. Niebo było czyste, nieskazitelne. Mama co chwila donosiła do stołu jeszcze więcej jedzenia. Tata śmierdział piwem, ale lubiła to. Był wtedy w zabawnym humorze, potrafił rozśmieszyć ją do łez.

O tym, że kocha babcię i dziadka, ale to tylko babcia i dziadek.

„Nie jestem głupia” – to też chciała wyjaśnić. Na pewno nie usłyszy rodziców, a już na pewno nie przez stare, przedpotopowe walkie-talkie, ale czasami ta czynność wydawała się jedyną logiczną rzeczą na świecie. Wszystko inne szlag trafił.

Chciała mu powiedzieć o zdjęciu mamy i taty, które zawsze nosiła przy sobie. Miało już pęknięcia i pozaginane rogi. Powinna je trzymać w domu, bo to najlepsze zdjęcie rodziców, ale chciała ich mieć przy sobie.

O pozłacanym łańcuszku. Mama nosiła go na szyi, ona na nadgarstku.

I w końcu pragnęła powiedzieć, że bardzo, ale to bardzo potrzebuje, żeby ją teraz ktoś przytulił.

Chłopak rozumiał wszystko, choć nie powiedziała ani słowa. Nie musiała.

Przysunął się delikatnie, powoli, ostrożnie. Była wyższa od niego, ale skulona i roztrzęsiona sięgała mu ramion.

Przytulił ją. Najmocniej jak potrafił.

*

Kusak siedział w samochodzie i obserwował przystanek.

Do szkoły wyszedł wcześniej niż zazwyczaj, przeszedł pół miasta w przeciwnym kierunku i czekał na Rudą przy ulicy niedaleko jej domu.

Gdy wyszła z domu i zobaczyła, że na nią czeka, zawahała się. Od rozmowy na przystanku unikała spotkania. Nie wiedziała, jak się zachować i chyba żałowała, że tajemnica krótkofalówki wyszła na jaw. Sama nie wiedziała, co czuje.

Patrzył, jak zbliża się do niego wolnym krokiem. Była piękna. Był w niej zabujany, zakochany, zakręcony, jakkolwiek na to mówią dziesięć latki. Za cel w życiu obrał sobie policzenie wszystkich piegów na jej twarzy.

– Cześć – powiedział.

Nie wyglądała na zadowoloną.

– Cześć – odpowiedziała delikatnym, niepewnym uśmiechem.

Szli w milczeniu. Obydwoje byli speszeni i nie wiedzieli, co właściwie powiedzieć. Ostatnie spotkanie zbierało swoje żniwo.

„Udawać, że nic się nie stało?”

„Powinam podziękować?”

„Może jeszcze raz ją przytulić?”

Powietrze było słodkie i rześkie. Gdzieś w oddali pracowała kosiarka, jeszcze dalej czekał pies.

Szli wzdłuż osiedlowej ulicy, co chwila schodzili na bok przed nadjeżdżającym samochodem.

Zerkali na siebie. Szybkie, urywane spojrzenia zderzyły się kilka razy.

Popchnęła go delikatnie, zaczepnie, ale wystarczyło, by jego wątłe ciało straciło równowagę. O mało nie wpadł na znak przy drodze.

Spojrzał na nią rozbawiony.

Aha, więc to tak.

Zrównał z nią krok i wbił jej palec w zębra.

– Au! – zawołała. – Przestań! Wiesz, że tego nie lubię.

Jej uśmiech zdradzał co innego.

Spróbował jeszcze raz.

– Powiedziałam, przestań.

Przez chwilę ponownie szli w milczeniu – do momentu, kiedy kopnęła od dołu jego plecak. Poleciał do góry i wylądował na głowie Emila. Na ulicę poleciały zeszyty, linijki i długopisy.

Wybuchła głośnym śmiechem i uciekła.

Jak tylko pozbierał swoje rzeczy, ruszył za nią.

*

– Teraz ty.

Pokręcił głową.

Mimo to nie odpuszczała.

– No dawaj, teraz ty.

– Nie-e.

– Dlaczego nie chcesz powiedzieć?

Wzruszył ramionami.

– Powiesz chociaż, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Wstydzisz się?

Spojrzał na nią po raz pierwszy, odkąd zaczęła temat.

Tak, wstydził się, podobnie jak ona. Kilka dni temu poznał jej tajemnicę, teraz jego kolej. Tyle że nie był gotów. I tak nie uwierzy. Tak jak nie uwierzyła mu ciotka i psycholog. Przez jakiś czas brał tabletki. „Przejdzie ci” – mówił lekarz, ale jedyna różnica, jaką po nich zauważył, to senność. Poza tym wszystko inne było takie samo. Straszne.

Przerażające.

– Dlaczego mi nie powiesz?

– Bo to jest straszne.

„Oho, jest!” – ucieszyła się w duchu. Wsadziła nogę w drzwi i nie zamierzała wyciągnąć, dopóki się nie dowie, co jest nie tak z jej chłopakiem.

To znaczy TYM chłopakiem, nie JEJ. Jasne?

Okej, lubiła wspominać spędzony z nim czas na najnudniejszych lekcjach lub w domu, no dobrze. Nawet to jego ślamazarstwo miało swój urok, ale nigdy nie nazwałaby go swoim chłopakiem. Jasne?

Aha, i śnił jej się kilka razy, ale ukryła ten fakt głęboko w głowie pod stosem innych wydarzeń.

– Co jest straszne? – spytała.

– Nie mogę ci powiedzieć.

I tyle. Tego dnia nie powiedział już nic więcej.

– Kiedyś mi powiesz, wiesz?

– Jak dasz mi buziaka – wypalił, zanim zdążył się zastanowić, czy powiedzenie tego na głos nie będzie miało katastrofalnych skutków.

Nie miało. Ruda roześmiała się tylko głośno.

– Masz rację. Nie możesz mi powiedzieć.

*

Obudził go SMS.

Przetarł sklezione oczy, ale nie miał siły na nic więcej, więc ponownie zanurzył się w ciepłym, niezmaconym śnie, kiedy usłyszał brzęczenie telefonu. Przyszła druga wiadomość.

Pierwsza: *Znowu mi sie snili.*

Druga: *spisz?*

Mimo że była druga w nocy, zdołał się rozbudzić na tyle, by pomyśleć, jak fajnie byłoby siedzieć z nią na przystanku, tak jak wtedy. Nikt ich wtedy nie widział, siedząc w cieniu, byli niedostępni dla uspionego miasta. Mogli rozmawiać spokojnie, szeptem, nikt i nic im nie przeszkadzało. Tacy wtedy byli, niewidoczni dla nikogo.

Z wyjątkiem Kusaka.

Odpowiedział: *nie spie. Dobry sen?*

Nie. chce mi sie plakac.

Długo myślał, co odpisać. Poszedł do toalety, wrócił i nadal myślał.

Przez okno wpadało światło osiedlowych lamp.

Odpisał jedno słowo:

Wiem.

Nic więcej nie było do powiedzenia.

Na odległość nie mógł jej przytulić.

*

Szkoła zorganizowała wycieczkę do ratusza miasta Baskin. Uczniowie dwóch klas wyszli przed szkołę. Nad nimi unosiła się radosna perspektywa ominięcia nudnej lekcji historii.

Chwilę po dzwonku zjawiły się nauczycielki, sprawdzając obecność i uspokajając swoich podopiecznych.

Wśród uczniów była Adrianna Majewska, znana od niedawna pod nową ksywką Ruda Małpa, oraz Emil Czaja, który w oczach swoich rówieśników otrzymał kilkanaście dodatkowych punktów do „dziwności”, bo „wyobraźcie sobie, koledzy i

kolezanki, że to ciche dziwadło, tak jest, to, co wbiło sobie cyrkiel w ucho, chodzi teraz z Rudą Małą”.

Wycieczka w końcu ruszyła w stronę centrum miasta, gdzie znajdował się ratusz.

Wszyscy, którzy w niej uczestniczyli, mieli zachować ją w pamięci na bardzo długo.

*

Ratusz został postawiony w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Prostokątna, solidna budowla w centrum Baskin uchodziła za jeden z najcenniejszych zabytków nie tylko miasta, ale i gminy. Przez długie lata wieża ratusza czyniła go największym budynkiem w mieście. Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku wisiał na niej zegar – zajrzenie za jego tarczę, wprost w mechanizm, miało być jednym z najciekawszych punktów wycieczki.

Oprowadzająca uczniów pracownica ratusza opowiadała jego historię. Strasznie to nudziło czterdziestoosobową grupę dzieciaków, która szła powoli korytarzami, słuchając monotonnego głosu przewodniczki. Nauczycielki musiały interweniować co chwila – cała grupa miała głęboko gdzieś historię zegara i budynku. Dla dzieciaków nie był on niczym więcej jak sralnią dla gołębi – na ulicy dookoła niego leżały białe plamki ptasich odchodów.

– Zacznijmy od wieży – zaproponowała kobieta. – Kto chciałby zobaczyć, jak funkcjonuje zegar, który na co dzień widzicie od strony ulicy?

Odpowiedziało jej kilka nieśmiałych głosów. Pozostali chcieli zobaczyć tylko godzinę czternastą czterdzieści pięć, bo właśnie wtedy kończyły się lekcje.

Do wieży wchodzili małymi grupkami. Starsze dzieciaki trzymały się z dala od młodszych jak od trędowatych. Wyjątkiem byli Adrianna Majewska i Emil Czaja.

Zegar okazał się taki sobie, niezbyt duży, właściwie wielkości małego akwarium. W środku kręciło się kilkanaście, może kilkadziesiąt większych i mniejszych kół zębatach. Na Rudej zrobiło to spore wrażenie. Cały ten mechanizm był tak bajecznie skomplikowany. Dziesiątki zębatach kół wewnątrz maszyny wprawiały w ruch wskazówki.

Działał jak człowiek.

Widać tylko to, co z wierzchu, i to zazwyczaj wydawało się proste. A w środku masakra, skomplikowane nie wiadomo co wydające się działać bez ładu i składu. Mimo to działało.

To ożywiło uczniów, ale tylko na trochę. Przewodniczka szybko wyczuła unoszące się w powietrzu znudzenie, zaproponowała więc, by zejść do piwnic ratusza.

– Dawno temu, w czasach wojny, piwnice służyły jako schrony. Jest tam bardzo dużo pomieszczeń, o wiele więcej niż tutaj, na powierzchni!

Zejszcie na dół zajęło kilka długich minut. Rzeka uczniów powoli sunęła po schodach.

Główny korytarz ciągnął się kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów, trudno było ocenić w słabym świetle zawieszonych pośrodku sufitu jarzeniówek. Po bokach widniały metalowe drzwi, na samym końcu zaś majaczył wielki, okrągły właz.

– To jest wejście do głównego schronu – wyjaśniła kobieta. – Za drzwiami po bokach znajdują się pomieszczenia gospodarcze. Trzymamy tam długoterminową żywność, środki czystości i zestawy do pierwszej pomocy.

– Po co? – spytał ktoś.

– Na wypadek zagrożenia wojennego. Schron może pomieścić ponad pięćdziesiąt osób.

– W czasie wojny to także był schron?

– Oczywiście. Może mieliście to już na historii, ale Baskin było jednym z najbardziej strategicznych punktów do zdobycia, zanim Armia Czerwona mogła zająć sąsiadujące miasta. Niemcy, którzy stąd nie wyjechali – pielęgniarki, ranni żołnierze – chowali się tutaj przed ostrzałem.

– Możemy zobaczyć, co jest za włazem?

– Niestety, główny schron otwierany jest tylko raz w miesiącu. Klucze znajdują się w biurze burmistrza i tylko on może te wrota otworzyć.

Ruda zauważyła, że Emil czuje się nieswojo.

Rozglądał się na boki. W jego oczach czaił się ten sam strach, który widziała na działkach i na Chełmskiej. Skubał paznokcie, próbując zachować spokój i wychodziło mu to całkiem nieźle, ale ona wiedziała, co się dzieje.

Z bijącym coraz mocniej sercem czekała, kiedy tylko padnie na ziemię, zasłaniając głowę. Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, kto widzi to samo, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Możemy już iść? – spytał szeptem.

– Za włazem są korytarze, które ciągną się głęboko pod miastem – mówiła dalej kobieta. Pytanie Emila pozostało bez odpowiedzi. – Nie udało nam się jeszcze zbadać wszystkich, ponieważ wymaga to czasu i pieniędzy. Poza tym to może być niebezpieczne, aczkolwiek...

– Chcę wyjść.

– ...aczkolwiek najdłuższy korytarz, o jakim wiemy, prowadzi pod Górę Chełmską, aż do wieży widokowej.

– Chcę stąd wyjść!

Teraz usłyszeli wszyscy. Dziesiątki głów skierowały się w jedną stronę.

Emil cofnął się kilka kroków, reszta dzieciaków zeszła mu z drogi, aż uderzył plecami w ścianę.

Ruda znowu to poczuła. To dziwne uczucie, strach i jednocześnie nadzieja, rozlało się w jej głowie. Coś tu było nie w porządku, a Emil wyczuwał to bardziej niż ona.

– CHCĘ STĄD WYJŚĆ!!! – wrzasnęła piskliwie, zasłaniając uszy.

Przewodniczka podeszła do niego zdecydowanym krokiem. Na jej twarzy malowało się zdziwienie i troska. Uśmiechała się lekko, czule, ale gdy tylko położyła dłoń na jego ramieniu, odskoczyła jak poparzona, krzycząc.

Wszyscy patrzyli to na nią, to na dziwaka, który wrzaskiem sprowadził czekającą na schodach publiczność.

– Wszystko w porządku? – spytał nauczyciel. Próbował precyzyjnie się przez tłum uczniów.

– *Nein bitte! Nicht töten bitte!* – wrzeszczał Emil.

Uczniowie cofnęli się przestraszeni. Niektórzy uciekli na górę, jakaś dziewczyna zaczęła piszczeć, ktoś inny wyciągnął telefon i zaczął nagrywać dziwaka.

– *Lass! Lass bitte!*

Nauczyciel podszedł do kobiety. Siedziała pod ścianą, płacząc i bujając się w przód i w tył. Chciała pomóc Emilowi, a sama wyglądała, jakby potrzebowała pomocy.

Niepokój i groza wisiały w powietrzu, czuł je, tak jak czuła to ruda dziewczyna stojąca obok. Patrzyła tylko na chłopaka niezainteresowana tym, co się działo za jej plecami.

– Wszyscy wychodzić! – krzyknął nauczyciel i wyjątkowo nikt nie potrzebował zachęty.

Panika wzięła górę, wszyscy rzucili się do ucieczki, słysząc krzyki dziwaka. Nauczyciel pomógł przewodniczce wstać. Ktoś potrącił kogoś innego, ten ktoś padł na kolano.

– Au! – krzyknęła jakaś dziewczyna, próbując wstać, ale cały czas potrącały ją nogi uciekających. – Pomocy!

Uczniowie objali się o siebie, popychali. Nauczyciel wołał o spokój, jednak nikt go nie słuchał. Przewodniczka chwiała się na nogach, leciała mu przez rękę.

Gorzej już chyba nie mogło być.

I właśnie wtedy w piwnicy strzeliły jarzeniówki.

W całym zamieszaniu nikt poza nauczycielem nie zauważył trzynastoletniej dziewczyny, która wolnym, trochę niepewnym krokiem podeszła do chłopaka pod ścianą.

On nie zwracał na nią uwagi, leżał skulony jak zbity pies, zasłaniając uszy i krzycząc coś w dziwnym języku. Brzmiało to jak niemiecki, ale dziewczyna nie była pewna. Miał zaciśnięte powieki.

Gdy zgasły światła, nie widziała niczego. Pod ziemią panowała grobowa ciemność, troszkę tylko rozrzedzana przez dobiegające z góry światło.

Nikt jej nie widział.

Sama też nie widziała niczego poza zarysem sylwetki chłopaka pod ścianą.

Bała się i czuła, że to nie jej strach.

To był strach jej przyjaciela, który leżał tuż przed nią, przerażony i zagubiony.

– *Unmittelbar sterben, unmmittelbar sterben...* – powtarzał w kółko.

Im bliżej chłopca, tym strach większy. Paraliżował, zmiękczał nogi w kolanach.

– Jestem tu – powiedziała do niego. Krzyki zagłuszały jej szept, mimo to mówiła dalej. – Jestem tu, Emil.

Kucnęła tuż przy nim, dotykając jego głowy.

– Jestem przy tobie, Emil. Jestem tu.

I tak jak on wtedy na przystanku, przytuliła go do siebie najmocniej jak potrafiła.

Od tej pory już nigdy nic nie było takie samo.

W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku wojna nie miała już sensu dla nikogo. Nawet dla samego Führera, który popełnił samobójstwo miesiąc później.

Niemieccy żołnierze stacjonujący w Western Bazking też mieli dość. Wojna nie przynosiła niczego poza trupami. Były wszędzie. Ciała leżały przy głównej ulicy, przy co drugim domu w centrum, w rowach za miastem, na opuszczonych terenach rolniczych, wszędzie.

Dogorywające z głodu i pragnienia rodziny czekały na śmierć. Ludzie starsi, dorośli, kobiety i dzieci, wszyscy pragnęli końca wojny. Jakiegokolwiek końca.

Żołnierze trzymający wartę przy wschodnim wjeździe do miasta wypatrywali wroga. Armia Czerwona zmierzała w ich kierunku. Każdy ruch pomiędzy drzewami podnosił ciśnienie i przyspieszał bicie zmęczonego serca.

W tę stronę skierowane były lufy radzieckich czołgów. Wiedzieli o tym. Czekali w napięciu, wypatrywali ruchu, czerwonej flagi pomiędzy drzewami, mrowia rosyjskich żołnierzy, komunistów, czegokolwiek. Czekanie było najgorsze. Mróz sięgający minus dziesięciu stopni nie ułatwiał niczego.

Najpierw usłyszeli hałas. Dochodził z daleka, gdzieś spomiędzy drzew. Charakterystyczny zgrzyt metalowych gąsienic miażdżących wszystko na swojej drodze.

Pojawiły się czołgi. Za nimi biegli sowieccy żołnierze, równie zmęczeni jak niemieccy, ale bardziej zdeterminowani, gotowi na wygraną i gotowi na śmierć – jedyne opcje, jakie brali pod uwagę.

Niemieccy żołnierze uciekali w stronę miasta.

„Nadchodzą! Komuniści nadchodzą!”

Dzwony kościelne zaczęły bić. Zaraz potem zawyły syreny.

Mieszkańcy wiedzieli, że dzieje się coś złego. Ci, którzy mieli siły i możliwości, opuszczali miasto, tłocząc się na ulicach wylotowych.

Przed południem zostali już tylko żołnierze Wehrmachtu. Brudni, głodni, zmęczeni i śmiertelnie przerażeni. Czekali w oknach, okopach, za barykadami, z przeładowanymi karabinami.

Szturm na miasto zaczął się o piętnastej.

Padał gęsty śnieg utrudniający widoczność i szybsze poruszanie.

Po radzieckiej stronie padł rozkaz.

– Zdobyć miasto! Jednym szybkim ruchem.

Wszystkie pojazdy pancerne, do tej pory ukryte za wzgórzami i lasami, ruszyły do ataku.

Centrum miasta stawiało najsilniejszy opór. Niemcy prowadzili regularny ostrzał z broni maszynowej i przeciwpancernej.

Ciężkie radzieckie wozy sunęły do przodu powoli, ale skutecznie. Za ledwie kilka podpalono.

Po godzinie do Western Basking wkroczyła piechota.

*

Walczyli o każdy dom. Żołnierze po rosyjsku i niemiecku przywoływali swoje matki. Rannych Niemców dobijano strzałem w głowę.

Budynki przestawały istnieć. Ściany wylatywały w powietrze, rozdrobnione na tysiące kawałków. Gruz leżał na drodze i chodnikach. Pod nim dogorywali ludzie.

Na śniegu była krew.

Eksplozje.

Strzały.

Rozlegały się rosyjskie krzyki. Niemieckie uciszano jednym strzałem.

*

Głęboko pod ratuszem, w jednym z najniższych pomieszczeń pod schronami, siedziała rodzina. Pięć osób – matka z ojcem, dwóch synów i córka trwali w mocnym uścisku, wtuleni w siebie, słuchając eksplozji nad głowami.

Ściany trzęsły się raz po raz.

Dziewczynka pytała, kiedy to się skończy, matka uspokajała, że zaraz, zaraz, po cichu błagając Boga, by Rosjanie ich nie znaleźli. Wiedziała, że Armia Czerwona nie bierze jeńców.

*

Na ścianie jednego z budynków w centrum widać było dużą plamę krwi. Spływała w dół, w stronę ziemi, na której leżał żołnierz z dziurą w głowie.

Dalej na chodnik padł dwudziestoletni chłopak ubrany w niemiecki mundur. Nie miał nóg. Jedna leżała dwa metry dalej, drugą rozerwał granat, który eksplodował chwilę przedtem.

Jeszcze żył.

Był niemieckim podoficerem i uciekał. Nie chciał tu umrzeć. Pragnął ujrzeć swoją żonę i nienarodzone jeszcze dziecko. Dostał kulkę w plecy. Próbował jeszcze doczołgać się w bezpieczne miejsce, ale ktoś strzelił mu w tył głowy.

*

Rodzina pod ratuszem bała się jak nigdy wcześniej.

Komuniści weszli do budynku – słychać było ich krzyki. Mordowali Niemców, mieszkańców Bazking, których grzechem śmiertelnym było to, że zostali w rodzinnym mieście.

Krzyki zbliżały się do drzwi. Ktoś uderzył w nie raz i drugi.

Dziewczynka załkała. Matka uspokajała, sama płacząc. *Unmittelbar sterben. Unmittelbar sterben.*

Zaraz zginiemy.

Wielka eksplozja zatrzęsała budynkiem. Wszyscy ogłuchli, wszędzie sypał się tynk, zasłaniając widoczność. Rosjanie zasypali wejście do najniższego schronu w ratuszu.

„Rodzina nigdy nie opuści tego miejsca, wszyscy umrą z głodu i pragnienia, a pomieszczenie nie zostanie odkryte.

W dwa tysiące piętnastym roku, gdy polskie dzieci przyjdą do ratusza na wycieczkę, ich kości nadal tu będą.”

*

Śmierć pędziła po Bazking we wszystkich kierunkach, tam i tu, zabierając ze sobą ludzi, których różniło wszystko: język, narodowość, doświadczenia życiowe. Łączyło ich jedno – umierali.

Umierali w domach, na ulicach, w piwnicach. Rosjanie zaglądali wszędzie, gdzie się dało, a Niemcy, przypuszczając, że tak będzie, zaminowali tyle mieszkań, ile zdołali. Po otwarciu drzwi eksplozja zabierała Rosjan, rozchlapując ich krew na ścianach i śniegu.

*

Był jeszcze budynek z czerwonej cegły w okolicach parku. Pełnił funkcję lazaretu. Rannych przywożono z frontu bez kończyn, niezdolnych do życia bez kroplówek i całodobowej opieki.

Jęczeli i płakali z bólu i strachu. Rosjanie byli tuż, tuż.

Opiekujące się Niemcami zakonnice też czuły strach. Dowództwo zostawiło ich na łaskę Rosjan. Zabrano wszystko, co cenne, z wyjątkiem tych żołnierzy.

Zakonnice postanowiły trwać przy nich, licząc na miłosierdzie.

„Za blisko siedemdziesiąt lat pewien chłopiec zrozumie, jak bardzo się myliły.”

12

Rzeka rozkrzyczanych dzieciaków wybiegła ze szkoły ku wolności.

W rozległych korytarzach budynku nie było nikogo. Poza chłopcem.

Na dworze świeciło słońce, jego promienie wpadały przez duże okna, oświetlając podłogę. Tylko miejsce w narożniku pozostało ciemne. Tam właśnie siedział.

Po wycieczce do ratusza nikt się do niego nie odzywał.

Kobieta, która dotknęła go nieopatrzenie, wzięła wolne do końca dnia, co zapoczątkowało nową falę plotek. Dziwakowi odwaliło na dobre i w dodatku tym odwaleniem zarażał.

„Wiecie co, chłopaki, nie uwierzycie, ale ten dziwoląg zaczął wrzeszczeć coś dziwnego, nie po polsku, tylko w jakimś innym języku, czaicie to? Była też jakaś dziwna awaria, światła strzeliły, pierdut, i nic nie widać. Wszyscy o mało się nie osrali. Tak szybko biegli z powrotem na górę, że staranowali trzy dziewczyny. Tak, te, co teraz siedzą u piguły.”

Chłopiec tkwił w rogu korytarza z podwiniętymi nogami.

Gdy rozległy się kroki, od razu je rozpoznał.

Dziewczyna, starsza od niego o trzy lata, usiadła obok, nie bardzo wiedząc, jak zacząć.

– Hej – powiedziała, nie doczekawszy się odpowiedzi. „Hej” to zawsze dobry początek.

Miała tysiące pytań. Tkwiły na końcu języka, gotowe do wypowiedzenia. Wszystkie składały się na jedno wielkie: „co się stało?”

– Powiedzieć ci? – spytał.

Dziewczyna powoli przytaknęła, niepewna tego, co może usłyszeć. Czasami lepiej nie wiedzieć.

– Tylko jeśli chcesz.

Spojrzał na nią zażwawionymi oczami. Oddychał głęboko, próbując uspokoić roztrzęsione ręce.

Czekała.

Przymknął oczy, przygotowując się na nieuniknione.

– Słyszę – powiedział. Minęła chwila, zanim dokończył. – Słyszę zmarłych.

LATO

13

Emil Czaja słyszał głosy zmarłych.

Zrozumiał to w wieku siedmiu lat, kiedy głosy, krzyki i wrzaski zaczęły rozlegać się w jego głowie niemal przez cały czas.

Słyszał zmarłych tam, gdzie wciąż byli – martwi, pogrzebani w ziemi, zapomniani.

*

Nie pamiętał, kiedy usłyszał po raz pierwszy. Być może tak było od zawsze, ale zapamiętał moment, kiedy zaczął rozumieć.

Biegał z chłopakami po osiedlu. Niedaleko był cmentarz. Mówiło się, że jest nawiedzony – samoistnie przemieszczające się znicze, głosy w nocy, sunące zjawy i krzyki.

Przechodzili obok, gdy zobaczył coś fajnego.

Na głównej bramie cmentarza, dokładnie na metalowym napisie CMENTARZ, siedziało trzech chłopców.

(chodź do nas!)

(pobaw się z nami!)

(podaj podaj!)

Nie był pewien, czy widzi ich naprawdę – prześwitywali – ale głosy były prawdziwe, wyraźne, ostre i dziecięco wesołe. Krzyczeli do niego jak starzy dobrzy kumple, którzy uwielbiali jego towarzystwo.

Przystanął.

– Widzicie? – spytał kolegów. Nawet się nie odwrócili. Pochłonięci omawianiem skomplikowanego systemu wymiany gier, poszli przed siebie.

Emil podszedł do bramy cmentarza.

Głosy stawały się wyraźniejsze,

(hej widzisz nas?)

(on nas widzi widzi nas!)

wręcz zagłuszające. Puścił piłkę, zatykając uszy, ale poczuł jedynie pulsujące w nich gorąco. Małżowiny niemal płonęły.

– Cześć – powiedział.

Chłopcy siedzący na bramie krzyczeli

(widzi nas widzi)

(słysz)

(widzisz nas?)

(słyszysz nas?)

jeden przez drugiego. Ich głosy zlewały się ze sobą, mieszały.

(chodź do nas chodź)

Efekty tego zdarzenia były dość nieprzewidywalne i nieprzyjemne. Jakaś kobieta kazała mu zejść z ogrodzenia.

Odprowadziła go do domu, targając za uszy i rugając za to, co zrobił.

– To nie jest plac zabaw, gówniarzu. Gdzie mieszkasz? Porozmawiam z twoją matką i zobaczymy, co...

– Mama nie żyje.

Kobieta przystanęła i oznajmiła, że jeśli kłamię, pójdzie do piekła.

Nie chciał iść do piekła, ale zgodnie z logiką tej starszej pani nie musiał się o to martwić. Nie kłamał.

– Nigdy więcej tego nie rób, dzieciaku, rozumiesz?

– Ale tamte chłopaki siedziały tam cały czas.

– Jakie chłopaki?

– No, chłopaki.

Niepewnie spojrzała na bramę, potem na dzieciaka. Młody najwyraźniej miał coś uszkodzonego pod kopułą.

– Nigdy więcej tego nie rób! – powtórzyła.

*

Rzęzenie człowieka z poderżniętym gardłem. Pękające kości. Wycie torturowanego psa. Lament potępionych, zagazowanych w obozach, ludzi na skraju głodu i wyczerpania.

Te głosy były najgorsze nie tylko z oczywistego powodu.

Były najczęstsze.

*

Powiedział ciotce. Wysłuchała wszystkiego. Sądził, jak większość siedmiolatków, że ciocia jako osoba dorosła rozwiąże problem w jedno popołudnie. Da syropek i po sprawie. Już nie pamiętał, co zrobiła, chyba nic, ale pamiętał jej minę pełną niedowierzania.

Uwierzyła kilka dni potem, gdy szli przez centrum Baskin.
Trzymała go za rękę, gdy usłyszała
(*proszę błagam!*)
krzyk mężczyzny. Brzmiał dziwnie, jakby w innym języku, mimo to rozumiała.
Rozejrzała się w poszukiwaniu
(*błagam nie mam córeczkę błagam błagam!*)
jego źródła – bezskutecznie.
– Kto to krzyczy? – spytała zdziwiona.
Siedmioletni Emil wolną ręką próbował zatkać ucho, ale to nie pomagało. Jeżeli w okolicy były pochowane ciała, słyszał ich głosy. Zasłanianie uszu to tylko odruch. Głosy rozbrzmiewały w jego głowie.
– Emil? – Kobieta spojrzała na chłopaka. Widziała jego uszy, czerwone, rozpalone. „Ktoś o tobie mówi” – powiedziała by w rozbawieniu. – „Czerwone uszy to nic takiego.” – Ty też to słyszysz?
Spojrzał na nią i przytaknął.
– To oni – powiedział.
Dzień był upalny jak całe lato tamtego roku. Ziemia wyschła na pieprz, pył i kurz unosił się z każdym krokiem. Mimo to ciotka poczuła na plecach zimne dreszcze.
„Oni?”
– Kto? – spytała.
– Oni – powtórzył i wskazał palcem na lewo. Nic tam nie było, kilka starych kamienic, które planowano wyburzyć już wkrótce, pozostałości po niemieckich mieszkańcach sprzed wojny. – Tam są.
– Kto? – spytała. Momentalnie zaschło jej w gardle.
– Trupy – powiedział bez zająknięcia. – Komuniści je zakopali.

*

Pochowane lata temu w nieoznaczonych mogiłach ciała, trupy z czasów przeszłych, nawet bardzo przeszłych, wciąż były w tym samym miejscu.
Nie można powiedzieć, że słyszał głosy wszędzie, gdzie się ruszył, ale prawie wszędzie – zdecydowanie.
Na pytanie, czy też to słyszą, koledzy pukali się w głowę, patrząc jak na wariata, którym z czasem w ich oczach się stał – dziwak.
Próbował ignorować głosy i szło mu całkiem dobrze.
Ciotka wzięła go na kolana i spytała, czy naprawdę słyszał wtedy to, co myślał, że słyszy.

– Myślisz, że słyszałeś zmarłych, Emilku? – spytała miłym, podejrzanym miłym głosem.

Przytaknął powoli, nie wiedząc, czy to dobrze, czy źle. Spodziewał się kary, rugania, czegoś, co się dzieje, gdy postępujesz źle.

Bo słyszenie zmarłych z pewnością dobre nie jest.

– Złe – potwierdziła ciotka. – Nie możesz o tym nikomu powiedzieć, rozumiesz? To jest złe.

Zrozumiał.

Kazała mu obiecać, więc to zrobił.

Obietnicę złamał dopiero po trzech latach, w obecności rudowłosej dziewczyny, w której się podkochiwał.

*

Skoro nic strasznego się nie działo, głosy nie były takie złe. Nic mu nie robiły, nikomu nie działa się krzywda. Po prostu były. Wszystko w porządku.

Mylił się.

Z czasem do głosów doszły obrazy, wizje, zwidy jakieś, wszystkie widziane na niebiesko jak przez filtr. Były straszne, nie chciał ich oglądać, jednak kolor, ten nieskazitelny błękit, przyciągał wzrok.

Obrazy nie pojawiały się zawsze, raczej rzadko, ale kiedy już je widział, nie było nic gorszego.

Wojna.

Morderstwa.

Strzał w tył głowy.

Wisielec.

Wychudzona postać, zjedzona przez nowotwór, na łożu śmierci.

Jednak to głosy pozostały głównym problemem. Słyszał je tam, gdzie były pochowane ciała. Z czasem okazało się, że ciała chowano niemal wszędzie. Co gorsza, zaczął rozumieć ich słowa.

Zaczęły zjadać go nerwy. Bał się chodzić po mieście, odwiedzać miejsca, w których jeszcze nie był, bo niemal na pewno ktoś kiedyś został pochowany w okolicy.

(ich will nicht sterben!)

(hilfe!)

Były wszędzie, coraz wyraźniejsze, coraz bardziej przerażające, wołające o pomoc, o uwagę, pragnące kogoś, kto ich wysłucha.

*

Ośmioletni Emil nie spał po nocach. Echa głosów rozbijały się w jego głowie jeszcze długo po usłyszeniu. Gdy tylko zamykał oczy, widział okropne sceny, drastyczne widoki momentu śmierci. Czuł strach umierających.

Mimo wszystko za dnia jako tako sobie radził. Bał się, ale było znośnie.

Sądził, że sobie z tym poradzi.

Mylił się.

*

Baskin Zachodnie nie jest dużym miastem, ale może pochwalić się trzema kościołami, posterunkiem policji, przychodnią oraz dwiema podstawówkami.

Ciotka przeniosła Emila do drugiej szkoły w nadziei, że przestaną go gnębić. Nie przestali. Opinia dziwaka ciągnęła się za nim, poczta pantoflowa działała. Nie był lubiany w klasie i w szkole – ani przez uczniów, ani przez nauczycieli. Ci drudzy nigdy nie powiedzieliby tego na głos, zresztą nie musieli, wyraz twarzy wyręczał ich całkowicie.

Wiecznie milczący odzywał się tylko wtedy, gdy musiał. Z głową schowaną w ramionach przemykał korytarzami w nadziei, że nikt nie będzie go zaczepiał.

Z początku było nie najgorzej. W każdej szkole znajdzie się kilku dziwaków. Dopiero słynny już cyrkiel, który wbił sobie w ucho, wysoko wywindował jego sławę.

Po tym wydarzeniu nadal nie wszyscy kojarzyli nazwisko, ale każdy bezbłędnie potrafił wskazać „debila, co wbił sobie cyrkiel w ucho”.

Wtedy jeszcze nie rozumiał. W zasadzie nigdy nie zdołał zrozumieć tego do końca, ale nie był pewien, czy naprawdę słyszy echa zmarłych, czy tylko głosy we własnej głowie.

Trudno byłoby powiedzieć, co gorsze.

To była lekcja pełna napięcia. Uczniowie mocowali się ze sprawdzianem, nauczycielka siedziała za biurkiem, masując skronie. Nie pojmowała, jak można być tak głupim, nawet w wieku tych dzieciaków, które właśnie uczyła.

Emil skupiał się na kartce i zadaniu, kiedy w jego głowie

(PRZYJDĄ TU PRZYJDĄ!)

(zabiorą ZABIORĄ przyjdą!)

(zabiją nas)

(zgwałcą i zabiją i żołnierzy też zabiją)

(nas i zabiją!)

nie tyle się odezwały, co eksplodowały z siłą bomby atomowej. Słyszał je wcześniej na przerwach i na innych lekcjach, ale nigdy z taką mocą.

Rozsadzały mu głowę, po raz pierwszy brzmiały tak głośno i przeraźliwie.

Powoli przywykał do swojego dziwnego uszczerbku na zdrowiu, bo tak o nim myślał, mniej więcej wiedział, jak sobie z tym radzić – przeczekać, nie popadać w panikę, nie bać się. Do tej pory. Teraz to było co innego, nigdy wcześniej nie słyszał niczego tak bardzo głośnego, nie tylko głosów, w ogóle niczego.

Płacz kobiet, ich krzyki, błagania o litość, wszystko to przemieszane ze śmiechem i rozkazami po rosyjsku.

Obrazy podsuwały resztę – lufy karabinów przy głowach rannych, strzały, które uciszały wszystko.

Niemiecki przeplatał się z rosyjskim.

(błagam błagam nie zabijaj nie)

Przygryzł wargę do krwi i poczuł metaliczny smak. Wieczorem, gdy będzie leżał w szpitalnym łóżku, warga napuchnie i zacznie boleć.

– Nie – szepnął przez zaciśnięte zęby, ale głosy nie ucichły.

Płacz, jęk, strach i pijackie śmiechy.

Siedząca przed nim dziewczyna usłyszała szept. Zdążyła się odwrócić, by sprawdzić, co ten dziwak robi, dzięki temu jako jedyna w szkole była świadkiem wydarzenia, o którym potem mówiła cała szkoła.

Szybkim, zdecydowanym ruchem wbił sobie cyrkiel w ucho. Ostrze przebiło błonę i jamę bębenkową – usłyszał przy tym coś jakby głośne, mokre cmoknięcie – a następnie zatopiło się w ślimaku. Nie uszkodził nerwu, ale od tamtej pory nie usłyszał tym uchem niczego i nikogo.

Poza zmarłymi.

Dziewczynka krzyknęła, Emil wrzasnął sekundę później, wrywając cyrkiel. Krew lała się strumieniem po szyi, kapiąc na podłogę. Była gorąca i ciemna.

Po chwili dołączyły krzyki innych dziewczyn.

Karetka przyjechała po kwadransie.

*

– Tutaj w szkole? – spytała Ruda. Nadal siedzieli na korytarzu. – To się stało w szkole?

Przytaknął, nie podnosząc głowy.

– Dlaczego nie mówią o tym na historii?

– Nie wiem.

– I ty to słyszysz?

– No.

Powoli, ostrożnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nic nie słyszę, Emil. W ratuszu słyszałam tych ludzi, ojca i matkę. Matkę zwłaszcza. Teraz nic.

– Nie wiem, jak to działa – powiedział cicho. – Jak jestem długo w jakimś miejscu, gdzie... no wiesz, ktoś nie żyje, czasami udaje mi się to kontrolować, wyłączyć. Czasami nie. Nagle zaczynam ich słyszeć.

Ruda zastanawiała się, co powiedzieć, jak sformułować następne pytanie. Bo miała ich mnóstwo, setki, trudno było wybrać jedno.

– I naprawdę zabili je wszystkie?

– Tak.

– A najpierw zgwałcili? Te kobiety, co pomagały rannym?

Przytaknął.

– To znaczy, że one gdzieś tutaj... w tej szkole...

– Za szkołą, na dziedzińcu. Tam, gdzie gramy w piłkę na wuefie. Wszystkie. I tych rannych Niemców też. Tam ich zakopali.

Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz. Myśl o tym, że od lat, a nawet dekad, nieświadome niczego dzieciaki biegają po dziedzińcu szkoły, bawią się i krzyczą, nie wiedząc o tym, że kilka metrów pod nimi leżą pogrzebane ciała, napełniła ją grozą.

Przypomniała sobie chwile, kiedy, przebywając w tym budynku, odczuwała dziwny niepokój. Przychodził znikąd, siedział w jej głowie kilka minut, a potem, wraz z dzwonkiem na przerwę, pryskał.

„Ciekawe, czy tylko ja to czułam?”

– Masz czasami takie uczucie, co nie? – Chłopak patrzył jej w oczy. – Bardzo gorące uszy, bez powodu, całe czerwone, a wszyscy mówią, że ktoś cię obgaduje.

– Tak.

– To oni. Mówią. Krzyczą. Wołają. Chcą być wysłuchani.

Ile razy w życiu zdarzało jej się mieć gorące uszy? Ile razy przykładła sobie zimną łyżkę czy puszkę coli, bo uszy paliły ją nieznośnie? Ile razy słyszała od babci, że „o widzisz, skarbie, ktoś cię obgaduje”.

Więcej niż dużo. Czy za każdym razem to byli oni?

– Gdzie jest ich najwięcej?

Raz jeszcze spojrzał uważnie w jej oczy. Chwilę trwało, zanim zdołał wyrzucić to z siebie.

– Są wszędzie.

*

Próbował z nimi rozmawiać.

Nawiązanie kontaktu ze zmarłymi stało się pewnego rodzaju upiorną rozrywką. Przypuszczał, że poza ciekawością kierowało nim to dziwne coś, co każe ludziom oglądać w Internecie filmy z egzekucji, ścinania głów i śmiertelnych wypadków.

Nie chciał ich słyszeć, gdyby mógł, wyłączyłby je w każdej chwili, ale póki nic nie mógł na to poradzić, spróbował interakcji.

Nie podziślało.

Kilka razy poszedł na cmentarz. Dla większości ludzi miejsce zadumy, nostalgii, ciszy. On, przekraczając próg bramy, na której kiedyś widział grupkę dzieciaków, czuł się jak na stadionie tuż przed pierwszym gwizdkiem.

Głosów były setki, może tysiące, nachodziły na siebie, jeden głośniejszy od drugiego, tak pomieszane, że niemożliwe do zrozumienia.

*

Nie przeszedł nad tym do porządku w ciągu jednego dnia. To był długotrwały proces. Doszedł do wniosku, że to się nigdy nie skończy, a może i pogorszy, więc zaczął się z tym godzić.

Z pewnością pomógł mu w tym fakt, że w pewnym momencie głosy zaczęły również odpowiadać.

*

Powoli, słowo po słowie, obraz po obrazie, rysował wspomnienia zmarłych w swojej głowie. Ich myśli latały chaotycznie nad pochowanymi ciałami jak motyle – niby delikatne i powolne, ale niebywale trudne do schwywania.

Każdy obraz widział jak przez filtr o pięknej barwie indygo.

*

Pierwsza odpowiedź przyszła od zmarłego w latach dziewięćdziesiątych niejakiego Łukasza Malinowskiego. Jego grób był zaniedbany, obrośnięty mchem. Na pytanie, za czym tęskni, zmarły

(chcę do mamy)

odpowiedział prosto.

Śp. Malinowski w dniu śmierci myślał o swoich kolegach z podwórka. Mieszkał na osiedlu domków jednorodzinnych, tym samym, na którym mieszkała Ruda.

Na pytanie, jak zmarł

(nie widziałem samochodu)

otrzymał odpowiedź w postaci obrazu – wielki TIR uderza w chłopca na rowerze.

(nic nie czułem)

„A teraz?” – pytał Emil w myślach. – „Co czujesz teraz?”

Na to pytanie nie otrzymał już odpowiedzi.

*

Chciała odprowadzić go do domu – dzisiaj była jej kolej – ale musiała zostać po lekcjach. Uczęszczanie na dodatkowe zajęcia z chemii zwiększało jej szansę na dobrą ocenę na koniec roku, a ona korzystała z każdej szansy.

Siedziała w ławce, próbując uspokoić myśli.

„Emil słyszy zmarłych.”

Obracała tę myśl jak kostkę Rubika, bawiła się nią. „Emil słyszy zmarłych.” Myślała o tym intensywnie, szczegółowo. Bała się połączyć tę myśl ze wspomnieniem rodziców.

„Słyszy zmarłych.”

Wraz z nią w sali siedziała piątka uczniów, których pochłaniała wojna na papierowe kulki. Na próbę wciągnięcia ją do gry odpowiedziała krótkim odburknięciem.

Myślała o tym, co wydarzyło się w sali chemicznej, dokładnie tej, w której teraz siedziała. Po powrocie do domu zamierzała posiedzieć trochę w sieci, poczytać, dowiedzieć się więcej o tym, co tu zaszło – chociaż Emil znał wystarczająco wiele szczegółów.

Zbiorowy gwałt.

Morderstwo.

Strzały w głowę.

I pijackie śmiechy w tle.

Dotknęła uszu. Nie były rozgrzane, ale mogła przysiąc, że w tym miejscu zdarzało się jej to często.

-To oni – powiedział Emil.

- Są wszędzie.

Po jej plecach przebiegł dreszcz.

Koniec roku szkolnego był bliski.

Pod koniec lekcji chemii Adrianna Majewska usłyszała wyrok, jeśli chciała mieć jakąkolwiek szansę na przejście do następnej klasy, musiała brać udział w dodatkowych zajęciach do końca roku.

No to brała.

Zawiadomienie informujące opiekunów o groźbie kiblowania w tej samej klasie wylądowało w koszu na śmieci przed szkołą.

To, co działo się za oknem, nie ułatwiało sprawy. Drzewa wybuchały zielenią, w wilgotne, słoneczne poranki ptaki nadawały jak oszalałe ze szczęścia. Robiło się cieplej i cieplej, aż w końcu padło:

– Rety, ale dziś gorąco.

Któregoś wieczoru, gdy szykowała się do kąpieli, zauważyła wyraźny podpis lata na swoim ciele – mocną opaleniznę, która kończyła się na szyi. Reszta ciała była bladziutka.

Lato zdecydowanie nie było dobrą porą na nadrabianie zaległości w szkole. Zastranych, gównianych zaległości w lekcjach, których i tak się nie rozumie i które przeszkadzają w prawdziwym, cudownym życiu.

– Jakbyś nie zdała kilka razy pod rząd, chodzilibyśmy do tej samej klasy – powiedział Emil, za co zaraz dostał w łeb.

Podsunęła mu pod nos zeszyt.

– Masz, czytaj! Lubisz matematykę i chemię, może coś z tego zrozumiesz.

W parku, gdzie siedzieli, było ciepło, lekki wiatr smagał ich opalone twarze. Jedynym, co Emil rozumiał, był fakt, że nic z tego nie rozumie.

Pokręcił głową. „Nie wiem.”

– To siedź cicho! – Oparła się o drzewo i zatopiła nos w zeszytzie pełnym niezrozumiałych, głupich notatek. – Jutro mam sprawdzian, muszę to wszystko ogarnąć.

Jeszcze tego samego wieczoru spędził kilka godzin przed komputerem, czytając o chemii na poziomie starszych klas. Zrozumienie tego, co czytał, wydawało mu się beznadziejnie ciężkim zadaniem.

Codziennie w drodze ze szkoły kupowali dwie fanty.

Kosz, do którego wyrzucali puste puszkę, napełniał się z dnia na dzień.
Sześć puszek. Dwanaście. Dwadzieścia.
Dni mijały, coraz dłuższe i cieplejsze. Jeszcze nie na tyle, by wyskoczyć nad rzekę za Baskin, niedaleko dawnej fabryki zapalek, ale już niedługo, już wkrótce.

*

Przez cały ten czas nie było dnia, żeby nie zakotwiczyła swoich myśli na rodzicach w kontekście tego, co powiedział jej Emil.

Słyszy zmarłych. Przynajmniej tak twierdził i choć bardzo go lubiła, jakoś nie do końca dawała w to wiarę.

Któregoś razu poszła na cmentarz. Odnalazła groby i okazało się, że ona też to potrafi. Słyszy.

(nie martw się kochanie)

(kiedyś się zobaczymy)

Kiedy?

(wkrótce)

(będziemy czekać)

Po przebudzeniu potrzebowała chwili, by sobie uświadomić, że właśnie skończyła śnić.

*

Wieczorem usiadła na tyłach domu, przyglądając się gwiazdom.

Wspominała.

Ten dom jej tata wybudował własnoręcznie, z pomocą dwóch wiecznie podpitych wujków.

Dobrze pamiętała dzień, kiedy sprzątała w jeszcze nieumeblowanej kuchni. Pomagała wtedy mamie, która tłumaczyła jej dokładnie, co i jak. To było dobre wspomnienie.

Miała inne, jeszcze wiele innych, wszystkie tak samo blaknące i coraz bardziej płaskie. Z każdym mijającym rokiem ubywało im detali.

Wyciągnęła krótkofalówkę z plecaka.

Jak bardzo głupie i beznadziejne było to, co robiła. Kusiło, by teraz wyrzucić to ustrojstwo, roztrzaskać o ścianę.

„Poprosić Emila.”

„Nie prosić Emila.”

Te dwie myśli biły się ze sobą, z każdym dniem nie dawały jej spokoju.

I czy to w ogóle coś by dało?

Jeżeli tak, to nie mogła po prostu go spytać. Prośba o zrobienie czegoś, co sprawiało mu cierpienie, raczej nie byłaby w porządku. Wiedziała, że bał się tego, ale myśl o rozmowie z rodzicami, czy choćby ich usłyszeniu, była zbyt cudowna.

Po raz ostatni w życiu przyłożyła krótkofalówkę do ust i nacisnęła przycisk.

– Mamo, tato, jesteście...

– Co ty robisz?

Bartosz Majewski, jej dziadek, stał nad nią. Jego wzrok mówił wszystko. Była w tarapatkach.

– Do domu! – rzucił rozkazującym tonem. Był wściekły, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Nie dyskutując, jak to miewała w zwyczaju, wstała, schowała krótkofalówkę i grzecznie poszła do domu.

– Do kuchni! – sprecyzował Bartosz.

Grażyna siedziała przy stole, patrząc na wnuczkę z mieszaniną złości i żalu.

– Usiądź, Ada – powiedziała.

Dziewczyna stanęła jak najdalej od niej, kątem oka dostrzegając gazetę na blacie. Tytuł przyciągnął jej uwagę, a z każdą przeczytaną linijką nie dowierzała jeszcze bardziej.

MARTWY BEZDOMNY NA DZIAŁKACH

Zwłoki mężczyzny zostały znalezione w altance w ogrodach działkowych przy osiedlu Karnieszewickim w Baskin Zachodnim.

Policja i prokurator wstępnie wykluczyli udział osób trzecich. Prawdopodobnie jego ciało przeleżało w tym miejscu kilka miesięcy, być może od ubiegłej zimy. Jedną z hipotez była śmierć z powodu wychłodzenia organizmu. Denat prawdopodobnie zamieszkiwał w altanie...

– Siadaj, Adrianno. – Głos dziadka wyrwał ją z zamyślenia.

Bezdomny na działkach.

Zima, wyprawa na groby.

Emil wtedy miał ten swój napad. Bał się.

– Powiedziałem, siadaj!

– Postoję – odpowiedziała.

Wściekłe spojrzenie i zaciśnięte dłonie starszego człowieka zapowiadały ciężki wieczór. Nie miała teraz do tego głowy. Ważny wydawał się jej jedynie SMS do Emila. Musiała do niego napisać, porozmawiać z nim.

– Jak było w szkole? – spytał dziadek.

Wzruszyła ramionami.

– Normalnie.

– Co normalnie?

– Normalnie było w szkole.

– Jak ci idzie z chemii?

– Normalnie – odpowiedź zaakcentowała olewającym wzruszeniem ramion. – Mówię, że normalnie.

– Adrianno. – Stary Majewski podniósł głos. – Jeżeli raz jeszcze ruszysz ramionami w ten lekceważący sposób, przyrzekam, że nie ręczę za siebie.

Minęła chwila ciszy. Pełna napięcia, bardzo długa chwila ciszy, którą przerwała pytaniem:

– A kręcić głową mogę?

Dziadek od razu wyczuł sarkazm. Podszedł do niej szybkim krokiem, z wprawą magika ściągając pasek ze spodni.

Zanim zdążyła odłożyć plecak z krótkofalówką najdelikatniej, jak się da, dostała w biodro, potem w ramiona i nerki. Majewski bił na oślep.

– Przestań! – krzyczała Grażyna, odciągając go. – Przestań mówię, mieliśmy z nią porozmawiać!

– Byłem dzisiaj w szkole – wrzasnął Majewski prosto w twarz skulonej dziewczynki.

– Byłem w szkole i dowiedziałem się, że od miesiąca nie ma cię na połowie lekcji! Połowie! Myślisz, że jesteśmy starzy i głupi i że możesz nas tak traktować?

– Nie bij mnie, kurwa! – odwrzasnęła całą siłą płuc, aż poczuła ból w gardle.

To wybiło ich z rytmu. Bartosz stanął jak posąg, a Grażyna próbowała coś powiedzieć.

– Ada, boże, skarbie, Ada, nie możesz tak...

– Czego wy ode mnie chcecie, co?!

– Czego od ciebie chcemy? – Majewski spojrzał na żonę, potem z powrotem na wnuczkę. Uspokoił się trochę. – Chcemy, żebyś wyszła na ludzi! – powiedział. – Żebyś za dziesięć lat nie musiała brać zasiłków. Tego chcieli twoi rodzice i tak będzie!

Cios poniżej pasa. Wspomnienie rodziców to było zbyt wiele. To nie fair. Nie powinien wspominać mamy i taty. Momentalnie zachciało jej się płakać.

– Ada – wtrąciła delikatnie babcia. – Dlaczego nie chodzisz na zajęcia? Opuszczasz lekcje, z którymi masz problemy. Co się dzieje, powiedz nam, proszę.

Moi rodzice nie żyją. To się, kurwa, dzieje.

– Każdy ucieka – powiedziała przez ściśnięte gardło.

Majewski prychnął.

– I jak każdy wyrośnie na nieudacznika, wtedy też wszystko będzie w porządku?

Odruchowo wzruszyła ramionami.

– Dlaczego palisz?

– Nie palę. Podbierałam tylko fajki dla znajomych.

– I mówisz to tak spokojnie.

Wcale nie była spokojna. Wszystkie bóle i smutki buzowały w niej jak lawa pod wulkanem.

Grażyna kręciła głową. Jej twarz wykrzywił grymas rozczarowania.

– Nie rozumiem. Naprawdę nie rozumiem, jak możesz mówić to tak spokojnie.

Znowu wzruszenie. Widziała, jak dziadek zaciska pięść. Ręka musiała go świerzbic jak jasna cholera.

– Wiemy, Adrianno, że wołałabyś nie mieszkać z nami. – Usiadł powoli na krześle. Dyszał. – Wołałabyś, by było jak przedtem. Doskonale o tym wiemy.

Milczała, zaciskając pięści. Wewnątrz dłoni pojawiały się odcisnięte ślady paznokci.

To nie fair, że mówią o rodzicach. To nie fair.

– My wiemy, kochanie. – Grażyna podeszła do niej i spojrzała jej w oczy. – Wiemy, że nie jest ci lekko. My naprawdę to wiemy.

Zapadła cisza. Przez chwilę nikt się nie odezwał. Burza minęła.

Te słowa – nie jest ci lekko – dopiero wypowiedziane na głos, uświadomiły jej, jak bardzo daleko była od „lekko”. Całe lata świetlne.

Miała nadzieję, że nie widać łez, które zbierały się w oczach. Czekwała na ciąg dalszy, nie wiedząc, co powiedzieć. Pragnęła jedynie znaleźć się w swoim pokoju, zabić drzwi dechami i nigdy stamtąd nie wyjść.

– Życie, Adrianno – ciągnął Bartosz – masz tylko jedno, rozumiesz? Musisz o tym pamiętać. Nie możesz zmarnować szansy, jaką dał ci Bóg. Mogło cię tu nie być. Wszystko, co teraz robisz, kiedyś będzie miało skutek. Nie za pięć lat, to za dziesięć.

Grażyna potakiwała przed jej oczami.

– Nie możesz żyć tym, co było. – Mówiąc to, wskazała palcem plecak.

Plecak, w którym leżała krótkofalówka.

Bartosz, jakby tego nie słysząc, ciągnął:

– To, co teraz robisz, do czegoś cię doprowadzi. Nic się nie dzieje bez przyczyny. Nadal jesteś tu z nami, i to nie jest przypadek. – Przerwał na chwilę, zbierając myśli. – Wszystko ma swój sens.

Napływająca fala łez powoli przelewała się przez oczy. Mimo wszelkich prób utrzymania emocji na wodzy, przegrała. Płakała i nic nie mogła na to poradzić.

Przyszło jej na myśl, że oni przecież też mogli tęsknić. To przygnębiło ją jeszcze bardziej, bo wydawali się tacy spokojni, normalni. Pogodzeni z tym, co się stało. Byli tam, gdzie ona pragnęła być i jednocześnie zapierała się rękoma i nogami, żeby tam nie trafić.

– Wszystko ma swój sens – powtórzył Bartosz. – Pamiętaj o tym.

Sens. Sens!

Przez chwilę gromadziła siły, by odpowiedzieć twardym, zdecydowanym tonem. Przetykała ślinę, ignorując cieknące łzy, i w końcu otworzyła usta, ale zamiast pewnego siebie głosu z gardła wyleciało piskliwe pytanie:

– To jaki sens miała ich śmierć, co?

Teraz Grażyna zaczęła płakać.

– Jaki sens miała śmierć mojej mamy i taty, co?

Majewski, który najlepiej radził sobie z duszeniem płaczu wewnątrz siebie, patrzył bez słowa.

Nie musiał mówić nic więcej. Słowa nie pomagają w zmartwychwstaniu, a tylko to mogłoby pomóc tej biednej, zapłakanej dziewczynie. Tej piegowatej, rudej dziewczynie, którą kochał całym sercem, choć nigdy jej tego nie powiedział.

Dziewczynka padła na kolana, łkając.

– Kochanie – powiedziała Grażyna, przytulając wnuczkę, ale ta nie dała się dotknąć. Wyrwała się, zabrała plecak i podbiegła na górę do swojego pokoju.

*

Kwadrans po burzy stary Majewski palił papierosa.

– Powiesz coś? – spytała Grażyna.

„Chyba posunęliśmy się za daleko” – myślał. Od śmierci syna i synowej minęło sporo czasu, ale on sam też nadal nie potrafił się z tym pogodzić. Codziennie patrzył na fotografię, wspominał ich.

Nie mógł oczekiwać od dziecka poradzenia sobie z czymś, czemu sam nie mógł sprostać.

Był zbyt surowy dla Adrianny, wiedział o tym, ale sądził, że tak właśnie trzeba. Stara szkoła, tylko ona wydobydzie z człowieka wszystko, co najlepsze. Tak został wychowany, tak wychowywał świętej pamięci syna. Tak zwane bezstresowe wychowanie to kolejny wymysł ludzi, którzy nie mają o tym zielonego pojęcia. Właśnie to robi więcej szkód w głowie dziecka niż porządny, mocny pas.

– Bartosz, powiedz coś.

Odpowiedział tym samym, za co karcił wnuczkę. Wzruszył ramionami. Zorientowawszy się, co zrobił, poczuł zawstydzenie.

– Co tu mówić?

– Posunęliśmy się za daleko, prawda?

– Ja nie wiem, jak z nią rozmawiać, rozumiesz? Wiesz, jaka ona jest. Jaka się stała. Zamknięta, nie dopuszcza nikogo do siebie.

– Ale przecież nie możemy tego tak zostawić, prawda?

„Tak, tak, do cholery, tak! Przecież wiedział o tym.”

Po wypadku przez jakiś czas przychodziła córka jego znajomego spoza miasta. Miała dwadzieścia parę lat, była świeżo po psychologii dziecięcej. Zgodziła się wtedy bezpłatnie spotykać z Adrianną.

– Chcesz, żebym zadzwonił do tamtej terapeutki? – spytał.

Grażyna milczała, bijąc się z myślami. Od jakiegoś czasu brała to pod uwagę.

Dziewczyna była miła, sympatyczna. Mimo młodego wieku sprawiała wrażenie, że wie, co robi. Ale Ada nie była wizytami psycholożki zachwycona, choć nigdy nie powiedziała tego na głos. Pewne rzeczy rozumie się bez słów.

Terapeutka mówiła, że zachowanie Ady to skutek szoku, instynktownego zaprzeczenia.

Jeszcze pół godziny temu Grażyna była wściekła na wnuczkę. Nieobecności w szkole, późne powroty do domu, papierosy. Gdy zobaczyła jej łzy i usłyszała, co usłyszała – „jaki sens miała ich śmierć, co?” – wszystko się zmieniło. Ochota na ruganie przeszła, ot tak.

Całą sobą czuła ciężar losu, jaki spotkał ich rodzinę. Wypadek, identyfikacja ciał – nawiasem mówiąc, śniła jej się do tej pory, te przerażające pół godziny, kiedy jechali do kostnicy, cały ten dzień – potem pogrzeb, Adrianna, jej kochana wnuczka, oczko w głowie, zagubiony piegusek, który potrzebował pomocy, tylko nie potrafił powiedzieć tego głośno.

Już dawno powinni coś z tym zrobić.

– Idę z nią porozmawiać – oznajmiła.

Weszła po schodach, stanęła przed jej drzwiami i delikatnie zapukała.

– Ada, skarbie, mogę wejść? – Nie usłyszawszy odpowiedzi, zapukała raz jeszcze. – Kochanie, wchodzę, chcę porozmawiać.

Zastała tylko otwarte okno.

Rudej nie było.

Wypadek na wylotówce z Baskin na długo zachował się w pamięci mieszkańców miasta.

Śmierć młodego małżeństwa i ocalona cudem – lub też, jak inni mówili, przez przypadek – dziewczynka. Wypadek przyćmił wiele innych wydarzeń na dość długi czas, przebiła go dopiero masakra, do której doszło w pewnym domu na wzgórzu.

Młoda, szczęśliwa rodzina jechała samochodem spokojną, prawie nieuczęszczaną drogą. Dziewczynka siedziała na tylnym siedzeniu. Klamra od pasa bezpieczeństwa dyndała obok jej głowy.

Niewiele zapamiętała z tego wszystkiego.

Samochód dojeżdżał do miasta, kiedy zza drzewa wyskoczył lis, pies, kot, jakieś zwierzę, nieważne zresztą jakie. Zwierzę, podobnie jak dziewczynka, uszło z życiem.

Kierowca skręcił w prawo zbyt gwałtownie, potem w lewo jeszcze gwałtowniej. Rozpaczliwa próba utrzymania kontroli nad pojazdem zakończyła się zahaczeniem o drzewo i potrójnym dachowaniem, podczas którego dziewczynka wypadła przez okno. Samochód zatrzymał się kilka metrów dalej, w rowie melioracyjnym, podwoziem do góry.

Rozbity nos i zwichnięty nadgarstek były jedynymi obrażeniami, jakie odniosła dziewczynka. Leżała ogłuszona, nie pojmując, co się dzieje ani gdzie jest.

Zemdlała.

Jakiś czas później pojawił się pierwszy świadek. Wkrótce potem pogotowie.

Dziewczynka, jak wiadomo, przeżyła. Jeśli chodzi o rodziców, na wszystko było już za późno.

*

Siedziała teraz przy rodzicach.

Od godziny próbowała się wsłuchać w szum wiatru, uchwycić coś, jakiś głos. Tak jak się spodziewała, nie wynikło z tego absolutnie nic. Byli tu, sześć stóp pod ziemią, spali snem wiecznym.

„Mamo, tato, odezwijcie się, proszę.”

Powtarzana w myślach prośba w dalszym ciągu pozostawała bez odpowiedzi. Był późny wieczór, na grobach paliły się pojedyncze znicze, zdecydowanie za mało, by rozrzedzić złowieszczą ciemność. Ale jej było wszystko jedno.

Czekała.

Telefon wibrował bez przerwy. Grażyna nie dawała za wygraną.

Wyłączyłaby go najchętniej, ale chwilę wcześniej napisała SMS-a i czekała na odpowiedź. Gdy nadeszła – *zaraz bede* – usiadła spokojniej, wspominając ostatni dzień.

Tamten dzień.

Jechali po coś za miasto. Było bezchmurnie, gorąco. Nagły skręt samochodu, szarpnięcie, wszystko pamiętała jak przez mgłę.

Potem był już tylko długi sen.

*

Najpierw dostrzegła pomiędzy nagrobkami ruchomy kształt. Potem dopiero zarysowały się kontury postaci idącej w jej stronę.

Wstała, czekając.

Emil stanął tuż przed nią, zastanawiając się gorączkowo, czy powinien coś powiedzieć. Nie napisała tego, ale wiedział, dlaczego poprosiła, żeby przyszedł. Bał się, ale przyszedł, a to znaczyło jedno.

Że się zgodził.

Przygryzał paznokcie, patrząc to na nią, to na nagrobek. Widział jej rodziców na zdjęciach. Próbował wyobrazić sobie, jak mogłyby brzmieć ich głosy.

Na cmentarz przychodził „ćwiczyć”. To było idealne i jednocześnie niebezpieczne dla jego głowy miejsce, w którym mógł uczyć się panowania nad tym, czym został obdarzony.

Otworzył się na głosy.

Usłyszał je natychmiast. Docierały jak przez poduszkę, ciche, rozciągające się w echo. Dużo tego, kilkanaście, potem kilkadziesiąt. Z tej kakofonii próbował wyłowić te konkretne, te, po które tu przyszedł.

„Dalej, no dalej.”

(*uwważaj*)

„Powiedźcie coś, czekam. Powiedźcie coś

(*chce wrócić*)

(*maamoo!*)

do swojej córki. Jest tu ze mną, czeka na was, tęskni, chce was usłyszeć.”

(uwważaj!)

Coś wyraźniejszego, wyróżniającego się z tłumu, coś niepasującego

(idzie po was)

do całości.

Nie minęło pięć minut, a zmęczenie wzięło górę. Głosy zmarłych mąciły mu w głowie, popychały w niebezpiecznym kierunku, w stronę szaleństwa.

Od razu poczuł, że traci kontrolę. Krzyki wlewały się do jego głowy za szybko, zbyt gwałtownie.

„Cyrkiel.”

„Pamiętaj o tym, co zrobiłeś z cyrklem. Bądź ostrożny.”

(idzie)

(tam jest!)

Pomiędzy tymi słowami mieszały się inne głosy, już nie setki a tysiące, wrzask umierającego dziecka, płacz i przedśmiertne rżenie, upiorny chór, krzyki i zawodzenie.

„I usłyszał.”

Jedno jedyne słowo, krótkie, zaledwie dwie sylaby, ale nie miał wątpliwości. To ona. Matka. Barbara Majewska, lat trzydzieści dwa w chwili śmierci, martwa, szepnęła jedno słowo.

Jedno jedyne słowo.

Nie zdążył zastanowić się nad jego sensem. Zaczął się trząść, w jednej chwili kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

Dziewczyna chwyciła go w ostatnim momencie.

Gdy odpływał, czuł jej delikatne dłonie na twarzy.

Zdążyła usłyszeć wrzaski zmarłych,

(idzie tam!)

(jest)

(zbliża się!)

(zabierze i nie odda!)

zanim zamilkły kompletnie.

*

Coś tam usłyszała, chyba, tak przynajmniej myślała, jakieś krzyki, szepty. Coś słyszała, ale na pewno nie rodziców.

Wiele szczegółów zanikało w jej pamięci, ale głosy matki i ojca pamiętała bardzo dobrze. To było dobre, ciepłe wspomnienie, pełne nostalgii i miłości.

To, co usłyszała, było straszne. Brzmiało jak ostrzeżenie.
„Gdybym słyszała to codziennie” – pomyślała – „oszalałabym.”
Zerknęła na Emila, który leżał na jej kolanach i trząsł się jak porażony prądem.
Głaskała go po głowie, szepcząc uspokajająco.
– Dziękuję, Emil. Dziękuję. Spokojnie, już spokojnie.

*

Nie słyszał jej głosu.
Słyszał za to wszystko inne, czego nie słyszał nikt poza nim. Umarli płakali i wrzeszczeli. Czekali długo, całą wieczność, aż ktoś ich wysłucha.

(powiedz mamie że)

(tęsknię!)

(tęsknię powiedz jej że)

(nie chciałam nie chciałam)

(nie chcę umierać nie chcę)

(śmierć przyszła)

(umierać!)

Głowę wypełniał hałas jak na dworcu centralnym w godzinach szczytu pomnożony przez dziesięć. Słyszać o wiele za dużo, a jednocześnie nic konkretnego.

Bolało strasznie, psychicznie i fizycznie. Zrobiłby wszystko, żeby to był koniec.

I wtedy raz jeszcze doleciało to jedno słowo, tym razem bardzo wyraźnie.

*

Dziewczyna trzymała go w ramionach, tuląc jego głowę do piersi.
„Moje serce, Emil, słuchaj. Wczuj się w jego rytm.”

*

Trwali w tym uścisku kilka długich minut, zanim się uspokoił i przestał płakać.
– Przepraszam.
To było pierwsze, co powiedział. Tak bardzo chciał przekazać dziewczynie jakąś dobrą wiadomość. Nie miał żadnej.
– Nic się nie stało, Emil. Dziękuję, że się starałeś.
– Nie mogłem – wyjąkał.
– Wiem, wiem. – Pocałowała go delikatnie w policzek. – Dziękuję.
Gdy podnieśli się i otrzepali z ziemi, powiedział, co usłyszał.

*

Ruda uparła się, że go odprowadzi.

– Nic mi nie jest, naprawdę, w porządku.

– Napisz mi, jak dojdiesz – rzuciła na pożegnanie.

*

Nadal siedzieli w kuchni.

Spodziewała się okropnego wrzasku – gdzie byłaś, dlaczego tak późno – oraz bicia, jak zwykle, ale Grażyna zapytała tylko, czy jest głodna.

W swoim pokoju wsunęła się pod kołdrę, rozmyślając o tym, co się stało.

„Usłyszał.”

„Usłyszał głos mamy.”

Zerknęła na plecak. Po chwilowym namyśle wstała i wyciągnęła krótkofalówkę.

To było trudne jak każda poważna lekcja życia. Lekcja godzenia się, temat pierwszy – zapominanie.

Wyciągnęła baterie z walkie-talkie i włożyła do szuflady.

To nie pomogło jej usnąć. Ciągle myślała o tym, co Emil usłyszał od mamy. Leżała w łóżku, kręcąc się do późnej nocy.

Zapaliła lampkę, ściągnęła z szafki zeszyt i długopis. Na ostatniej stronie napisała drukowanymi literami:

KUSAK

Nie podobało jej się to słowo. Brzmiało jak złe zaklęcie.

Wkrótce usnęła płytkim, niespokojnym snem.

Kusak nie popełniał błędów.

Dzięki temu nadal chodził po ulicach, prowadził normalne życie, witając się z sąsiadami o poranku.

Co jakiś czas mijał rodziców swoich ofiar. Lubił to, co widział na ich twarzach, zmęczenie w oczach i resztki emocji, jakie im zostały po rozpaczliwych próbach odnalezienia swoich pociech. Byli półżywymi zgliszczami.

Rzadko oddawał się fantazjom, ale miał jedną ulubioną. Zdarzało mu się udzielać wywiadu samemu sobie, opowiadać o swoim życiu i o tym, w czym był najlepszy.

– Może powiedz nam coś o sobie?

– Jestem Kusak.

– Skąd to imię, Kusak?

– To pytanie zadaje mi bardzo wiele osób, ale nie mogę odpowiedzieć. Wolę po prostu, by zostało przypisane tylko i wyłącznie mnie. Jestem Kusak.

– To może opowiesz nam trochę o tym, co robisz?

– Jestem mordercą dzieci.

– Rozumiem. A dlaczego akurat dzieci?

– Dzieci są słabe, bezbronne, ale dużo w nich życia. O wiele więcej niż w dorosłych. Wystarczy spojrzeć w ich roziskrzane oczy. Życie w nich rośnie, buzuje, jeszcze nie wiedzą, że cała ta zabawa dopiero się zaczyna i wcale nie jest tak cukierkowa, jak ją widzą.

– Dlaczego zatem to robisz? Chcesz im ulżyć?

– Niezupełnie. Robię to dla siebie.

Otóż to.

Robił to, ponieważ mógł. Dla niego to było życie.

Myślał o sobie w różnych kategoriach i żadna z nich nawet nie zahaczała o szaleństwo. Nie nakazywano mu krzywdzić, nie słyszał głosów, nie czuł się jak uciekinier z domu bez klamek.

– Co uważasz za swoją największą zaletę?

– Cierpliwość. Zdecydowanie cierpliwość.

Wiedział, o czym mówi. To właśnie dzięki cierpliwości nadal robił swoje, nie wiedząc nawet, jak wygląda więzienna cela. Cierpliwość pozwalała mu na polowanie w

sposób bezbłędny, pozbawiony wszelkiego ryzyka.

– Tak, tak, wiem, nie ma morderstwa doskonałego. Kiedyś być może prawda wyjdzie na jaw, ludzie dowiedzą się, kim byłem. Ale teraz, jak sam widzisz, nikt mnie nawet nie podejrzewa.

Tej nocy, kiedy pewna dziewczyna i chłopak tulili się na cmentarzu, Kusak przeglądał portale społecznościowe w poszukiwaniu informacji o kolejnej ofierze.

Niewiele tego. Miała założonych kilka kont, ale zupełnie bezużytecznych. Na stronie internetowej szkoły było o niej kilka wzmianek – drugie miejsce w konkursie plastycznym, uczestnictwo w biegach przełajowych i tego typu informacje.

Nic nie szkodzi. Kusak lubił wyzwania.

– Czyli możesz powiedzieć szczerze, że nigdy nie popełniłeś żadnego błędu?

– Tak jest. Nigdy. Dlatego rozmawiasz ze mną tutaj, w moim domu, a nie w więzieniu.

Uważał się za człowieka i obiektywnie nim był. A człowiek ma pewną szczególną cechę niezależnie od rasy, koloru skóry, wyznania i wszystkiego innego.

Człowiek jest omylny.

Wpatrywał się teraz w powiększone zdjęcie ofiary na monitorze. Pikselizacja zamazywała detale.

Powiększył jeszcze trochę oczy i wpatrywał się w nie dobre kilka minut. Bez problemu potrafił sobie wyobrazić ich wyraz na chwilę przed śmiercią.

– A teraz, Kusak, pytanie za tysiąc punktów.

– Dawaj.

– Gdzie są wszystkie ofiary? Dlaczego nikt nigdy nie znalazł ani jednej?

Wpatrywał się w oczy, powiększył je jeszcze trochę, ale pikselizacja wszystko psuła. Zmniejszył obraz do optymalnego rozmiaru, nadal patrząc.

Te oczy hipnotyzowały. Mógłby spędzić całą noc, nie spuszczać z nich wzroku.

Zwierciadła dusz. Lubił patrzeć w ich głębię. Ludzie już dawno zapomnieli, jak to jest tak naprawdę z sercem i oddaniem patrzeć komuś w oczy. Z większą czułością gapią się w smartfony.

Nie Kusak.

Kusak doceniał ich piękno. Zwłaszcza minutę przed śmiercią.

– Gdzie są twoje ofiary, Kusak?

– Tajemnica. Tego nie dowie się nikt.

*

Następnego dnia szedł korytarzem z teczką w jednej ręce i kawą w drugiej. Kroki rozbijały się echem o ściany.

Minął kobietę w średnim wieku, sprzątaczkę, uśmiechnął się i skinął głową na przywitanie.

Za chwilę miał się spotkać z ofiarą.

W tych chwilach delikatne, przyjemne dreszcze spływały mu po plecach.

Stanął przed drzwiami, przygotowując się na spotkanie. Stłumiony hałas za nimi zakłócał spokojną ciszę na korytarzu.

– Kusak, a powiedz, dlaczego wybrałeś tę akurat ofiarę?

– Nie mam żadnego systemu. Codziennie widuję potencjalne cele, patrzę na nie, oceniam, analizuję. Przede wszystkim szukam czegoś w ich oczach.

– Jesteś dziś wyjątkowo niespokojny. O co chodzi?

– O nic.

– To wiąże się z tym, na kogo teraz polujesz, prawda?

Tak. Coś mąciło jego spokój, odkąd tylko ją wytypował. Zły nastrój, nieokreślony niepokój bez powodu, nie wiedział. Teraz, kiedy stał przed drzwiami, przyszło mu do głowy, że może to być coś bardzo ważnego. Coś, czego nie powinno się ignorować.

Przeczucie.

Chwycił klamkę, nasłuchując krzyków zza drzwi. Kilka z nich rozpoznał. Przebijały się przez śmiechy i inne głosy.

– Ostatnie pytanie, Kusak, zanim zaczniesz.

– Szybko.

– Czy zdarzało ci się odpuszczać? Ofiara zwyczajnie była zbyt trudna do schwytania, nie dałeś rady z innych powodów? Czy kiedykolwiek ci się to przytrafiło?

– Oczywiście, kilka razy.

– Czy i tym razem bierzesz pod uwagę taką możliwość?

Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Hałas ucichł. Dzieciaki wracały do swoich ławek, pozornie grzeczne, przestały się wygłupiać.

Podszedł do biurka ustawionego przy tablicy, usiadł, odłożył teczkę, wyciągnął dziennik.

– Dzień dobry – powiedział głośno.

Odpowiedziało mu dwadzieścia pięć osób, chłopcy i dziewczyny w wieku trzynastu lat. Siedzieli w ciszy, czekając na rozpoczęcie lekcji.

Spojrzał na skuloną przy ścianie Adriannę Majewską. Chemia nigdy nie była jej mocną stroną i już raczej nigdy nie będzie. Zostało jej bardzo niewiele życia. W jej

spojrzeniu widział lęk – to było spojrzenie dzieciaka, który nic nie umie na dzisiejszą lekcję i tylko wypowiedzenie jego nazwiska przez nauczyciela dzieli go od katastrofy.

„Już bardzo niedługo zobaczymy, ile strachu tak naprawdę możesz zmieścić w tych swoich pięknych oczach.”

Siedząc na cmentarzu późnym popołudniem, narażał się na zdziwione i czujne spojrzenia starszych osób. Zdążył się do tego przyzwyczaić.

Odkrył, że obok nagrobka rodziców Rudej jest niewidzialny dla ludzi na głównej alejce. Dzięki temu mógł tu siedzieć, ile dusza zapagnie.

Świętej pamięci Łukasz Malinowski, z którym nawiązywał kontakty, musiał na razie poczekać. Nie miał nic przeciwko – przed nim cała wieczność. Natomiast Emil Czaja miał tylko jedno życie, by uszczęśliwić Rudą. Bardzo pragnęła usłyszeć rodziców, być może z nimi porozmawiać, a on był jedynym łącznikiem między nimi.

Słońce świeciło, żar lał się z nieba, rówieśnicy biegali po osiedlu, kopali piłkę, a on siedział.

Powoli, niespiesznie zapadał kojący wieczór, a on wciąż tkwił skupiony, nasłuchiwał, otwierał się na cały cmentarz – jedną wielką kakofonię krzyków:

(powiedz że ją kocham!)

śmiechów, nawoływań

(zostań z nami)

(z nami!)

i straszliwych jęków. Przypuszczał, że jęki należały do tych, którzy

(zżera trzustkę rak rak trzustkę nie dam się)

jeszcze się nie pogodzili. Ci byli najgorsi.

Połączone z głosami obrazy w pięknych, niebieskich odcieniach pojawiały się jak krótkie ujęcia, stop-klatki. Przeważnie widział moment śmierci.

Chłopak skacze z drzewa, sznur łączący jego szyję i gałąź zatrzymuje go dwa metry nad ziemią. Stara kobieta oddycha coraz gwałtowniej, chwyta powietrze jak ryba na powierzchni, mijają minuty, ona walczy o każdy oddech, aż w końcu pomiędzy nimi zapada przerwa na wieczność.

Dziewczynka spada z drzewa, trzask łamanego karku słyszą wszyscy rówieśnicy.

Mężczyzna wypada z okna.

Dziecko wypada z okna.

Czy to wszystko, te obrazy, te chwile, to jedyne, o czym myślą oni, zmarli, tam po drugiej stronie? Przez całą wieczność rozpaczliwie trzymają się ostatnich chwil swojego życia, nawet jeśli dotyczy to utopienia w rzece?

Udawało mu się też wyłowić rzeczy dobre.

Rodzina przy stole.

Osiemnaste urodziny.

Pierwszy samochód.

Dzieciństwo.

Pierwszy pocałunek.

Narodziny dziecka.

(powiedz jej)

Wyprostował się gwałtownie. Głos, który usłyszał, miał kojącą barwę, kobiecą, ciepłą. To mógł być tylko głos matki.

Na plecach poczuł ciarki. Już wcześniej słyszał ten głos, tak, zdecydowanie.

(kusak)

Więcej, słyszał go tysiące razy, codziennie, każdego dnia wsłuchiwał się w niego jak w melodię.

Kochał ten głos. Należał do Rudej, tylko o wiele starszej.

To była jej mama.

„Dalej, dalej, powiedz coś jeszcze.”

Dudniące serce uderzało w jego zębra.

Z pozycji siedzącej przeniósł się na kolana, dotykając nagrobka dłońmi. Nie wiedział, czy to pomoże, ale nie szkodziło spróbować. Chwytał wiatr w żagle i zamierzał utrzymać go jak najdłużej.

(ada skarbie)

„Jestem tu. Jestem tu dla niej.”

(skarbie mój)

(powiedz jej)

(powiedz jej powiedz jej powiedz jej!)

„Co powiedzieć? Co mam powiedzieć?”

– Co mam powiedzieć? – spytał na głos.

Nie usłyszał. Głos zagłuszyły lamety błakających się po cmentarzu. Chciały być wysłuchane, czekały na to.

Usiadł z powrotem na rozgrzanej ziemi, chowając głowę między kolanami. Wrzaski zmarłych zaczęły dominować nad wszystkim, nad jego własnymi myślami, nad każdym bodźcem, który odczuwał.

„Spokojnie, spokojnie” – powtarzał w duchu.

Krzyknął lekko, kilku odwiedzających cmentarz rozejrzało się w poszukiwaniu bachora, który robił sobie z tego miejsca plac zabaw. Krzyk się nie powtórzył, więc

wrócili do swoich spraw.

*

Kwadrans później wyszedł z cmentarza. Drgały mu powieki, głowa miała eksplodować lada chwila, właściwie cud, że jeszcze tego nie zrobiła.

Ulżyło natychmiast, ot tak, gdy tylko postawił nogę na chodniku za bramą.

Usiadł na najbliższej ławce.

„Powiedz jej, powiedz jej.” – Huczało mu w głowie.

Kusak siedział za biurkiem, kątem oka przyglądając się ofierze. Jego głowę wypełniało coś nowego, strasznego, coś, czego nie spodziewał się poczuć nigdy więcej.

Strach.

Ale było coś jeszcze, a mianowicie żądza mordu. Nie takiego jak zawsze, precyzyjnego, zaplanowanego, o nie. Miał ochotę zachłastać nożem wszystkich w klasie, jednego bachora za drugim, wrzeszczeć, wyrzucić z siebie wszystkie emocje, które rozsadzały go od środka.

Na dodatkowe lekcje przychodzili tylko zagrożeni uczniowie. Pięciu chłopaków i dwie dziewczyny. Jedna z nich, jego ofiara, siedziała w tym samym miejscu, co na normalnych lekcjach, i męczyła się nad sprawdzianem. Jej rude włosy i zamysłony wyraz twarzy sprawiały, że pociły mu się ręce.

Z łatwością wyobrażał sobie, jak po tygodniu trzymania jej w piwnicy zdejmuje opaskę z oczu, by mogła go zobaczyć.

„Tak, to ja, Kusak.”

Ale wyobrażnia to tylko wyobrażnia. On musiał to przeżyć, i to najlepiej szybko.

Pochylił się nad biurkiem, napinając mięśnie, robiąc wszystko, co w jego mocy, by nie podejść do dziewczyny i nie skrócić jej karku jednym mocnym szarpnięciem.

Wydawało mu się, że dzieciaki patrzą na niego.

„Nie, nie patrzą, uspokój się, oddychaj.”

Zaciskał pięści delikatnie i powoli, próbując nie zdradzić emocji.

Widział ogień. Widział atomowy wybuch, grzyb, lawę pochłaniającą domy i drzewa. Piekło i wrzask cierpiących tam grzeszników.

Obserwował piegowatą dziewczynę. Skupiona, jak pozostali uczniowie, pisała sprawdzian. Chłopcy ścigali, pewni swojego strategicznego geniuszu w postaci zeszytów ukrytych między nogami, ale Kusak miał teraz ważniejszą sprawę.

– A więc jesteśmy z powrotem, panie Kusak. Widzimy, że coś jest nie w porządku. Źle się dzieje w państwie duńskim, jak to mawiamy, prawda?

Poprawił się w krześle, rozmyślając, jak to rozegrać.

– Może nam pan powie, co się stało? Pierwszy raz widzimy pana w takim stanie.

– Nic się nie stało. Wszystko mam pod całkowitą kontrolą.

– Ależ pozwoli pan, że się nie zgodzę. Wygląda pan, jakby miał za chwilę eksplodować. Strużka potu cieknie po pańskiej skroni. Co się dzieje?

– Co się dzieje? Co się, kurwa, dzieje? Otóż sam do końca nie wiem. Ale się dowiem, o tak, to na pewno. Poruszę niebo i ziemię, wymorduję tyle bachorów, ile trzeba, dowiem się, idę o zakład, będę je męczył tygodniami, poodcinam im małżowiny i palce, ale się dowiem. Wierzcie mi.

– A zatem, panie Kusak?

To nawet zabawne. Odkąd został Kusakiem, bardzo często oczekiwał radiowozu wjeżdżającego na jego podjazd. Spodziewał się, że kiedyś przyjdą. Przyjdą nocą, kolbami w drzwi załomocą. To musiało się kiedyś stać, no bez jaj, nikt nie jest taki dobry, by przez lata porywać dzieci w jednej pipidówie, dodatkowo w niej mieszkając, i nie być podejrzanym.

A jednak. Przez cały ten czas wszystko uchodziło mu na sucho. Nikt nie rzucił nawet cienia podejrzenia na skromną osobę czterdziestoletniego nauczyciela chemii.

I co?

– No właśnie, no i co?

– I to, że, wyobraźcie sobie, siedzę, przeglądam prace domowe na dodatkowych lekcjach i widzę:

„KUSAK”

Na ostatniej stronie zeszytu – swoją drogą, brak pracy domowej – widnieje taki oto napis.

Zeszyt należy do Adrianny Majewskiej, na którą, tak się składa, przypadkowo mam chrapkę i którą zamierzam porwać lada dzień. Może jutro, może za dwa dni, nie wiem. Pomieszczenie i krzesło już czekają.

A tu proszę, ups, coś poszło nie tak.

„Kusak, Kusak, Kusak.”

Ten napis wyglądał oskarżycielsko. Nigdzie i nigdy nie wspomniał o swoim prawdziwym imieniu. Kusak. Ono było jego, jego i tylko jego.

Kusaki to żuczki albo ptaki zza oceanu.

Oczywiście, dziewczyna mogła napisać sobie nazwę żuczka z tyłu zeszytu, dzieciaki piszą i rysują tam wszystko, co popadnie.

Mhm, tak, jasne, tylko dlaczego pokrywało się to z planem jej porwania w bardzo niedalekiej przyszłości?

Coś tu jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Kusak oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Utrata kontroli nie była teraz wskazana – nie teraz, gdy był już tak blisko celu.

„Co robić, co robić...?”

Nie było sensu wyrywać kartki z napisem. Co by to dało? Skoro dziewczyna napisała to słowo, na pewno ma je również w głowie. Potem będzie się zastanawiać, dlaczego pan od chemii to zrobił i nie powiedział ani słowa.

Zdecydował, że Adrianna musi zostać chwilę po zajęciach i powiedzieć mu, co to właściwie znaczy „Kusak”.

*

Gdy z ust nauczyciela padły magiczne słowa – to wszystko na dziś – jej serce się rozpromieniło. Jej i kilku innych uczniów, którzy musieli kiblować na dodatkowych lekcjach idiotycznej, nikomu niepotrzebnej chemii, kiedy słońce na niebie wylewało z siebie tyle żaru.

Wstała z szerokim uśmiechem na twarzy, kiedy usłyszała złe zakłęcie.

– Ada, możesz chwilę poczekać?

Bez słowa protestu stanęła przy biurku. Pozostali wyszli, posyłając jej szydercze uśmiechy – cha, cha, Ruda Małpo – i zamknęli za sobą drzwi.

Kusak i Ruda zostali sami.

Koleżeński uśmiech nauczyciela nieco rozwiął jej obawy.

– A zatem, Ada, chciałem ci tylko pogratulować, bo robisz postępy. Jeszcze nie mógłbym z czystym sumieniem wystawić ci dobrej oceny na koniec, ale oby tak dalej, a na pewno obydwójce będziemy zadowoleni.

A jednak pan Waśniewski nie musiał być gburowatym sztywniakiem, który wymaga od wszystkich szacunku i wzbudza strach.

– Widzę, że ci ulżyło – dodał. – Możesz mi wierzyć, że mnie ulżyło bardziej niż tobie.

– Dziękuję, proszę pana – odpowiedziała. Żałowała, że nie uśmiecha się częściej w ten sposób. To był uśmiech dobrego faceta.

– Pewnie nie możesz doczekać się już wakacji, co?

Pokiwała energicznie głową. To było dość niezwykle, cała ta rozmowa. Nie co dzień „facet od chemii” pokazywał ludzką twarz. Potrafił być człowiekiem, a ona miała właśnie okazję przekonać się o tym osobiście.

Wziął zeszyt do ręki i popukał palcem w okładkę.

– Nie masz pracy domowej.

– Tak, wiem. Bardzo pana przepraszam, ale...

– Ada! – przerwał jej. – Nie chciałbym, żebyś mnie okłamywała. Nie teraz. Możesz nie zdać do następnej klasy, z całych sił staram się pomóc, więc byłbym wdzięczny,

gdybyś mnie teraz nie okłamywała, dobrze?

Westchnęła głęboko.

„Idiotka z ciebie” – pomyślała.

– Tak, proszę pana. Zapomniałam. To znaczy, nie wiedziałam, jak to zrobić. I nie miałam od kogo odpisać.

– No cóż. – Westchnął ciężko. – Każdemu może się zdarzyć, prawda?

Przytaknęła niepewnie.

„Czy aby na pewno dobrze to usłyszałam? Nie-e, niemożliwe.” Ta rozmowa nie mogła mieć takiego przebiegu. Już dawno powinna dostać lufę do dziennika i tyradę na temat kiblowania przez następny rok.

– Ostatni raz, proszę pana. Obiecuję.

– Och, jestem pewien, że to ostatni raz, wierz mi. – Wyciągnął zeszyt w jej stronę, uśmiechając się jeszcze szerzej. Chwyliła go i poczuła opór. – Aha, byłbym zapomniiał. Coś mi się przypomniało.

Otworzył zeszyt na ostatniej stronie i zapytał.

– Co to jest?

– A, wie pan, to takie... nudzę się czasami na lek... to znaczy nie na pańskich lekcjach.

– Pamiętaj, co powiedziałem.

– Tak, proszę pana.

– A co powiedziałem?

Przełknęła głośno ślinę. W jego oczach dostrzegła coś dziwnego.

Usta nadal się uśmiechały – jestem twoim kumplem, mówiły – ale oczy... w oczach zagnieździło się coś bardzo niepokojącego.

Coś bardzo innego.

– Żebym pana nie okłamywała.

– No właśnie. Cieszę się, że się rozumiemy. A teraz, Adrianno, co znaczy ten napis?

– Nie wiem. Kolega mi powiedział. Napisałam, żeby nie zapomnieć. Nie wiem, czy to w ogóle cokolwiek znacz...

– Który kolega?

Rozległo się pukanie do drzwi.

Lekko się wystraszyła, ale miała wrażenie, że to nauczyciel niemal podskoczył.

– Dzień dobry – powiedział Emil.

Kusak wpatrywał się w chłopaka, który śmiał mu przerwać. Już ją miał, już prawie powiedziała.

Na pierwszy rzut oka był młodszy od dziewczyny. Kusak znał go z widzenia, jak większość uczniów z tej szkoły. Cichy, nie lubiany przez rówieśników. Dziwak, cyrkiel w uchu i te sprawy.

I ratusz. To on, to ten dzieciak, który narobił tam tyle szumu.

Emil Czaja.

Młody przydupas dziewczyny, której zostało jeszcze mniej życia, niż z początku planował Kusak.

– Dzień dobry – powtórzył chłopak. – Ja tylko chciałem... przepraszam, chciałem tylko spytać, czy Adrianna długo zostaje po lekcji.

Kusak patrzył na niego ze spokojem w oczach, w dalszym ciągu nie zdejmując z ust przyjaznego uśmiechu. Zastanawiał się przy tym, jak długo wytrzymałby ten dzieciak pod wodą, zanim zemdlałby po raz pierwszy.

– Już skończyliśmy – rzekł i zwrócił się ponownie do dziewczyny. – I pamiętaj, moja droga, o sprawdzianie za dwa dni.

– Tak jest, proszę pana.

– Chciałbym wystawić ci co najmniej trójkę na koniec roku, więc się postaraj. No. Teraz zmykać.

Odgłos rozmów na korytarzu wpadał do klasy jeszcze przez chwilę, zanim dzieciaki zniknęły za rogiem.

Wyszli ze szkoły, odprowadzani wzrokiem Kusaka. Stał przy oknie za firanami. Gdy zniknęli mu z oczu, zamknął drzwi do klasy i usiadł za biurkiem.

W głowie miał mętlik.

– O co chodzi, panie Kusak?

„Spokój, zamknij się!”

„Spokojnie, oddychaj. Wszystko w porządku.”

Tak bardzo pragnął ją zamordować, teraz, już, natychmiast. Mógłby.

Właśnie, czemu nie miałby jej po prostu zamordować?

Wszedłby do jej domu w nocy, być może udałoby mu się nie zbudzić tych dwojga starych przyków, którzy się nią opiekowali, wszedłby do jej pokoju i udusił. Gdyby staruchy jednak się obudziły, trudno, ich również by zabił.

Jedno było pewne. Coś musiał dzisiaj zrobić. Coś.

Próbował uspokoić trzęsące się ręce, choć serce biło jak oszalone, a żyły pęczniały od gwałtownego przepływu krwi.

Skupił się na odzyskaniu spokoju, chociaż na tyle, by mógł opuścić budynek szkoły, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Wyszedł z klasy energicznym krokiem i uprzejmym skinieniem głowy pożegnał się z woźną.

Wracali ze szkoły, niosąc swoje świadectwa dumnie niczym trofea. Stało się, byli wolni.

– Dwa miesiące – powiedział Emil. – Rozumiesz to? Ponad dwa miesiące nierobienia absolutnie niczego.

– Może dla ciebie – warknęła. Waśniewski nie wystawił jej niedostatecznej pod warunkiem, że będzie uczestniczyła w wakacyjnych lekcjach na dwa tygodnie przed rozpoczęciem następnego roku szkolnego. Ale w gruncie rzeczy nie była zła. Perspektywa wydawała się bardzo odległa.

Teraz szli uśmiechnięci, rozmawiając głośno. Zaczęło się ich święto.

– Myślałam, że mnie nie przepuści – powiedziała znowu, po raz setny, odkąd wzięła do ręki świadectwo. Przyglądała mu się co chwila, nie wierząc własnym oczom. – Zawaliłam ostatni sprawdzian, ten, co wtedy o nim mówił, jak przyszedłeś, a patrz, i tak mnie przepuścił.

W drodze do domu zaopatrzyli się w napoje.

Pogoda była cudowna, jakby zamówiona specjalnie na ten dzień. Park pachniał zielenią i wilgocią, zeszłej nocy spadł delikatny deszcz, wszystko żyło.

– Wiesz, tak myślałam...

Nie wiedział, jak to powiedzieć. Spotykali się od długiego czasu, niemal każdego dnia, spędzali ze sobą dużo czasu. W jego pokoju, w jej pokoju, na dworze, wszędzie. Za każdym razem, gdy rzucał małym kamyczkiem w jej okno, czuł rozsadzające go emocje.

– No co?

– No tak sobie pomyślałem, że może, no wiesz, jakbyś chciała, ale tylko jak byś chciała...

Zastopował, biorąc głęboki oddech. To był ten krytyczny moment, kiedy wypowiedziane słowa staną się faktem i nie będzie odwrotu. Już dawno chciał ją o to spytać, ale na to nigdy nie ma dobrego momentu, chyba że się go wymyśli.

Niemniej teraz – w lecie, podczas wakacji – warunki wydawały się idealne. Wolność, słońce, ćwierkające ptaki, radość. Bardziej odpowiedniego momentu nie będzie.

– No tak pomyślałem, czy nie chciałabyś być moją dziewczyną.

I oto jest, stało się, powiedział to. Żegnaj, okrutny świecie. Spodziewał się wszystkiego, co najgorsze, czyli głównie odmowy i buraka, którego strzeli zaraz potem.

Szyja już paliła go żenującym gorącem, odwrócił więc wzrok, niby oglądając coś bardzo ciekawego.

Z tym że to właśnie Adrianna Majewska była czymś najciekawszym.

Obmyślanie strategii zadania tego pytania spędzało mu sen z powiek i budziło o świecie.

„Zrobiłbym dla ciebie wszystko”, powiedział jej któregoś dnia, gdy siedzieli na przystanku. Zaśmiała się wtedy i odpowiedziała tym samym. Tyle że śmiech mówił coś innego, coś na kształt „jasne, jasne, ja też”. On również się śmiał – śmiech jest dobrym środkiem na wszystko – ale wcale nie żartował.

Zrobiłby dla niej wszystko. Dlatego chodził na cmentarz dzień w dzień, chociaż na chwilę, by spróbować. Zachodził tam za każdym razem, gdy odprowadził ją do domu. Wychodził ogłuszony i roztrzęsiony innymi głosami, choć plus był taki, że jakby mniej na niego działały.

Z czasem zorientował się, że kontakty ze zmarłymi – te nieprzyjemne, te krzyki i jęki – nie powodowały niczego gorszego od bolesnej migreny. Przyzwyczajają się.

I właśnie zadał to pytanie, alleluja, niech się dzieje, co chce, proszę bardzo.

Teraz jej kolej.

Zanim jeszcze buchnęła śmiechem, przyszło mu do głowy pytanie, co ma zrobić wtedy? Odmówi, wyśmieje go i co dalej? Jak się zachować?

I jeszcze gorzej – co jeśli się zgodzi? Co zrobić z cudem, który chwyci się w rękę?

Ruda faktycznie buchnęła śmiechem, ale nie szyderczym. Poznał od razu. Też się zaśmiał, bo co innego miał zrobić?

– No jasne, pewnie – powiedziała, gdy zdołała się lekko uspokoić.

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu drwiących z niego ludzi, ale nikogo takiego nie było.

– To znaczy tak? – spytał. Rozpaczliwie starał się zgasić głupi uśmiech na twarzy, ale to było silniejsze od niego. Cholera, i co teraz?

– Pewnie – odpowiedziała już spokojniej. – Przecież jesteś ode mnie tylko trzy lata młodszy.

– A to problem?

– No jasne! Żona musi być młodsza od męża. No i mniejsza! Widziałeś kiedyś inne małżeństwo?

Szukał w pamięci jakiegoś oczywistego przykładu, ale nic z tego. Pustka.

– No widzisz, nie ma takich małżeństw.

Cała sytuacja obracała się w żart. To dobrze i źle. Nie wyszedł na totalnego kretyna, ale też nie otrzymał prawdziwej odpowiedzi.

Nadal chichrała, dopijając colę, podczas gdy on układał w głowie coś mądrego do powiedzenia. Coś, co pozwoli mu zachować twarz.

– Ale ja się nie chcę z tobą ożenić – wypalił.

Pełne zdziwienie w jej oczach.

Ha!

To było cudowne, tak zbić ją z tropu. To miało moc. Tak rzadko mu się udawało coś takiego.

– No – dodał. – Nie chcę się z tobą ożenić.

– Nie chcesz?

– No nie.

– Ja też nie.

– Ja byłem pierwszy. Ale ciągle możesz być moją dziewczyną, jeśli chcesz.

Kiedyś opowiedziała mu, jak łąziła po zamarzniętym jeziorze niedaleko domu. Czułam, jakby każdy następny krok miał być moim ostatnim, mówiła.

Wiedział, o czym mówiła. Teraz był w podobnej sytuacji.

– No dobra – powiedziała w końcu.

Zahuczało mu w uszach, jakby dostał kopniętą z czuba piłką.

Musiał się przestyszeć. No jasne, przecież nie słyszy na jedno ucho. Musiał źle usłyszeć.

– Ale nikomu nie mów. Jesteśmy chłopak i dziewczyna, ale nikomu masz nie mówić.

– Zgoda. – Wyciągnął rękę. – Umowa.

Zawahała się lekko, ale w końcu ją uścisnęła.

Uśmiechnął się zwycięsko.

– Od teraz jesteś moją dziewczyną.

– No i dobra. Teraz musisz kupować mi prezenty, kwiaty i takie tam. W ogóle musisz mnie pozytywnie zaskakiwać.

Nie do końca rozumiał, co to znaczy, ale na razie nie miało to znaczenia. Miał dziewczynę, Rudą w dodatku, świat był piękny.

– A ty mnie całować, kiedy będę miał ochotę.

– Na pewno nie.

– Zobaczysz.

– Co zobaczę?

- Że mnie pocałujesz, kiedy będę chciał.
- Wcale nie. Na pewno nie pocałuję cię teraz.
- Teraz i tak nie chcę.

Najwyraźniej nie pamiętał tego, jak pocałowała go na cmentarzu. Uśmiechnęła się do swojej tajemnicy i postanowiła zachować ją dla siebie.

Zerkali na siebie, udając oburzenie, jak stare dobre małżeństwo. Obydwojgu bardzo się to podobało i nigdy w życiu by się do tego nie przyznali. Poza tym był koniec szkoły – KONIEC SZKOŁY! – więc musieliby się naprawdę napracować, by popsuć sobie humory.

Doprawdy Emil nie mógł trafić na lepszy moment.

- Daj mi łyka – powiedziała.

Podał jej puszkę. Fakt, iż nie brzydziła się pić po nim, napawał go zadowoleniem i dumą.

Natomiast ona szybkim ruchem oblała go resztkami napoju i uciekła.

- Będziesz musiała mnie pocałować za to! – krzyknął, wycierając twarz.

Stała w bezpiecznej odległości i wtedy dopiero zaczęła się śmiać.

- Nic nie muszę, chyba że mnie złapiesz.

Wiedział, że nic z tego nie będzie. Jego małe nogi nie mogły nadążyć za jej wielkimi krokami.

- Zresztą – dodała – przyjdź później, to może pogadamy.

Wszystko się zatrzymało, wszystko dookoła ucichło. Czas się zatrzymał. Cały świat, poza Rudą, był za mgłą.

- Przyjdę – powiedział.

Przytaknęła i uciekła.

- Przyjdę – powtórzył szeptem.

Dziś pójdzie na cmentarz, postanowił. Pójdzie tam i nie wyjdzie, póki nie usłyszy tego, czego chciał.

*

Wysoką trawę rozchodzącą się aż po horyzont przecinała mała dróżka, na której stał samochód. W środku siedział Kusak.

Słońce powoli zmierzało w stronę horyzontu, świerszcze cykały jak szalone, ptaki przecinały błękit nieba.

Był sam, nie licząc ofiary w bagażniku.

Tydzień koczowania pod domem dziewczynki opłacił się, bo już wiedział, co zrobić.

Dzisiaj. To dzisiaj jest ten dzień.
Na spokojnie, bez emocji, bez nerwowych ruchów.
Wysiadł z samochodu na rozgrzaną ziemię. W oddali pojawiła się delikatna mgła –
zwiastun następnego gorącego dnia.
Rozejrzał się dookoła.
Nikogo. Dobrze, wspaniale.
Przed otwarciem bagażnika dał sobie jeszcze kilka chwil na ochłonięcie. Palił się
do łowów, mógłby zacząć już, teraz, ale to do niego nie pasowało.
Kusak był spokojny, Kusak był rozważny. Dlatego jeszcze go nie złapano.
I jego w tym głowa, żeby tak zostało.
Wdech, wydech, wdech i wydech.
Otworzył bagażnik.
Przerażone oczy patrzyły na niego z mieszkanką wrogości i strachu. Trochę głębiej
jednak, jeśli się dobrze przyjrzeć, można było odczytać to, o czym wiedziały.
Nadszedł czas na ostatnie ich zamknięcie.
Kusak wyciągnął skrępowanego buldoga za nogi i położył na ziemi. Silny pysk
klinował kaganiec.
Ostatnie spojrzenie dookoła – nikogo, niczego – wyciągnął młotek z bagażnika i
zabrał się do roboty.

*

Mniej więcej w tym samym czasie chłopiec wszedł na teren baskińskiego
cmentarza. Głosy rozbrzmiały w jego głowie z siłą dynamitu, o mało nie zwałając z
nóg.

Zamknął oczy, potem wdech – spokojnie, nic się nie dzieje – i wydech. Wszystko
wróciło do normy.

Przychodzenie tu każdego dnia dało rezultat. Porównywał to do skoku na głęboką
wodę – podobno tak na pewno nauczysz się pływać. Tutaj nie miał wyjścia, jeżeli nie
chciał oszaleć, dostać krwotoku, zapaść w śpiączkę czy co tam jeszcze mu groziło,
musiał okiełznać to, co słyszał.

(pomocy!)

(mamo mamo gdzie jesteś)

(nie chcę umierać)

(pomocy!)

Głosy krążyły nad grobami, echa snuły się bez celu. Nie widział ich, ale czuł ich
obecność.

Palily go uszy. Dotknal jednego, czujac goraco.

Jego cien byl dluzszy niz godzinę wczesniej. Slonce tonelo za domami i drzewami.

Kochal Rudę. Ruda to jego dziewczyna, kochal ją i, choc nie powiedzialby tego, pragnal, by byla szczesliwa. Chcial jej pomoc porozmawiac z rodzicami.

(ja chce žyc)

(ja chce žyc nie umartem jeszcze nie niemożliwe jeszcze nie)

(mlody mlody słyszysz mnie?)

Ignorowal nawolywania, nie wsluchiwal się w nie, pozwalal głosom przelatywac, nie skupial się na powiazanych z nimi niebieskich obrazach.

„Nie dzisiaj. Przepraszam, nie dzisiaj.”

„Dzisiaj nie jestem tu dla siebie.”

(postuchaj błagam postuchaj!)

Zblizal się do grobów, tych własciwych, a głosy nie ustawaly. Zaciskal pięści, pocil się, jego oddech znowu przyspieszal.

„Spokojnie, tylko spokojnie, to tylko

(mlody on czeka)

(czeka!)

głosy. Nic mi nie zrobia. Są martwi, nieżywi, pochowani, na wieki wieków, amen.”

Stanawszy przy wielkim, podwójnym grobie, pomyslal o Rudej.

„Jestem tu dla waszej córki.”

„Jestem tu, bo ona tęskni.”

„Proszę was, odezwiście się.”

*

Mijaly minuty. Chlopiec usiadl przy grobach, nasluchujac. Odwiedzajacy zmarlych ludzie snuli się cicho, niemal bezglosnie, nie liczac szelestu reklamówek i trzasku zapalniczek.

Robilo się ciemno. Szarość gęstniala, kolorowe domy zza płotu cmentarza tracily barwy. Wieczór przechodzil w noc.

Gdy upewnial się, że nikt nie widzi, wzial jeden zapalony znicz i wrócił do rodziców Ady.

Dzisiaj zamierzal tu zostac tak dlugo, jak to mozliwe. Gorące powietrze styglo.

„Kocham waszą córkę” – mowil w myslach.

„Kocham ją. Powiedzcie coś.”

*

Baskin Zachodnie zapadało w ciepły, letni sen. Lampy na ulicach rozbłysły żółtym, słabym światłem. Ludzie zamykali drzwi na klucz, właściciele sklepów wyczekiwali ostatnich klientów, głównie mężczyzn, którym przedwcześnie skończył się alkohol.

Sznur samochodów na głównej ulicy rozrzedzał się z każdym kwadransiem, było coraz ciszej i spokojniej.

„Dobranoc, Baskin.”

*

O północy chłopiec nadal siedział na cmentarzu, opierając się o grób.

Drzemał niespokojnie i dygotał. Wyglądało to, jakby miał jakiś mroczny i niedobry sen.

Spał, ale nie śnił.

Słuchał.

Rodzice jego dziewczyny mieli coś ważnego do powiedzenia.

*

Blade światło telefonu pokazywało pogniecione zdjęcie rodziców obejmujących cztery lata młodszą Rudą.

Leżała pod kołdrą, ugłaskana nadchodzącym snem, gotowa zamknąć oczy.

Zdjęcie, na które patrzyła, zostało zrobione przed domem. Nie pamiętała dokładnie okoliczności. Było ciepło, to na pewno. I bardzo przyjemnie. Chyba robili wtedy grilla.

Zdjęcie kiedyś wyblaknie. Wyrzuci je albo zgubi. Teraz o tym nie myślała.

Tego zdjęcia dotyczyli jej rodzice. Mama oddała do wywołania, tata obejrzał, potem włożyli do albumu.

Po piegowatych policzkach ślizgały się małe łezki. Pochlipywała leciutko, tłumiąc płacz w środku. Nie chciała pocieszenia. Chciała ich z powrotem.

Po raz ostatni spojrzała na telefon – brak wiadomości od Emila – i odłożyła go na bok.

„Mamo, tato.”

*

To nie był sen. Nie do końca.

Wizja – może, choć też nie bardzo. W zasadzie to było wszystko, co nierzeczywiste – sen, wizja, fatamorgana – sklejone w jedno, o pięknym niebieskim odcieniu. Iluzja,

jaka mógł ujrzeć tylko chłopiec śpiący pośrodku cmentarza.

Wspomnienia wspólne i osobne. Głosy, żywe, pełne mocy. Ich dziecko

(nasza kochana ada)

po między nimi w zimną noc.

Całe życie w stopklatkach, w długich ujęciach pokolorowanych na niebiesko.

Wypadek.

Ruda

(ada kochanie)

leżąca na trawie, poobijana, ale bez większych obrażeń, niedaleko rozbity samochód. W nim umierający rodzice.

Jest coś jeszcze. Coś niepokojącego.

Ginące dzieci w Baskin.

(oczko w głowie to nasze oczko w głowie nikomu nie pozwolimy jej zabrać)

Strach o dziecko. Ich strach przed zaginięciem Rudej,

(ady)

bo w mieście od zawsze giną dzieci.

(nie giną dzieci nie giną one)

(porywane)

(on je)

(porywa je i zabiera)

(ada kochanie)

(nikomu nie pozwolimy jej zabrać)

(kochanie nasze powiedz jej)

(uratuj ją możesz to zrobić powiedz jej teraz idź powiedz)

(on to robi od dawna wie co robi i zrobi to teraz naszej adki)

(nasze oczko w głowie)

(zrobi jej to samo co innym nie pozwól nie pozwól)

(mujesz musisz musisz)

(on czeka)

(on)

(czeka)

(kusak)

(kusak czeka czeka kusakKUSAKKUSAKKUSAK!)

*

Zerwał się, wciąż dygocząc, zdezorientowany i zmarznięty. Potrzebował chwili na otrząśnięcie. Wstał na chwiejnych nogach.

Ból głowy powrócił, potworny, okropny,

(powiedz jej powiedz!)

(on jest KUSAK CZEKA!)

z boku głowy, tuż za uchem, głosy wlewają się do środka, wbijają jak igły, jak cyrkiel, jak gwóźdź.

Jest bliski uderzenia głową o marmurowy pomnik, z całej siły, prosto w czoło, byle tylko przestało boleć, wyłączyć ból, wyłączyć myślenie. Wyłączyć życie.

(KUSAK KUSAK KUSAK!)

I wszystko ucichło.

Popatrzył na podwójny grób, powtarzając w pamięci to słowo. Słowo-klątwa, słowo-zaklęcie. Kusak. Nie wiedział, co znaczy, czy w ogóle coś znaczy, Ruda też nie wiedziała.

Była w niebezpieczeństwie – i to wiedział na pewno.

*

Gdyby zignorowała pierwsze stuknięcie, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Kamyczek delikatnie stuknął w szybę po raz drugi.

Emil.

Czego on chce?

Z powrotem zanurzała się w sen, gdy kamyczek uderzył po raz kolejny.

Na wpół przytomna wygrzebała się spod kołdry i podeszła do okna. Ciemno, środek nocy, w sąsiednich domach pogaszone światła.

– Emil? – szepnęła, otwierając okno.

Żadnej odpowiedzi, jedynie rechot żab z jeziora niedaleko.

Wzruszyła ramionami, zamknęła okno i wróciła do łóżka.

Kamyczek uderzył po raz kolejny.

*

Wyszła z domu najciszej, jak potrafiła. Majewscy przygniecenii kamiennym snem nie usłyszeli niczego – to samo zeznają tego ranka.

– Emil? Co ty robisz, gdzie jesteś?

Kusak chwycił ją w pasie jedną ręką, drugą, w rękawiczce, przycisnął do jej ust.

Pół sekundy później krzyknęłaby ze strachu na pół osiedla, ale Kusak był szybszy. Trzymał ją w żelaznym uścisku pod oknem sypialni Majewskich, na widoku,

stawiając wszystko na jedną kartę.

Gdyby ktoś wyjrzał przez okno....

Trzymał więc mocno, a dziewczyna szarpała się na wszystkie strony. Ofiary. One wszystkie się szarpały.

Po chwili przelewała mu się przez ręce.

Podniósł ją i zniknął w ciemności nocy, dokładnie tam, skąd się pojawił.

Obudził się, szarpany przez ciotkę.

– Wstawaj, Emil, wstawaj, ale już!

Chwilę zajęło, zanim zebrał się do kupy. Do domu wrócił po drugiej w nocy, a teraz było rano, bardzo rano, w dodatku wakacje, na litość boską, a mimo to ciotka siłą wyrwała go ze snu.

Jakimś cudem udało mu się usiąść i wysłuchać tego, co miała do powiedzenia.

Gdy skończyła, po senności nie pozostał nawet ślad.

*

Adrianna Majewska zaginęła. Kolejne dziecko.

Wczesnym rankiem pod domem państwa Majewskich stanął radiowóz. Majewski znał jednego lokalnego policjanta jeszcze z czasów szkoły, dlatego przekonanie go, by zajął się sprawą od razu, nie było problemem.

Grupa sąsiadów naradzała się, jakie tereny należy przeszukać na początek. Grażyna zadzwoniła do starej Czai, tej pijaczki, która opiekowała się chłopakiem.

Emil nie miał pojęcia, co się stało. Przyznał, że poprzedniego wieczora był pod jej domem, ale skoro nie wyszła, wrócił do siebie.

Majewscy byli szanowanymi mieszkańcami osiedla domków jednorodzinnych, można powiedzieć, że lubili ich wszyscy, dlatego pod ich domem pojawiały się coraz to nowe osoby oferujące swoją pomoc w poszukiwaniach.

Jedna z sąsiadek oznajmiła później mężowi, że stara Majewska wyglądała, jakby przez te kilka godzin postarzała się o kilka lat.

Bartosz przeczesywał okoliczne zakamarki na osiedlu, jakoś radząc sobie z nerwami, ale wewnątrz czuł, że serce nie nadąża. Pewien ochotnik zasugerował, by poszedł do domu odpocząć, i o mało nie oberwał za to pięścią w nos.

Policja zaczęła standardowo. Wypytała znajomych dziewczyny, czyli kilka dziewczyn z klasy i chłopaków z dawnej paczki, wszystkich, którzy ją znali choćby z widzenia. Nie przyniosło to żadnych rezultatów.

– Nic nie mówiła, że chce uciec z domu – mówił Emil, zasmarkany i roztrzęsiony. Zapewnienia, że nikt go nie oskarża i nie obwinia o nic, nie pomagały. Młody trząsał

się i wyglądał jak zbity pies.

Jeszcze przed południem dwóch policjantów mruczało między sobą po cichu, że od razu można wpisać w akta „sprawa zakończona z wynikiem negatywnym”. Nigdy nie wyjaśniło się żadne zaginięcie, dlaczego to miałyby?

*

Mijały godziny, pory dnia, a dziewczyny wciąż nie było. Policja zabezpieczyła telefon, ale szybko ustalono, że nie ma tam niczego, co mogłoby pomóc w śledztwie.

Drugą zabezpieczoną rzeczą było zdjęcie.

*

– Nikt nie przychodzi ci do głowy? Ktoś, kto ostatnio za wami chodził? – pytał policjant.

– Nie-e – wyjęczał Emil.

Policjant zasugerował, że dziewczyna mogła uciec z domu.

– Z tego, co powiedzieli nam babcia i dziadek, wynika, że nie dogadywali się za bardzo z wnuczką. Może wspominała coś na ten temat?

Chłopiec energicznie pokręcił głową.

– Pewny jesteś, że nie zrobiłaby im tego, wiesz, na złość?

– Nie zrobiła tego.

– Skąd taka pewność?

– Bo mówił pan, że nie wzięła zdjęcia.

– Tak, i telefonu też.

– Telefon nieważny. Bez zdjęcia nie wychodziła nigdzie.

*

Południe minęło, a po dziewczynie nie było śladu. Dochodził wieczór, czyste niebo zmieniało barwę z błękitnego na wściekle pomarańczowy, a jej nadal nie odnaleziono.

*

O godzinie ósmej wieczorem Grażyna Majewska zasłała. Sąsiadki położyły ją na sofie, jedna została na noc, zapewniając czułą pomoc.

Kilka razy Bartosz był pewien, że to już, w tym momencie, dostaje ataku serca. „A więc to tak, sukinsynu. Tak chcesz mnie wykończyć, tu i teraz?”

Nie wiadomo, o kim myślał, ale ten ktoś, kimkolwiek był, odpuszczał.
Po kwadransie przerwy Bartosz wracał do poszukiwań.
Najbardziej bolało go to, co przy śmierci syna. Świat dalej funkcjonował. Właśnie rozgrywała się kolejna tragedia w jego życiu, a świat się kręcił mimo to. Ludzie chodzili do pracy, sklepy były otwarte, po osiedlu biegały psy.

*

Przed dziesiątą ktoś rzucił w tłumie poszukiwaczy, że powinni odpocząć.
– Jutro będziemy do niczego, jeśli nie prześpimy chociaż kilku godzin.
Majewski spiorunował go wzrokiem.
Dopiero po godzinie, gdy ciemność okryła całe miasto, kilku starszych znajomych przekonało go, że czas zrobić przerwę. Muszą wypocząć, zdrzemnąć się, a jutro o świcie ruszą dalej.
Księżyc na niebie obserwował wszystko.

*

Następnego dnia nic się nie zmieniło.
Wczorajszy zapal poszukujących jeszcze nie ostygł, ale w oczach niektórych można było dostrzec to zwątpienie, które wkrótce, niczym wirus, ogarnie wszystkich.

*

Na posterunku policji stawiło się dwóch nastolatków, oferując pomoc. Kilka miesięcy wcześniej zrzucili się na drona z kamerą na podczerwień.
Wykorzystano go natychmiast.
Mały helikopterek spędził w powietrzu cały ranek i popołudnie, nie licząc czasu na wymianę baterii.
Nic.
Przeczესano jeziora i bagniska.
Przesłuchano kilkadziesiąt osób, nikogo w charakterze podejrzanego.
W lokalnej gazecie pojawił się artykuł – zdjęcie i opis zaginionej dziewczynki. Na samym dole widniał apel Grażyny Majewskiej o pomoc w odnalezieniu ukochanej wnuczki.
Sprawdzono monitoring w centrum miasta i na dworcu autobusowym. Nawet stacje benzynowe niedaleko Baskin nie zarejestrowały niczego podejrzanego.
Nauczyciele brali udział w poszukiwaniach. Kusak również.

- Boże – powiedziała polonistka. – Mam nadzieję, że się odnajdzie. Mam nadzieję.
– Ja też, wierz mi – przytaknął Kusak. – Ja też.

*

Emil Czaja kończył pracę nad ogłoszeniem. Piegowata dziewczyna uśmiechała się do niego z monitora. Poniżej widniał zwięzły opis wyjaśniający okoliczności zaginięcia i cechy charakterystyczne. „POMÓŻCIE ODNALEŹĆ ADRIANNE!” – głosił wielki napis na górze.

Ciotka zabroniła mu wychodzić z domu, gdy wyjawiał, że w nocy był poza domem, ale zmieniła zdanie, kiedy pokazał, co robił cały ranek.

Kserował ogłoszenia. Dwadzieścia, czterdzieści, sześćdziesiąt.

Bibliotekarka przyglądała mu się ze smutnym uśmiechem.

– Jesteś dobrym chłopcem – powiedziała, dodając, by nie zawracał sobie głowy płaceniem.

Podziękował i spytał, czy będzie mógł skopiować więcej.

– Oczywiście. Jak się skończą, wracaj po następne.

Wrócił po dwóch godzinach.

*

Biegając po całym mieście, nie miał czasu pomyśleć o tym, co wydarzyło się na cmentarzu. Kusak.

Co to jest Kusak?

Tego dnia wrócił do biblioteki jeszcze dwa razy.

*

Wiatr uniósł pogniecione ogłoszenie. Pofrunęło metr nad ziemią i wylądowało w kałuży.

Ogłoszenia wisiały na budynkach, przystankach autobusowych, ulicznych lampach, witrynach sklepów, przy wejściu do banku, kościoła, na stacji benzynowej, wszędzie.

*

Po południu, zlany potem, usiadł przy ścieżce rowerowej niedaleko osiedla Rudej. Zmęczenie wygrało. Musiał usiąść, złapać oddech, dać nogom odpocząć. Po zdjęciu trampków i skarpet ujrzał wielkie, czerwone odciski i wypełnione płynem pęcherze. Ona czeka.

Zaciskając zęby, ponownie założył buty. Przypadkiem dostrzegł na niebie dziwny, malutki przedmiot, coś jakby zabawkowy samolocik... nie, bardziej helikopter. W zwykłych okolicznościach bardzo by się tym zainteresował.

Teraz chciał tylko odnaleźć swoją dziewczynę.

*

Do poszukiwań dołączyło jeszcze więcej ochotników. Niektórzy nie byli pełnoletni.

Dron nie znalazł niczego.

Sami ochotnicy również.

Nikt, nic.

*

Minął tydzień.

Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Nie było już strachu, przynajmniej nie takiego jak na początku.

Nie wiedziała, ile czasu minęło – kilka dni, wieczność? – właściwie nic nie wiedziała. Słyszała tylko bicie własnego serca i świst oddechu.

Siedziała na twardym, niewygodnym krześle. Trzymające ją sznury nie pozwoliły się poruszyć ani o centymetr. Usta miała zakneblowane.

Kilka razy – trzy, cztery – ktoś uwalniał ją, mówił szeptem, że nie zrobi jej krzywdy, ścigał spodnie i sadzał na nocniku.

– Zrób, co musisz.

Najpierw opornie, niemal płonąc żywcem z zażenowania i wstydu, potem z apatyczną obojętnością, załatwiała się w ten właśnie sposób, zawsze z zawiązanymi rękoma.

I to wszystko. Nie wiedziała o swojej sytuacji nic więcej.

Całą resztę – gdzie się znajduje, jak wygląda to miejsce? – przesłaniała czarna jak smoła kurtyna zasłoniętych od tygodnia oczu.

„A może ośleplam?”

„Jak teraz wygląda światło?”

Paralizujący strach odzywał się za każdym razem, gdy ktoś wchodził do pomieszczenia. Nieznajoma dłoń luzowała knebel na tyle, by móc wsunąć rurkę.

– Ssij! – Słyszała szept.

Robiła, co kazał. Smakowało jak budyń.

Gdy kończyła, właściciel szeptu z powrotem kneblował jej usta, zanim zdążyła choćby je otworzyć. Grzebał trochę przy krześle, upewniając się, że nic się nie obluźowało, i wychodził bez słowa.

To było dawno temu.

Rytuał powtórzył się jeszcze kilka razy.

Strach ogarniający cały umysł, zagłuszający wszystkie myśli, wciąż gdzieś tam był, dryfował, ale nie tak gwałtownie jak na początku.

Chciała do domu.

Płakała bardzo długo, całe godziny. Potem zasypiała. Budziła się i płakała. Potem znowu zasypiała. Czasami kładł ją na polowym łóżku, przywiązywał do niego. I tak,

wydawało się, bez końca.

Wymyślenie czegoś, co pomogłoby w ucieczce, spełzło na niczym.

Próbowała wywrócić krzesło, przemieścić się na różne sposoby. Nic z tego.

Nasłuchiwała, starając się wyłapać każdy najmniejszy dźwięk, ale otrzymywała to samo, co poszukujący jej ludzie – nic.

Ile dni minęło?

Bo musiały to być dni. Może nawet tygodnie.

Liczyła, ile razy zasypiała. Jeden sen równa się jeden dzień. Tylko z czasem zaczęła przysypiać, zapadać w krótkie, płytkie drzemki, z których wybudzała się długo.

*

Któregoś dnia ktoś wszedł do pomieszczenia. Przeszedł obok niej, czuła ruch po swojej lewej stronie. Oddychała szybko, serce waliło. Czuła, że stanął naprzeciw niej, bardzo blisko. Chciała coś powiedzieć, ale knebel nie przepuścił ani jednego słowa, zająknięcia nawet.

„Nic nie powiem”, pragnęła powiedzieć. „Nie powiem nikomu, obiecuję, obiecuję, przyrzekam, tylko wypuść mnie.”

„Proszę, wypuść mnie.”

„Proszę. Proszę, proszę, proszęproszęproszę...”

Stał przed nią długi czas. Słyszała oddech.

Położył coś na jej kolanie.

Dłoń. Ciepła, ludzka dłoń.

Pierwszy fizyczny kontakt po porwaniu.

Oddychała szybko i płytko, gotowa na najgorsze.

Nic takiego nie nastąpiło. Z nerwów była bliska omdlenia, ale ręka w końcu puściła, nagle, bez niczego, tak jak ją złapała.

Minęło kilka minut, ciągnących się w nieskończoność, zanim została sama.

*

Widziała ciemność.

O ile jeszcze widziała.

Ciemność i cisza. Ciemność i cisza.

*

Śniła, że biegnie do domu. Rodzice żyją, a ona pędzi, by się z nimi zobaczyć. Musi ich zobaczyć, bo wie, że tak naprawdę nie żyją, że to tylko sen. Tylko tutaj, w swojej głowie, może z nimi porozmawiać, raz jeszcze zobaczyć ich twarze i usłyszeć głosy.

Biegnie.

Widzi rodziców, ich sylwetki, w oknie. Czeka ją na nią.

Mama się odwraca, powoli, jak w zwolnionym tempie, już prawie widzi jej twarz, jej kochany uśmiech...

Wszystko się rozpada jak przy trzęsieniu ziemi, dom, sylwetki rodziców, cały sen się rozpada.

*

Ktoś, kto nią potrząsał, wyrwał ją z cudownego snu.

Wciąż siedziała przywiązana do krzesła. Wielka, mocna dłoń szturchała ją w ramię. „Obudź się.”

Knebel lekko się poluzował, w ustach poczuła rurkę.

– Poczekaj – powiedziała zachrypniętym głosem. Zdążyła już zapomnieć, jak brzmiał. – Poczekaj, proszę.

Knebel wciąż był luźny. Mogła mówić.

– Proszę, wypuść mnie.

Odpowiedziała jej cisza.

– Proszę.

Minęła chwila, krótka i długa jednocześnie chwila ekscytacji. On się namyślał! On naprawdę się namyślał!

Knebel z powrotem zatkał jej usta, jeszcze mocniej niż wcześniej.

Jęki nic nie pomogły.

Została sama.

*

Trudno było nie zabić jej od razu.

Kusak nie miał wątpliwości, że ofiara w piwnicy jest tykającą bombą i należy jak najprędzej ją rozbroić.

Gdy zszedł z nożem dwa dni temu, już prawie to zrobił.

Stanął przed nią i patrzył. Za kilka lat byłaby piękną kobietą z urokliwymi piegami. Ale nie będzie.

Kucnął położył na jej kolanie dłoń i patrzył w twarz. Mała oddychała szybko, nerwowo, jakby czuła, że tuż przy jej szyi tkwi nóż.

Wystarczyłoby jedno cięcie, szybkie i sprawne. Prawie już to zrobił, już prawie, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

Najpierw musiał zadać to pytanie. Spojrzeć jej w oczy i zadać to jedno, małe pytanie. Wtedy dopiero to zrobi.

Uczestniczył dzisiaj w poszukiwaniach. Inni nauczyciele wyjechali na zaplanowane wcześniej wakacje, ale nie on. On jest równy facet i pomoże, by mała dziewczynka wróciła do domu. Ludzie nie tracili nadziei, zwłaszcza Majewscy. Widział ich oczy, nagromadzone w nich zmęczenie i strach.

W dodatku na ulicach roiło się od ogłoszeń. Setki, może tysiące. Były wszędzie, na każdej ulicy, na przystanku, w autobusie, no wszędzie, na każdym kroku. Jej roziskrzone oczy patrzyły na ludzi z każdego drzewa w centrum.

W piwnicy te oczy były przesłonięte, ale już niedługo, może nawet jutro, odsłoni je i zapyta.

Rozdawał ogłoszenia kierowcom autobusów, gdy podjeżdżali pod przystanek, i ludziom ze stojących na światłach samochodów. Nie wszyscy chcieli je wziąć, niektórzy przeganiali go z ulicy. Rozdawał je przypadkowym przechodniom, którzy i tak widzieli je na słupach. Niektórzy wyrzucali ogłoszenie zaraz za rogiem, widział to, ale nie przejmował się zbytnio. W bibliotece miał ich jeszcze kilka setek.

Ile to już dni? – dwa tygodnie, cztery, rok?

Nie liczył. Mało jadł, jeszcze mniej spał.

Kilka razy udał się na cmentarz po wskazówkę, ale nie usłyszał nic.

Spotkał nawet Grażynę Majewską. Zauważyła go w sklepie, zawołała, więc podszedł. Nie miał kompletnie pojęcia, co powiedzieć i co przepraszać – bo to tak jakby oczywiste, że zrobił coś złego.

Kobieta jednak uściskała go z całej siły i podziękowała.

– Ale za co? – spytał, a ona skinęła głową na witrynę sklepu i wiszące tam trzy – nie jedno, a trzy – ogłoszenia.

W domu podzielił się z ciotką myślą, że to dziwne – Ada jeszcze się nie odnalazła, a ta kobieta robiła sobie zakupy.

– Człowiek musi jeść, Emil – powiedziała ciotka, podsuwając talerz z obiadem. Nie był głodny, ale jej spojrzenie mówiło, że nawet nie chce tego słuchać. – Musi jeść i pić, by mieć więcej siły na szukanie.

To miało sens.

*

Zaczął chodzić po mieszkaniach. Rozdawał ogłoszenia ludziom, prosząc, by rozwiesili je poza Baskin. Wierzył głęboko, że każdy zrobi to z uśmiechem na twarzy i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Tymczasem kilka osób odmówiło, a od wielu czuł bijący chłód zubożnienia.

– To oni jeszcze jej szukają? – spytał w drzwiach facet o wielkim, piwnym brzuchu, niemal rozrywającym biały podkoszulek.

– Tak – powiedział Emil. – Tak, oczywiście.

Facet wziął pięć ogłoszeń i wyrzucił do śmieci.

*

Chłopak wyznaczył sobie cel. Zaliczyć wszystkie mieszkania na swoim osiedlu, potem przenieść się na sąsiednie blokowisko. Później mieszkania w centrum. Na końcu osiedla domków jednorodzinnych.

Będzie pukać do każdych drzwi i dodatkowo wepchnie po jednym ogłoszeniu do skrzynki. Tak. Właśnie tak należało zrobić.

Ruda się odnajdzie. Już wkrótce, już zaraz, a on będzie bohaterem, ludzie powiedzą, że to dzięki niemu ktoś ją zobaczył, poinformował policję.

I tak zaczął krążyć od drzwi do drzwi jak domokrążca, pełen wiary i pewności, że Ada gdzieś tam jest, czeka na pomoc. Dlatego rozdawał po kilka ogłoszeń, często tym samym ludziom, którym dał ogłoszenia kilka dni wcześniej w centrum.

*

Przy grobie jej rodziców spodziewał się wskazówek, jakichś podpowiedzi. Dziecięca logika mówiła jasno, że duchy wiedzą wszystko, przechodzą przez ściany, bywają w zaświatach i takie tam. Proste odpowiedzi nie powinny stanowić dla nich problemu. Pod warunkiem oczywiście, że chciałyby ich udzielać.

Nie słyszał już jej rodziców – tylko jęki i wrzaski czasami przerywane wesołymi krzykami dzieci.

*

W trakcie swoich wędrówek z plakatami usłyszał kilkakrotnie, że teraz, kilka dni po zaginięciu, policja może szukać jedynie ciała.

Emil swoje wiedział.

Ciała Rudej nie było nigdzie w mieście i wielu miejscach poza nim. Sprawdził osobiście, chodząc całymi dniami. Słyszał głosy dawno zmarłych ludzi, jeszcze sprzed wojny, jeszcze z zamierzchłych dziejów – ale jej głosu nie usłyszał nigdzie.

*

Policjanci odwiedzili go ponownie, zadając te same pytania w nadziei, że przypomni sobie o czymś nowym.

– Może Adrianna mówiła kiedyś, że ktoś ją zaczepia, pisze do niej w Internecie? Że kogoś się boi.

„Kusak.”

To jedyne, co przychodziło mu do głowy i mógłby o tym powiedzieć, gdyby w ogóle wiedział, co oznacza. Pewnie nic. Po co o tym mówić?

Jeśli się kogoś bała, to wyłącznie pana Waśniewskiego, nauczyciela chemii. Nie było sensu o tym mówić. Każdy boi się nauczycieli, a Waśniewskiego w szczególności.

Policjanci odjechali z niczym.

– Aha – rzucił jeden na odchodnym. – Dobra robota z ogłoszeniami. Są w całym mieście.

Tak, dostawał za to dużo pochwał, codziennie słyszał, że jest dobrym chłopcem. Dorośli patrzyli na niego z uśmiechem pełnym aprobaty i podziwu, nikt jednak nie powiedział na głos tego, o czym myślało coraz więcej ludzi.

Już po dziewczynie.

Czasami wydawało mu się, że słyszy ich myśli, ale natychmiast odpychał to od siebie. Głosy zmarłych wystarczały mu w zupełności.

Wracając do domu przed zmierzchem – tak obiecał ciotce – padał zmęczony na łóżko, bez mycia i kolacji. Nogi bolały okrutnie, stopy wydawały się miękkie jak wata i twarde jak drewno jednocześnie.

Czasami patrzył w telefon. Może coś napisała? Wróciłam, jestem w domu, i chyba narobiłam niezłego bigosu. To byłoby w jej stylu.

Zaczął wchodzić na strony internetowe dotyczące zaginionych osób. Po pierwszym kwadransie był w szoku. Jak to możliwe, że ginie tylu ludzi, tak po prostu? Wychodzą z domu i nigdy nie wracają. Co się z nimi dzieje?

Spędził kilka wieczorów na umieszczaniu ogłoszenia dotyczącego zaginięcia Adrianny Majewskiej.

*

Przyśniła mu się. Biegła w stronę domu, a on tam był, ale niewidzialny, jako obserwator. Sen miał piękny niebieski odcień, kolor indygo.

Próbował krzyknąć, zwrócić na siebie jej uwagę. Chciał, żeby odezwała się do niego.

Nie słyszała. Dobiegła do domu, chwyciła klamkę, wchodziła do środka. Nagle zastygła w miejscu. Odwróciła się, posyłając uśmiech w stronę, z której patrzył. Tęsknił za tym uśmiechem, kochał go.

Nie powiedziała ani słowa, ale wiedział. Ona gdzieś tam jest i czeka.

Krople deszczu zaczęły uderzać w ziemię – najpierw pojedyncze, potem więcej i więcej, aż lunęło jak z cebra. Wysuszone polne drogi chłonęły wodę jak gąbka.

Do Baskin zawitał pierwszy tego lata deszcz. Po tygodniach prażącego słońca i suchego powietrza ludzie w końcu mogli odsapnąć.

Na drodze, przy krawężnikach, utworzyły się małe rzeczki porywające papierki po lodach i pety.

Mieszkańcy pouciekali do domów. Niektórzy wyszli na chwilę, by zmoknąć – dawno nie czuli niczego tak orzeźwiającego – ale większość woląla cieszyć się deszczem pod dachem.

Tak jak Kusak.

Obserwował gęstniejący deszcz, wcześniej zapadający zmrok i biegnących ludzi.

Wziął nóż z kuchennego blatu i zszedł do piwnicy.

Tak – zdecydował. – To jest ten dzień.

*

Ofiara lekko się ożywiła, gdy usłyszała, jak wchodzi i zapala światło.

Głęboki oddech.

Czuł euforię. Tak, to musi być dzisiaj. Najpierw wszystkiego się dowie, potem zrobi to, na co czekał tak długo.

Podszedł do niej wolnym krokiem. Drgnęła.

– Słyszysz mnie? – spytał.

Pokiwała energicznie.

– Teraz zdejmę ci knebel, rozumiesz?

Potaknięcie.

– Zdejmę ci knebel i będziesz mówić tylko wtedy, gdy zadam pytanie. Jasne?

Potaknięcie.

– Odpowiadasz tylko na pytania. Jeśli zaczniesz krzyczeć, wbiję ci nóż w kolano, rozumiesz?

Jęknęła ze strachu, przytakując.

– Dobrze.

Odwiązał supeł z tyłu głowy, uwalniając usta. Knebel przesiąknięty był śliną i resztkami zupek, którymi ją karmił przez te dni.

– Jak się nazywasz? – Pierwsze pytanie.

– Adrianna – wycharczała, mlaszcząc. Przełknęła ślinę. – Adrianna Majewska.

W porządku. Ofiara nie postradała zmysłów. Niektórym przychodziło to zaskakująco łatwo. Jęczały, beczały i mówiły tylko, że chcą do domu, do mamy.

Zuch dziewczyna.

– W porządku. – Wziął głęboki oddech, uspokoił ręce. Rwały się do roboty. – A teraz powiedz mi, malutka, kto to jest Kusak?

Ofiara milczała chwilę, o chwilę za długo.

– Pytałem, kim jest Kusak?

– Nie wiem. Nie wiem.

Zakrył jej usta, przyciskając ostrze noża do kolana. Ofiara wierzgała i machała głową na boki. Odsunął ostrze, a ona zaczęła płakać.

– Kim jest Kusak, pytam się? Powiedz mi, skarbie, powiedz mi, co wiesz, a jeszcze dzisiaj wrócisz do domu. Chcesz wrócić do domu?

Płakała, z nosa ciekły jej smarki. Dał jej chwilę na uspokojenie.

– Proszę, niech pan mnie nie zabija.

– Ale ja cię nie chcę zabić. Pójdiesz do domu jeszcze dzisiaj, obiecuję, jeśli tylko powiesz mi, kim jest Kusak.

– Ale ja naprawdę nie wiem, naprawdę nie wiem.

Musiał pomyśleć. Ale nie o tym, czy dziewczyna mówiła prawdę – był pewien, że tak. Zastanawiał się, czy odciąć najpierw lewą, czy prawą małżowinę.

Nie wiedziała, okej, rozumiał to. Każdy zapomina. Natomiast wielu z tych, co zapomnieli, może odzyskać pamięć po odcięciu ucha.

Lewe. Lewe ucho przypomni jej o wszystkim.

– Wiesz, kto to jest Kusak – powiedział spokojnie, ignorując jej prośby. – Zastanów się, proszę. Dam ci chwilę, a jeśli sobie nie przypomnisz, odetnę ci ucho, rozumiesz?

Jęknęła. Z ust pociekła jej strużka śliny. Patrzył na to obojętnie, bawiąc się nożem.

W normalnych okolicznościach byłoby już po wszystkim. Zwykle zajmowało mu to do pięciu minut, teraz jednak może zabawić tu dłużej, może nawet dzień, ba, tydzień, jeśli będzie trzeba, ale wyciągnie z tej małej dziwki to, czego potrzebuje. Już on się o to postara.

– Nie wiem, proszę pana, przysięgam, przyrzekam, nie wiem.

– Jeśli sobie przypomnisz, pójdiesz do domu, rozumiesz? Wiem, że wiesz coś o Kusaku. I ja chciałbym tylko usłyszeć, co takiego wiesz? Nic więcej. Widzisz, jakie to

proste?

Oddychała szybko i płytko. Pewnie nigdy wcześniej nie była tak przerażona. Bardzo dobrze. Ma się bać, ma czuć respekt. Ma chcieć żyć. Wtedy najlepiej odbiera się życie.

– Pan Waśniewski? – spytała. – To pan?

Kusak zastygł.

– Kusak – powiedział, kucając przy niej. Tym razem ostrze powędrowało do policzka. – Czujesz to? To jest ostrze noża. Jeśli nie odpowiesz teraz, skąd wziął się Kusak na ostatniej stronie twojego zeszytu, przebiję ci policzek na wylot.

Ponownie jęknęła.

Zaczęła jęczeć, błagać, prosić, niech pan tego nie robi, niech pan tego nie robi, proszę, proszęproszęproszę...

– Zamknij się! – Uderzył otwartą dłońią w jej policzek, osiągając zamierzony cel. Ofiara przestała beczeć. – Powtórzę raz jeszcze, na spokojnie, dobrze? Powiedz mi, skąd znasz słowo Kusak. To wszystko. Powiedz mi, a obiecuję, że to wszystko skończy się szybciej, niż myślisz.

– Kolega mi powiedział.

– O, widzisz, jak pięknie. Który kolega? Ten młodszy od ciebie, Emil jakiś tam?

– Tak, tak, to on. Ale on nie wie, co to znaczy, niech pan mu nic nie robi, on naprawdę... my naprawdę nie wiemy, co to znaczy.

– Cisza!

Stanął w pewnej odległości.

Niedobrze. Kusak nie był jeszcze bezpieczny. Na zewnątrz jakiś dzieciak wiedział o nim, cholera wie skąd, ale wiedział. I tę wiedzę musi zapłacić życiem.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Nie... to znaczy nikt – wyłkała. – Nie wiem. Tylko my wiedzieliśmy, ale nikomu nie powiedzieliśmy. Nikomu nie powiemy, przyrzekam, błagam, tylko niech mnie pan wypuści.

Chłopak. Ten chłopak.

Już wtedy, na wycieczce do ratusza, widział, że coś z nim jest nie w porządku. Coś w sobie kryje, coś złego, niebezpiecznego. Kusak to wyczuł.

Ten chłopak.

To on przyszedł wtedy po ofiarę, gdy Kusak rozmawiał z nią po lekcjach.

Ten chłopak, ten sam, co rozwiesza wszędzie plakaty, w całym tym zasranym mieście. Ten sam chłopak, co plątał się pod nogami ludziom z grup

poszukiwawczych, zanim jeden facet nie powiedział mu wprost, żeby zostawił to dorosłym.

Ten pieprzony chłopak.

*

Ada czuła, jak strużka moczu cieknie jej po nodze. Tak bardzo była przerażona.

„Waśniewski, Waśniewski, to pan Waśniewski!”

„Uspokój się” – powtarzała sobie. – „Myśl, co powiedzieć, jak go przekonać, przekupić, sprawić, by cię uwolnił!”

„To Waśniewski. To on porywa dzieci!”

W Baskin od zawsze ginęły dzieci. Od zawsze, czyli odkąd Waśniewski tu był!

„To on!”

„Tomek Sawicki, Łukasz Fowarczyk i kilku innych. Ilu ich było?” – nie wiedziała. – „Ale to już bez znaczenia.”

„To Waśniewski!”

„A teraz ma ją. Niedobrze.”

– Niech mnie pan wypuści, proszę.

*

Kusak namyślał się przez chwilę. Najchętniej pojechałby po tego dzieciaka już teraz, wywabił go z mieszkania i porwał, ale najpierw musiał tu posprzątać. Nigdy nie miał w tym pomieszczeniu dwóch ofiar i lepiej, żeby tak pozostało.

Dotknął palcem ostrza. Ofiara wciąż prosiła o życie.

Powinien ją spoliczkować i przypomnieć o zasadach – ofiara odpowiada tylko na pytania – ale nie było już potrzeby.

Jej koniec nastąpi tu i teraz. Niech sobie pogada.

Jak zwykle w tych momentach poczuł w brzuchu gorąco kumulujących się emocji. Najlepszy moment.

Chwila przed.

Gdy strach ofiary był niemal wyczuwalny, wyostrzały mu się zmysły, chciał wchłaniać jego zapach całym sobą.

Zdjął ofierze opaskę i popatrzył głęboko w oczy. Jej przerażenie było żalosne. Nie zasługiwała na to, by żyć.

Mrugała długo, przyzwyczajając się do światła, do patrzenia w ogóle. Przez dwa tygodnie była ślepa, teraz odzyskiwała wzrok.

Położył dłoń na czole dziewczynki, odchylając jej głowę do tyłu. Grdyka latała w

górze i w dół, oczy nadal mrugały.

– Spójrz na mnie – powiedział czule. – Spójrz na mnie.

Ostrze było już przy gardle. Wiedział, gdzie je wbije. Właśnie podjął decyzję, czekał tylko na spojrzenie.

Spójrz na mnie, spójrz na mnie.

*

Spojrzała.

Tak, to on, pan Waśniewski.

Zrozumiała, co się za chwilę stanie.

Światło niemal wypalało jej oczy, bolało.

„Mamo, tato, idę do was.”

*

Dzwonek do drzwi.

Pieprzony dzwonek do drzwi!

Kusak odruchowo zasłonił usta ofiary, nasłuchując. Przeczekać chwilę, tylko tyle trzeba. Intruz zaraz sobie pójdzie i będzie mógł wrócić do...

Znowu dzwonek.

Po chwili jeszcze raz.

W oczach ofiary paliło się to, co uwielbiał. Nadzieja. Widział ją w rozszerzonych źrenicach.

Znowu dzwonek.

Zakneblował jej usta, bardzo mocno, mocniej niż zazwyczaj.

– Ani słowa – powiedział i wyszedł, zamykając drzwi.

Po drodze złożył nóż i wsunął w kieszeń spodni.

Zanim otworzył drzwi, wziął kilka oddechów, głębokich, spokojnych. Upewnił się, że nie ma na sobie żadnych podejrzanych śladów i uchylił drzwi.

Deszcz nadal zalewał ulice. Widoczność sięgała nie więcej niż kilkudziesięciu metrów.

– Dzień dobry, chciałem pana spytać, czy nie wziąłby pan kilku ogłoszeń o zaginięciu Ady Majewskiej?

*

To musiało się kiedyś stać.

No tak, każdy popełnia błędy, nawet Kusak.

Teraz, patrząc na małego dziwoląga, chłopaka, który wszystko zepsuł, uświadomił sobie, że popełniał jeden błąd od bardzo dawna.

Zakładał, że nie popełnia ich wcale.

I tak oto, proszę bardzo, znalazł się w sytuacji, kiedy mały konus dzwoni do jego drzwi na minutkę przed tym, jak Kusak wydał na niego wyrok.

Ten sam gnojek powiedział ofierze o Kusaku.

Tego było zdecydowanie za dużo.

– Ogłoszenia – powtórzył, nie spuszczać wzroku z dzieciaka.

Emil przetarł twarz z deszczu i przytaknął.

– Tak. Wie pan, rozdaję je każdemu i proszę, żeby przekazać je ludziom spoza miasta. Wciąż jest nadzieja.

– Tak. Nadzieja. Tak jest, rozumiem.

Nigdy więcej błędów. Koniec z tym. Decyzja, którą podejmie, musi być właściwa. Puścić chłopaka wolno i upolować go potem czy przepytac po swojemu już teraz.

Emil patrzył na niego przez długą, przeciągającą się chwilę, nie bardzo wiedząc, co jeszcze powinien powiedzieć.

– Wejdz, kolego, bo się przeziębisz – powiedział Kusak, otwierając drzwi.

*

Emil czuł się nieswojo. Nie wiedział dlaczego, chyba przez to dziwne spojrzenie Waśniewskiego. Uchylone na oścież drzwi wzmocniły to uczucie. Wejść do domu nauczyciela to prawie jak do jaskini lwa. Nawet jeśli lew nie grasuje w twojej okolicy – nie uczy cię – zawsze wiąże się to z ryzykiem. Nauczyciel to nauczyciel, wróg numer jeden i autorytet w jednym.

Autorytet powiedział „wejdz”, więc Emil wszedł, całkowicie nieprzygotowany na to, co się stanie.

Od razu po przekroczeniu progu jego głowa eksplodowała od płaczu i krzyków
(*pomocy pomocy więzi mnie*)

(*zabije mnie jak zabił innych pomocy mamó mamó!*)

zaginionych dzieci. Głosów było kilka, nie wiedział, ile, ale

(*blagam chcę żyć nie zabijaj*)

(*mnie nie zabijaj nas nic nie powiemy*)

(*kusak proszę jesteś kusak nie zabijaj mnie!*)

brzmiały wystarczająco strasznie. Brzmiały tak, jak brzmieć może krzyk dziecka tuż przed śmiercią – i tym właśnie były.

Wszystkie należały do zaginionych dzieci z Baskin, które nauczyciel
(*kusak!*)

(*to jest kusak uważaj to jest kusak kusak*)

(*kusak kusak KUSAK KUSAK KUSAK!*)

porwał, zamordował, a następnie pochował w swojej piwnicy.

*

Kusak zamknął drzwi, przekręcając klucz w zamku.

Nowa ofiara wydawała się spięta, mimo to przeszła grzecznie przez korytarz i usiadła w fotelu w salonie, tak jak polecił.

Usiadłszy naprzeciw, dostrzegł w jej oczach coś, co mu się nie spodobało. Ofiara spoglądała nerwowo i bez przerwy się wierciła. W końcu spojrzała mu w oczy.

„Wiem” – mówiło jej spojrzenie. – „Wiem o wszystkim.”

Co było dziwne, nie do przyjęcia, gdyż najzwyczajniej w świecie nie miała możliwości wiedzieć. Nikt tego nie wiedział, żaden z odwiedzających go sąsiadów, nawet podczas zaginięcia.

Nikt nie miał prawa wiedzieć.

On jakimś cudem wiedział i starał się to ukryć najlepiej, jak mógł, co wychodziło mu tak sobie.

– W porządku? – spytał Kusak.

– Tak. – Ofiara przytaknęła potulnie.

– Chcesz herbaty? Zmarzłeś. Napijesz się, a ja zadzwonię do twojej mamy, nie chcę, żebyś szedł w taką pogodę do domu.

Ofiara przytaknęła.

Przeszedł do kuchni. Środek usypiający, który zmajstrował w szkole, stał w ukryciu w dolnej szafce. Postanowił poradzić sobie bez niego.

Właściwie to kusił go młotek. Pomyślał o nim, puszczając wodze fantazji. To byłoby wspaniałe.

Lepiej nie. Może kiedyś, teraz nie. „Teraz musisz załatwić to szybko i sprawnie.”

Nalał wody do elektrycznego czajnika, włączył go i wrócił do salonu.

Ofiara nadal siedziała, dokładnie w tej samej pozycji, ręce złożone, nogi razem, plecak pełen ogłoszeń leżał obok na podłodze.

Kusak uśmiechnął się szeroko.

– No dobrze – powiedział, siadając z powrotem w fotelu. – Porozmawiajmy.

*

Emil próbował się uspokoić

(błagam błagam nie rób nie zabijaj nie nie rób tego)

(uważaj to kusak KUSAK kusak cię dopadnie upoluje)

(boże pomóż mamie boli boli KUSAK mnie więzi)

ale wrzaski rodem z piekła nie słaby. Starał się je wyłączyć, zagłuszyć własnymi myślami, jak to robił na cmentarzu, ale tutaj to było co innego. Dzieci, do których należały głosy, były zbyt przerażone.

Strach wisiał w tym domu jak powietrze, był jego nierozłączną częścią, fundamentem, i to dosłownie, zważywszy na to, co tu się stało. Tego nie wymaże żaden remont.

Strach, przerażenie

(boooooo!)

i ból, potworny ból, najpotworniejszy ze wszystkiego, był w tych właśnie głosach, w ich tonie.

(aaaaaaaaaaaaa!)

(to jest kusak kusak tu jest i cię złapie złapie i nie puści)

(uciekaj uciekaj uciekaj!)

To miejsce było przeklęte, zawsze będzie.

– No dobrze – powiedział Kusak. To on zamordował te wszystkie dzieci, Emil już to wiedział. Wraz z głosami jak zazwyczaj pojawiały się obrazy, obrazy straszliwe i przykre, których wolał nie widzieć. – Porozmawiajmy.

Obrazy śmierci, tego, co było chwilę przedtem, płacz, krew, błagania, wołanie rodziców, matek i ojców, wszystko, co nieludzkie, teraz, tutaj, w jego głowie.

– Wszystko w porządku, kolego?

„Ten człowiek to Kusak.”

(KUSAK KUSAK KUSAK KUSAK!)

W tym słowie kumulowało się wszystko, co najgorsze.

– Chłopcze, wszystko w porządku?

Emil ledwo usłyszał pytanie. Odpowiedzieć już nie zdołał. Głosy i obrazy rozlały się po jego świadomości, zatamowały wszystko inne, nic więcej nie docierało, morderstwa, okrutne, nieludzkie czyny i on,

(kusak kusak kusak!)

(KUSAK!)

„Kusak siedzący naprzeciw.”

– T-tak – wydusił z siebie. – Wszystko okej.

„Muszę się stąd wydostać. Muszę się stąd wydostać.”

Cierpienie tego domu było jego cierpieniem. Musiał jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Nie wyglądasz dobrze, kolego.

Kręciło mu się w głowie, obraz zaczął tracić ostrość. Poblądł, a oczy przymykały się delikatnie.

„Zaraz zemdleję, boże, proszę nie, zaraz zemdleję.”

Myśl o tym przyszła z pewną ulgą, bo wszystko dobiegłoby końca

(*nie!*)

(*to jest kusak on cię złapie nie mdlej nie kusak cię złapie!*)

(*jest tu czeka on tylko czeka nie mdlej*)

(*jest tam nie możesz czeka na ciebie ona czeka*)

(*ona tam jest jest tam ona czeka na ciebie czeka na pomoc na ciebie nie mdlej!*)

(*ruda!*)

(*RUDA!*)

(*czeka na ciebie, czeka na ciebie!*)

gdyby nie jedno słowo wykrzywane

(*RUDA RUDA RUDA!*)

przez zmarłych.

To dało mu siłę, by się ocknąć na tyle, żeby wydusić z siebie kolejne słowa przez zaschnięte gardło.

– Muszę już iść, proszę pana.

Rozmyte kolory nabierały ostrości i konturów. Jasnopomarańczowa plama z powrotem zamieniła się w twarz Kusaka. Dwie małe plamki w jego oczy, oczy czujne i straszne.

– Rozumiem – powiedział Kusak. Nie spuszczał wzroku z ofiary.

(*uciekaj uciekaj*)

(*ona tam jest pomoc wezwij pomoc ona czeka czeka i płacze*)

(*ONA TAM JEST!*)

Wstał na miękkich nogach.

– Dziękuję panu, ale muszę już

(*POMOC WEZWIJ POMOC POMOC RUDA TAM JEST*)

iść, bo ciocia będzie się martwić, miałem niedługo wracać.

Kusak uśmiechnął się ze zrozumieniem, przytaknął.

– Oczywiście, jasne – powiedział.

– Ciocia zawsze się martwi, wie pan, dzwoni do kolegów.

Jakimś cudem, nie przewracając się, doszedł do drzwi i chwycił klamkę. W tym momencie uwierzył, że wyjdzie stąd, zaraz będzie wolny i lotem błyskawicy poleci na posterunek albo do sąsiadów, żeby zadzwonili na posterunek.

Nacisnął klamkę, drzwi się nie ruszyły.

Odwrócił głowę.

– Mógłby pan otworzyć mi...

Właśnie wtedy Kusak ogłuszył go jednym, potężnym uderzeniem.

24

(wstawaj!)

(on ma cię zaraz cię ma cię)

(zabije cię zabije)

(ją ją też zabije wstawaj wstawaj obudź się!)

Nie myślał o niczym. Głosy

(wstawaj musisz wstać musisz)

(uratować ją ona czeka czeka uratuj obudź się się obudź!)

docierały do niego jakby z daleka. Słuchał ich bezmyślnie, czekając na ciąg dalszy. Miejsce, gdzie dostał, bolało i to bardzo.

Chciał osunąć się w przyjemne objęcia snu, ale

(wstawaj!)

głosy nie pozwalały, wystarczyło przymknąć oczy, tylko tyle, nic więcej, zamknąć oczy i będzie po wszystkim.

(nie nie będzie nie będzie ona tam jest ona)

(tam)

(JEST!)

(ONA!)

Poruszył ręką, co znaczyło, że nie jest związany. Dobrze.

Ale zaraz będzie. Morderca

(kusak!)

zaraz go zwiąże i zabije, tak jak robił to wiele razy wcześniej.

Musiał

(wstawaj!)

coś zrobić, obudzić się, uciekać, wezwać pomoc.

Uchylił oczy. Wciąż leżał w korytarzu, tam gdzie urwał mu się film. Widział okno w salonie i padający za nim deszcz. Coś błysnęło, coś białego przesłoniło widok na sekundę.

Burza.

Grzmotu nie słyszał, tylko głosy i szum w głowie, ale było coś jeszcze. Małżowiny paliły go jak nigdy dotąd. Ucho, to zdrowe, to, w które dostał przed chwilą, bolało jakby wewnątrz. Kusak ogłuszył go, być może na dobre.

To wszystko docierało do niego powoli, zbyt wolno, by wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski poza tym, że był w niebezpieczeństwie.

(czekaj)

Próbował wstać, ruszyć się bardziej,

(nie ruszaj się czekaj czekaj pomożemy)

(my ci pomożemy nie ruszaj się)

ale głosy zaprotestowały.

Mimo to ruszył palcami u dłoni, zacisnął pięść. Odzyskiwał czucie, to dobrze.

(nie rób nic)

Aż usłyszał znajomy głos, bardzo wyraźnie, znacznie głośniejszy od pozostałych.

(nie ruszaj się dziwaku nie ruszaj się)

Znał ten głos. Nie przepadał za jego właścicielem, i wzajemnie, ale to było wtedy.

Tomasz Sawicki teraz uspokajał go niczym najlepszy przyjaciel *(czekaj nic nie rób on zaraz przyjdzie KUSAK zaraz przyjdzie nie ruszaj się)*

i mówił, co musi zrobić. *(przypomnij sobie pamiętasz cyrkiel pamiętasz cmentarz głosy na cmentarzu nie do zniesienia)*

(cyrkiel w uchu)

(głosy bolą)

(szalejesz od głosów)

(pod ratuszem co się stało pod ratuszem)

Już wiedział,

(pomogę ci)

(wszyscy ci pomożemy)

co musi zrobić.

*

Kusak stał obok ofiary, przeglądając jej telefon – Facebook, SMS-y, zdjęcia, wszystko – szukał czegokolwiek, jakiejś wzmianki, która mogłaby doprowadzić w to miejsce.

Ani słowa o Kusaku, ani słowa o Waśniewskim, nic, zero. Fantastycznie.

Przypomniawszy sobie o zeznaniu ofiary. Tam widniało jego imię. Trudno. Będzie musiał złożyć wizytę seniorom Majewskim i jakoś go odzyskać. O ile policja nie położyła na nim swoich łap.

No cóż, na to nie mógł nic poradzić.

Co innego ten dzieciak, ten mały zasraniec, który jakimś cudem wiedział o wszystkim.

Schowwał telefon do kieszeni i wyciągnął nóż.

Za jego plecami przez okno wpadło blade światło błyskawicy. W chwilę potem zagrzmiało.

Z ucha ofiary leciała krew.

„Chyba huknąłem go za mocno. Ups.” I tak dobrze, bo kusilo, by udusić gówniarza od razu, złapać za grdykę i zgnieść jak jajko.

Zamiast tego chwycił smarkacza za nogę i pociągnął za sobą do piwnicy. Gdy schodził po schodach, głowa ofiary odbijała się o stopnie, bam, bam, bam.

Położył go w pustym garażu na zimnej, gumowej wykładzinie. Pod nią była ziemia. Pod ziemią ofiary.

Dzieciak zaraz do nich dołączy.

Kusak zerknął do pomieszczenia obok. Dziewczyna wciąż na krześle, nasłuchuje.

„Zaraz do ciebie przyjdę, kochana.”

Najpierw jednak wrócił do chłopaka, stanął nad nim w rozkroku. Rozkoszował się tą chwilą, tym momentem przed śmiercią, która wyjdzie spod jego rąk.

(jeszcze nie nie jeszcze nie)

(czekaj czekaj)

(czekaj potem uciekaj nie odwracaj się uciekaj wiesz gdzie)

(biegnij tam prosto nie zatrzymuj się)

Głosy mówiły, a on słuchał.

*

Kusak kucnął nad chłopakiem, przekreślił go na plecy i odchylił głowę do tyłu.

Wtedy właśnie dzieciak otworzył oczy.

(teraz teraz nie czekaj już teraz)

(teraz KUSAK to jest kusak zrób to teraz już natychmiast nie czekaj teraz TERAZ TERAZ!)

Z całej siły chwycił Kusaka, obejmując go nogami za szyję i zakleszczając jak zapaśnik.

Kusak z pewnością poradziłby sobie, gdyby nie potworna eksplozja wrzasków w głowie. Straszliwe głosy

(ŚMIERĆ ŚMIERĆ CZEKA CIĘ ŚMIERĆ ZGINIESZ ŚMIERĆ!)

były nie do zniesienia, bolesne jak nic innego, rozsadały czaszkę

(CZEKAMY TU NA CIEBIE ŚMIERĆ ŚMIERĆ ŚMIERĆ!)

i wypychały oczy.

Kusak zawył, próbując zrzucić ofiarę i rozdeptać, zachlastać na śmierć, ale głosy nie pozwalały. Wrzaski, nawoływania, cały ten upiorny chór, ten skowyt, wbijał się w jego głowę niczym szpikulce.

Zaczął się szarpać.

– Puść! – wrzeszczał. – Puść!

Ale Emil nie puszczał. Trzymał z całych sił, choć zostało ich naprawdę niewiele. Tak jak Kusakowi zdrowego rozsądku. Głosy doprowadzały do szaleństwa, przesywały głowę na wylot, sprawiały, że cierpiał katusze, których nigdy wcześniej nie doświadczał.

Zamknięte oczy otwierał tylko na chwilę, próbując znaleźć nóż, który upuścił sekundy temu.

(CHODŹ DO NAS CZEKAMY DOŁĄCZYSZ DO NAS ŚMIERĆ CZEKA)

(CZEKA NA CIEBIE ŚMIERĆ CHODŹ CHODŹ CHODŹ)

– O boooże!

Gdy otwierał oczy, bolało jeszcze mocniej, choć wydawało się to niemożliwe.

(KUSAKU PRZYBĄDŹ)

(CZEKAMY CZEKAMY!)

Chwiał się na nogach, zbliżając do momentu, w którym nie będzie odwrotu. Zaraz omdleje, zwariuje, wyłączy umysł na jakiś czas, tak jak przewodniczka pod ratuszem.

Udało mu się podnieść nóż i uderzyć ofiarę w głowę.

„Puściła – boże, w końcu, kurwa mać, puściła” – a głosy jakby w proteście jeszcze wzmocniły swoją piekielną moc.

„Boże jedyny, starczy, BOLI, STARCZY, JUŻ WYSTARCZY!”

Bez zastanawiania chwycił ucho jedną ręką, a drugą, trzymającą nóż, zaczął odcinać małżowinę. Nie udało się za pierwszym razem, nadciął ją tylko, połała się krew, spróbował drugi raz, ciachał w tę i we w tę, wrzeszcząc z bólu jak opętany, aż zakrwawione ucho spadło na linoleum z mokrym plaśnięciem.

Dopiero wtedy głosy zaczęły cichnąć. Powoli odzyskiwał świadomość tego, co robi. Głosy przyćmił ból odciętego ucha, i dobrze, przynajmniej ten rodzaj bólu potrafił zdefiniować.

Pierwsza trzeźwa myśl brzmiała: „gdzie ofiara? Gdzie chłopak?”

Odpowiedziało mu skrzywienie otwieranych drzwi garażu. Do środka zaczął padać deszcz.

Gdy otworzył oczy, ofiary już nie było.

Kusak opierał się o ścianę, próbując nie omdleć. Głosy cichły, słyszał je teraz jakby z daleka, z zaświatów.

Z miejsca, gdzie powinno być ucho, leciała krew, spływała po szyi i barku. Bolało jak diabli, ale dało się znieść.

W porównaniu z głosami wszystko wydawało się do zniesienia.

Spojrzał w stronę pomieszczenia, gdzie siedziała ofiara. Będzie musiała poczekać.

Kusak ruszył w pościg za Emilem.

*

Nie chciał zostawić Rudej, ale musiał. Głosy miały rację, trzeba odciągnąć Kusaka jak najdalej od piwnicy. Wybiec, uciekać, to jedyny sposób na przetrwanie.

Wielkie krople deszczu uderzały go w czoło. Widoczność spadła do kilkunastu metrów. Biegł środkiem ulicy, wypatrując jakiejś postaci, samochodu, jakiegokolwiek pomocy. Jednak wszyscy siedzieli w domach, schowani przed deszczem.

Nie słyszał niczego poza piskiem w uszach i echem głosu Sawickiego. Wiedział, dokąd uciekać, gdzie będzie bezpieczny.

To niedaleko.

Jeszcze trochę i tam będzie, jeszcze tylko kawałek.

„Dam radę, dam radę.”

Kręciło mu się w głowie, zbierało na wymioty, mimo to

(dasz radę!)

da radę.

Obejrzał się. Kusak truchtał za nim, trzymając rękę tam, gdzie powinno być ucho.

Miał nóż.

(biegnij)

Echo głosu Tomka Sawickiego gasło.

(biegnij)

*

Jak to się stało? Jak mogłem do tego dopuścić? Jakim cudem dałem się wpędzić w takie gówno?

Truchtał przed siebie, za małym kształtem w deszczu, nie dbając o to, czy ktoś go zobaczy. Nie myślał, jedyne, co było istotne, to dorwać gówniarza. Obedrzeć go ze skóry, zabić. Ten mały dziwak nie zasługiwał na to, by żyć.

Nie zastanawiał się nawet, dlaczego dzieciak biegnie przed siebie, zamiast skręcić do pierwszego lepszego domu.

*

Gdy znalazł się na miejscu, dopadło go przerażenie.
Betonowy mur był prawie dwa razy większy od niego.
To koniec.

Rozejrzał się dookoła, przerażony jak dzikie zwierzę na ulicy,

(szybko chodź szybko nie ma czasu szybko)

(właż właż nie ma czasu on idzie idzie po ciebie!)

słyszając głosy zza drugiej strony. Za nią znajdował się cmentarz.

Podskoczył, chwytając się krawędzi. Za wysoko. Nie da rady, nie podciągnie się, nie ma mowy.

Opadł na ziemię.

Kusak był coraz bliżej.

A więc to koniec, boże, koniec, to nie

(chodź do góry skacz natychmiast szybko szybko)

(podaj chodź podaj)

(ręce podaj ręce podaj ręce!)

może być koniec. Deszcz bił go po twarzy, gdy patrzył w górę. Mógłby biec w stronę bramy, ale czuł, że to wszystko, na nic więcej nie wystarczy sił. Wszystko bolało, wciąż zbierało mu się na wymioty.

Kusak wyłonił się zza ściany deszczu, przygarbiony i wściekły. Emil widział jego obłąkane spojrzenie, oczy pałające żądzą mordy.

(podaj ręce chodź pomożemy chodź pomożemy ci!)

(szybko natychmiast to!)

(to jest KUSAK KUSAK cię złapie!)

Wraz z głosami pojawili się jego dawni znajomi, grupka dzieci, która kiedyś siedziała na płocie. Dzieci nie żyły, a jednak tam były, tak jak teraz.

(szybko dasz radę podaj tylko rękę natychmiast szybko!)

(jeszcze raz emil jeszcze jeden raz)

(spróbuj!)

(spróbuj ostatni raz pomożemy ci emil szybko SZYBKO!)

Podskoczył po raz ostatni, chwytając się krawędzi muru – i to było na tyle. Na więcej nie miał siły. Zwisiał wyprostowany, wiedząc, że nie da rady nawet minimalnie się podciągnąć.

Już miał puścić, gdy dostrzegł ręce, dziesiątki dziecięcych rąk,

(pomożemy ci!)

(szybko natychmiast kusak już tu jest!)

choć wiedział, że tak naprawdę tam ich nie ma. Podciągał się, nie wiedząc, jak to możliwe, ale szedł do góry, jego trampki szurały o mur.

Wszyscy ciągnęli go w górę, wrzeszcząc jednocześnie, by nie mdłał.

(dasz radę dasz radę musisz musisz kusak idzie!)

Jakimś cudem – dokładnie tak, cudem – znalazł się na murze. Tułowiem zwisał nad cmentarzem, nogi dyndały po zewnętrznej stronie.

Zrobił ostatni wysiłek, na jaki było go stać, przechylił się do przodu, unosząc nogi, dokładnie w momencie, gdy ręka Kusaka sięgała do góry, po czym upadł po stronie cmentarza.

*

– Kurwa mać!

Kusak uderzył w mur. Dzieciak uciekł. Był pewien, że to koniec, gówniarz nie wdrapie się na górę, a ten mały pierdoła właśnie to zrobił.

Jakby ktoś mu pomagał.

Chowając nóż w kieszeni spodni, pomyślał o ofierze w piwnicy.

Zostawił otwarty garaż.

„Popełniłem błąd. Znowu.”

Na razie nic nie mógł na to poradzić. Potem się tym zajmie, jak tylko załatwi dzieciaka, zakończy tę sprawę, bo jeśli ta ofiara mu się wymknie, będzie po wszystkim.

Wszedł na mur w kilka sekund po chłopcu i zeskoczył po stronie cmentarza.

Ofiary nigdzie nie było.

Las krzyży w ulewnym, głośnym deszczu nie ułatwiał zadania. Nie widział nic.

On gdzieś tu był. On gdzieś tu był i Kusak musiał go znaleźć.

Szedł wolnym krokiem pomiędzy grobami, rozglądał się uważnie, czujnie, próbując dostrzec jakikolwiek ruch. Ofiara gdzieś tu była, czuł jej obecność i strach. Ten sam zapach unosił się w piwnicy w ciągu ostatnich dekad.

„I jest.”

Zobaczył Emila.

Dzieciak stał niedaleko, pomiędzy grobami, z rozłożonymi rękami, jakby zapraszał Kusaka. „Chodź do mnie”, zachęcał.

„Chodź do mnie.”

Kusak nie dał się prosić.

*

Emil czekał.

(nie bój się)

(jesteśmy z tobą)

Rozłożył ramiona w oczekiwaniu na koniec. Nie miał już sił. Pulsująca bólem głowa, ucieczka z domu Kusaka, bieg w deszczu i mur – to wszystko wycisnęło z niego wszelkie pokłady energii.

Chciał siedzieć cicho za grobem, pozwolić Kusakowi odejść, a potem pójść na policję.

Ale Kusak zabiłby Rudą. Policja nie dotarłaby na czas.

(pomożemy ci)

Głosy mówiły, co robić, uspokajały,

(będzie dobrze będzie dobrze nie bój się)

aż w końcu poleciły wyjść.

Wyłonił się z kryjówki dostatecznie blisko, by Kusak zobaczył go bez problemu. Rozłożył ręce i czekał.

– Chodź – powiedział szeptem. – No chodź, sukinsynu.

Kusak przyspieszył kroku.

(nie bój się)

(nie bój się jesteśmy z tobą)

(jesteśmy z tobą)

(wszyscy jesteśmy z tobą)

Kusak uśmiechał się delikatnie. Patrzył Emilowi prosto w oczy.

Chłopiec już się nie bał. Widział oczy Kusaka, puste, pełne bezsensownej żądzы mordu. To on zabił te wszystkie dzieci bez powodu.

Ktoś taki nie zasługuje na to, by żyć.

To była ostatnia myśl, zanim zamknął oczy, a Kusak chwycił go żelaznym uściskiem za szyję.

(jesteśmy z tobą pomożemy ci)

*

Dusił kilka sekund, bardzo długich sekund, aż z oczu ofiary zaczęło wypływać życie.

Kochał ten moment.

I wtedy stało się zło.

To, co wybuchło w jego głowie, było czymś gorszym niż tamto w domu. O nie, tamto nic nie znaczyło w porównaniu z tym, co działo się teraz.

Każdy krzyk eksplodował w uszach, a było ich dużo, o wiele za dużo, więcej niż mógł zliczyć. Wszyscy zmarli próbowali wdrzeć się szturmem do jego świadomości, dać coś z siebie, cząstkę swojej pośmiertnej egzystencji, ukarać go, wciągnąć na drugą stronę.

Kusak wrzasnął. Szarpnął chłopaka, uderzając jego głową w najbliższy grób, i sam zatoczył się jak pijany.

Ścisnął rękami głowę, jakby to miało coś pomóc.

Starał się utrzymać na nogach, nie stracić równowagi ani fizycznej, ani psychicznej, ale tracił ją mimo wszystko, mimo prób i wysiłków jego głowa wrzała.

Otworzyło się w niej piekło, wybuchł wulkan, jeden, dwa, dziesiątki.

Z nosa poleciała strużka krwi. Nieduża, ale zwiastująca to, co nieuniknione.

– Nie – wyjącał Kusak, zanim całkowicie stracił nad sobą panowanie.

Gdyby ktoś mu powiedział, że tak będzie wyglądał jego koniec, nie uwierzyłby.

Przeszedł kawałek i padł na kolana. Jedyne, co się liczyło, to wyłączyć ten ból, zminimalizować go.

Uderzył głową w nagrobek.

Jęczał, uderzając wciąż i wciąż, nawet w krawędź, bez rezultatu.

Głosy nie ustawały.

Zmarli jęczeli jeszcze głośniejsze, jeszcze brutalniej, jakby przeciskając się przez dziurę w głowie, z której właśnie zaczął krwawić.

Uderzył jeszcze raz, i jeszcze raz. Na grobie pozostawały plamy krwi rozmazywane przez siąpiący deszcz.

Wstał, zatoczył się, potknął o sąsiedni grób i padł na ziemię.

Krew płynęła w błoto, mieszając się z deszczem.

Próbował wstać, ale było za późno. Nie zdążył nawet pomyśleć, co właściwie się z nim działo. Wszystko, niczym w soczewce, skupiało się wyłącznie na wrzaskach w jego głowie, na tych potwornych skowytach.

Ukląkł, rżąc, cierpiąc śmiertelne katusze, gorsze niż te, które gotował swoim ofiarom.

Ponownie zaczął walić głową w płytę grobu. Za którymś razem do jego świadomości dotarł odgłos pęknięcia, tym razem ostatecznego.

Tam, gdzie powinno być oko, widniała czarna plama, z której popłynęła krew.

W ostatnim przeblasku świadomości wyciągnął nóż i wbił go sobie w gardło.

*

Minął kwadrans.

Od teraz nie było nic. Pozostał tylko deszcz. Padał na trawę, groby, znicze, Emila Czaję i Kusaka.

Obydwaj leżeli w bezruchu. Wokół głowy mężczyzny rosła plama rozcieńczonej kroplami deszczu krwi.

Mijały minuty, a chłopiec wciąż się nie ruszał.

Deszcz nie ustawał jeszcze długo, jakby chciał spłukać narastającą przez lata frustrację i strach. W Baskin ginęły dzieci. Tak się mówiło. Czas przeszedł.

W piwnicy Kusaka pewna dziewczyna czekała na śmierć, a śmierć tym razem nie nadchodziła. Musnęła ją ostrzem noża, dziewczyna czuła jej spojrzenie na szyi i dotyk na policzku. Ale nie tym razem.

Nie tym razem.

*

Gdy przestało padać, ludzie zaczęli wyglądać przez okna swoich domów. Nie wiedzieli jeszcze, że klątwa Baskin właśnie się skończyła, ale chyba coś czuli.

Coś się zmieniło.

Słońce wychodzące nieśmiało zza chmur zwiastowało zmiany na lepsze.

Nawet rodzice, którzy bezpowrotnie stracili to, co kochali najbardziej na świecie, mieli zaznać spokoju.

Mijał czas, na cmentarzu wciąż leżał Kusak.

Chłopczyk nadal leżał obok niego.

*

Po jakimś czasie, gdy zidentyfikowano zwłoki Kusaka, policja udała się do domu mężczyzny. Przerażona dziewczynka, zamknięta w ciemnościach piwnicy, usłyszała jedno magiczne zaklęcie.

– Jesteś bezpieczna.

Z jej oczu popłynęły łzy.

EPILOG

Miasto odetchnęło.

Dwa dni po śmierci Kusaka jego ostatnia, niedoszła ofiara opowiedziała, co się stało. Popłakiwała i pojękiwała, gdy przesłuchiowano ją w obecności dziadka i babci, ale powiedziała wszystko.

Po wejściu do domu Kusaka nie minęło dużo czasu, zanim jakiś policjant zainteresował się dziwnie niepasującym do wnętrza garażu linoleum na podłodze.

Dwie godziny później odnalazły się wszystkie zaginione dzieci z Baskin.

Ich rodzinom nie pozostało nic innego, jak urządzić pogrzeby i w jakimś sensie odczuć ulgę.

*

Do miasta przyjechały ekipy telewizyjne. Gazety w całym kraju wrzeszczały tytułami o horrorze, jaki rozgrywał się w Baskin od lat.

Nauczyciel morderca

Kusak – tak o sobie mówił

Był zwyczajnym nauczycielem

Dwóm ekipom udało się umówić na spotkanie z Majewskimi. W ich obecności przepytano Adriannę, która z dnia na dzień wyglądała coraz lepiej, ale wspomnianie tamtych dwóch tygodni przychodziło jej z potwornym trudem.

– Ciągle było ciemno – mówiła, a dziennikarze, jak to oni, ciągnęli za język.

Gdy do drzwi zapukała trzecia ekipa, Majewscy powiedzieli „stop”. Umieścili w lokalnej gazecie oświadczenie, że nie będą więcej udzielać wywiadów i proszą o uszanowanie ich decyzji.

*

Każda ofiara otrzymała godny pogrzeb. W mieście panowała żałoba, polską flagę na ratuszu opuszczono do połowy masztu.

*

Pewnego dnia Ruda samodzielnie wyszła z domu. Spodziewała się dziennikarzy za każdym rogiem, ale nic takiego się nie działo.

Temat nieco przyblakł.

Chciała po prostu się przespacerować. Babcia nalegała, że pójdzie z nią. Wołała iść sama.

– Wykluczone – powiedziała kobieta. Bartosz położył dłoń na jej ramieniu i pokręcił głową.

Puść ją. Kiedyś będzie musiała wyjść.

*

Przeszła przez osiedle, rozglądając się na boki. Żyję. Żyję.

Weszła na teren podstawówki. Pusto, nikogo, przecież wakacje, więc wszyscy trzymają się od tego miejsca z daleka.

Usiadła przy tylnym wyjściu w nadziei, że nikogo nie spotka. Z kieszeni wyciągnęła komórkę, zadzwoniła pod numer, który znała bardzo dobrze, ale nikt nie odpowiadał.

Rozpłakała się.

*

Emil Czaja.

Biedny chłopak. Biedne dziecko indygo, które nigdy nie zrozumiało daru, jaki otrzymało.

Śpiączka, w jaką zapadł, trwała kilka dni.

Po przebudzeniu miał problemy z pamięcią, drgała mu powieka nad okiem, ale wydawało się, że poza tym wszystko z nim w porządku.

Pomyślał, czy nadal potrafi słyszeć głosy.

Odpowiedź przyszła od razu, gdy tylko zaczął nasłuchiwać. Dochodziła z piętra poniżej.

(nie chcę)

(nie chcę umrzeć nie chcę jeszcze nie nie teraz)

Siedemdziesięcioletni mężczyzna nie przeżył kolejnego zawału.

*

Pierwszego dnia po powrocie do domu wyszedł na dwór. Ciotka zaprotestowała nieśmiało, potem westchnęła i zaznaczyła, że ma wrócić na kolację.

Skłamał, że dobrze, nie ma sprawy. Wiedział, że wróci później. Miał sprawę do załatwienia.

W drodze do miejsca, do którego zmierzał, rozmyślał o wszystkim, co się wydarzyło. Wciąż miał luki w pamięci, pewne rzeczy mieszały się, w niektórych tkwiły białe, nieprzeniknione plamy, ale nic nie szkodziło.

*

Po wejściu na cmentarz usłyszał głosy, te same, tak samo lamentujące, płaczące i proszące o wysłuchanie.

Zamknął oczy i odetchnął. Głosy ucichły.

Przy grobie państwa Majewskich stała ona.

Stała ona.

Widział ją po raz pierwszy od tamtego dnia.

Podszedł, uśmiechając się głupio i jak zwykle nie wiedząc, co powiedzieć.

– Miałaś mnie pocałować – wypalił.

Ruda uśmiechnęła się i niezdarnie pocałowała go... w usta.

Nic nie mówiła. Nie musiała. Niektóre rzeczy po prostu się rozumie.

Obydwoje wiedzieli, po co tu przyszli i co miało się stać.

Spojrzał w jej oczy.

Gotowa?

Odpowiedziała delikatnym skinieniem.

Chwył jej dłoń.

Ona zamknęła oczy.

„Mamo, tato, jesteście tam?”

Tym razem usłyszała odpowiedź.

Indygo

Copyright © Michał Jan Chmielewski

Copyright © Wydawnictwo Literate

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover photos by PierreArt, Zacarias da Mata

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

druk ISBN 978-83-7995-220-5

epub ISBN 978-83-7995-221-2

mobi ISBN 978-83-7995-222-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Marta Kładź-Kocot

Korekta: Bożena Walewska

Korekta techniczna: Kasia Kowalska, Beata Paździurkiewicz

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Aleksandra Bartczak

Zdjęcia na okładce: PierreArt, Zacarias da Mata

Skład i typografia: www.proAutor.pl

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@literate.pl

www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)